PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
ISSN 2392-2753
Rok IV • Nr 1-2 (16-17)
2019

A. Appel
S. Basara
K. Beśka
J. Binkowski
T. Bochwic
T. Bołdak-Janowska
K. Boruń-Jagodzińska
K. Choiński
D. Cirlić-Straszyńska
P. Dunin-Wąsowicz
S. Gibaszek
J.P. Grabowski
E. Kasjanowicz
A. Książek
R. Lasota
G. Łatuszyński
Z.T. Łączkowski
W. Mandryka-
-Bukowiński
J. Marciniak
D. Matuła
Z. Milewski
P. Müldner-Nieckowski
A. Opasek
W. Oramus
A. Patey-Grabowska
M.K. Piekarska
M.D. Pieńkowska
A. Pieńkowski
Baśka eR
K.S. Schreyer
J. Seipp
J. Sikora
J. Škvorecky
J. Stępień
M. Strękowska-
-Zaremba
M. Szyszkowska
J. Śleszyński
K. Świegocki
S. Tontić
G. Walczak
M. Wojtyszko
Z. Zbikowski



Wojciech Młynarski

Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa
http://sppwarszawa.pl

PODGLĄD
Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753
Rok IV Nr 1-2 (16-17) 2019
Adres Redakcji
http://podglad.com.pl
e-mail: redakcja@podglad.com.pl
00-079 Warszawa
ul. Krakowskie Przedmieście 87/89
tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89
Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna
Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes OW SPP
Zastępca redaktora naczelnego
Piotr Müldner-Nieckowski
Sekretarz redakcji
Katarzyna Boruń-Jagodzińska
Kolegium
Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,
Michał Dąbrowski, Manula Kalicka,
Małgorzata Strękowska-Zaremba,
Zbigniew Zbikowski
Korekta
Krzysztof Beśka,
Małgorzata Strękowska-Zaremba
Typografia i skład
Piotr Müldner-Nieckowski
Wydawca
Zarząd Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska
Połączeni.....3
Maria Szyszkowska
Zdzisław Tadeusz Łączkowski
(1927-2019) 4
Jan Stępień
Zdziś Łączkowski.....5
Zbigniew Milewski
Pożegnanie Zdzisława
Łączkowskiego 6

NOWI CZŁONKOWIE OW SPP

Andrzej Appel
Garść słów o sobie 9

WIELKANOC 2019

Katarzyna Boruń-Jagodzińska
Zestaw wodno-dyngusowy 2019....10
Piotr Müldner-Nieckowski
Cześć kropli!..... 12
Alicja Patey-Grabowska
Rymowanka dyngusowa.....13
Krzysztof Saturnin Schreyer
Śmigus i Dyngus 13
Zbigniew Zbikowski
cztery anioły.....14

DRAMAT

Grzegorz Walczak
Taniec z dusiołem 17

DLA DZIECI – MŁODZIEŻY

Alicja Patey-Grabowska
Pogodynka, Żuki 25

ESEJ

Paweł Dunin-Wąsowicz
Saska Kępa 26
Kazimierz Świegocki
Gnothi seauton, cz. 5..... 48

KRYTYKA

Dominika Matuła
(Krzysztof Beśka)..... 56
Jerzy Sikora
(Małgorzata D. Pieńkowska) 58
Grzegorz Walczak
Deprawator Macieja Wojtyszki 61

POEZJA

Andrzej Appel
Scherzo, Sztuka, ***, ***, Zagadka bytu 65
Jerzy Binkowski
A Dieu..., Ty nie masz czasu 68
Sylwia Gibaszek
Garwolin 69
Eugeniusz Kasjanowicz
Miasto, Polonez siedlecki, Pamięci Ojca, Siedlcom mówię - Dobranoc, W Tobie - miasto moje, Biały Dunajec 72
Andrzej Książek
Wyścig i trwanie, Wypełnia i spełnia się..., Mniemanie, Zamiary, Carpe diem?, Obliczenia, Zaprzeczenie negacji . . .78
Wiesław Mandryka-Bukowiński
Via trita via tuta 82
Jerzy Marciniak
dla rzeźbiarza 83
Piotr Müldner-Nieckowski
Panu Naszemu, Oczy zachodzą mgłą, Jestem zdziwiony, Sprzątaczka 85
Alicja Patey-Grabowska
Narodziny wiersza, Nienasycenie, Poeta i Historia. 87
Baśka eR
*** 89
Krzysztof Saturnin Schreyer
Gwiezdne znaki, Królewna, Wyposażenie. 90
Jerzy Seipp
Sześć jest grzechów przeciwko Duchowi Świętemu 94
Jerzy Śleszyński
Profesor i stolarz, Pewnego razu w listopadzie 101
Małgorzata Strękowska-Zaremba
rozstanie, banały 104
Kazimierz Świegocki
Medytacje nad życiem i śmiercią muchy..., Człowiek i ważka. 105

PROZA

Krzysztof Beśka
Tymek i tajemnicza szkatułka 107
Teresa Bochwic
Czy żyliśmy w Ubekistanie?, Dyrygent 120
Tamara Bołdak-Janowska
Krótki dialog położniczy 134
Krzysztof Choiński
Ulica Widok 1918. 139
Jan P. Grabowski
Agistri 146
Rafał Lasota
Prawda 160
Wiesława Oramus
Między. 170
Małgorzata Karolina Piekarska
Licencja na dorosłość 173
Antoni Pieńkowski
Połówka 183
Małgorzata Strękowska-Zaremba
Światło 190

PRZEKŁADY

Katarzyna Boruń-Jagodzińska
Anastáz Opasek, Josef Škvorecký. 195
Danuta Cirlić-Straszyńska
Svetislav Basara, Stevan Tontić 200
Grzegorz Łatuszyński
Rzeźbienie wiersza w innym języku, *100 współczesnych polskich poetów* (spis autorów w antologii). 208

Połączeni…

Nigdy nie lubiłam podziałów, rozłamów, rozbić i rozkładów. Zwykłe dzielenie włosa na czworo uważam za stratę czasu. Podział majątku za upokarzający. Rozpad atomu za szkodliwy. I tylko złoty podział za przydatny, ale też nie zawsze. Najbardziej lubię, gdy coś się z czymś łączy, wiąże lub splata. Przywiązuję się do ludzi, miejsc, a czasem nawet przedmiotów – zwłaszcza książek. Lubię splatać ręce w uścisku z bliskimi. Lubię łączyć kogoś z kimś i coś z czymś, bo przeważnie na końcu okazuje się, że… pasuje. Tak jest i tym razem. Ten numer to połączone dwa numery i to jest piękne, że łączymy w nim – jak w każdym zresztą – i poezję, i prozę, i utwory dramatyczne, i krytyczne, a także eseistykę. Nie brak i wspomnień Wielkanocy w postaci wierszy, które czytaliśmy na naszym jajeczku.

Nie brak pożegnań. Żegnamy między innymi Zdzisława Łączkowskiego, pod którego czujnym i wprawnym okiem stawiałam pierwsze kroki jako prozatorka, korzystając z jego cennych uwag na warsztatach literackich w Staromiejskim Domu Kultury. Po latach spotkaliśmy się w naszym Stowarzyszeniu.

Juliusz Słowacki napisał kiedyś wiersz pod tytułem „Rozłączeni". Chętnie napisałabym „Połączeni", ale jestem prozaikiem i nawet jeśli czasem jakiś wiersz mi się uda, to obawiam się, że ten akurat wyszedłby mi banalnie. A wszyscy wiemy, że w literaturze banał to po prostu kanał!

Dlatego po prozatorsku zachęcam do zajrzenia do tego numeru. Jest co czytać, a nie ma wspanialszej rozrywki nad czytanie.

Małgorzata Karolina Piekarska

Maria Szyszkowska

Zdzisław Tadeusz Łączkowski (1927-2019)[1]

Zdzisław T. Łączkowski był poetą, autorem sztuk teatralnych, prozaikiem, publicystą, krytykiem literackim. Opublikował także interesujące dzienniki, które są zarazem świadectwem epok, w których żył. W Jego twórczości zaznacza się perspektywa metafizyczna. Jako dziennikarz uczestniczył w Soborze Watykańskim II.

Sztuka i poezja stanowiły sens Jego życia. Wybrał poezję jako formę wyrazu, ale studiował także w Szkole Aktorskiej. Bardzo wysoko cenię prozę poetycką Zdzisława Łączkowskiego, czyli *Piękną Rahab* i *Gada*. Jest to rzadko uprawiany gatunek literacki u nas. Zdzisław Łączkowski kontynuował najlepsze tradycje polskiej prozy poetyckiej, zdając sobie sprawę z tego, że osiągnęła ona apogeum w utworach Przybyszewskiego.

Nuta autobiograficzna w twórczości Zdzisława Łączkowskiego inspiruje do zastanowienia się nad własnym istnieniem. Życie i twórczość tego Poety splatają się. Dzieła przeniknięte są żarliwością przeżyć, fascynacją miłości oraz kultem przyjaźni.

W wielu wierszach wyraził uczucia religijne oraz podziw dla papieża Jana Pawła II.

Zaabsorbowany własną twórczością, zawsze miał czas, by pomagać w debiutach poetyckich początkującym adeptom. Działając w duszpasterstwie środowisk twórczych w Warszawie, doprowadził do opublikowania pierwszych tomików wierszy wielu księży i zakonników. Do niedawna, dopóki starczało mu sił fizycznych, spędzał wiele godzin w Staromiejskim Domu Kultury i w kawiarni w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu. Spotykałam go zawsze otoczonego grupą młodych twórców rozmaitych dziedzin. Niestety, od dawna popołudniowe środy nie gromadzą grona uczniów i przyjaciół Mistrza Zdzisława.

Natchnieniem dla Zdzisława Łączkowskiego był kontakt z drugim człowiekiem. Twórczość była dla niego kategorią podstawową, ale zarazem nawiązywał więzi przyjaźni i był wspaniały w tych relacjach. Mimo zmieniających się okoliczności politycznych, w których przyszło Mu żyć – pozostawał

1 Tekst pochodzi z książki prof. Marii Szyszkowskiej *Niepokoje i drogowskazy*, 2018.

wierny własnym odczuciom i przemyśleniom. Były mu bardzo bliskie wartości kulturowe okresu Polski Niepodległej.

Wzorem do naśladowania był stosunek Poety do Matki, której poświęcił książkę „Wiktoria". W dziennikach utrwalił też dom w Ząbkowicach Będzińskich, w którym mieszkał z rodzicami.

Jako dziennikarz „Słowa Powszechnego" przeprowadzał i publikował wywiady z najwybitniejszymi twórcami kultury, by wymienić prof. Irenę Sławińską, której był uczniem, studiując na KUL-u, Ewę Szelburg-Zarębinę czy prof. Stanisława Helsztyńskiego.



Zdzisław Łączkowski. *Fot. Piotr Müldner-Nieckowski, Łomianki 2008*

Wielka kultura osobista znamionująca Zdzisława, wszechstronność Jego zainteresowań i zdolność rozumienia drugiego człowieka były czymś wyjątkowym, zwłaszcza że towarzyszyła temu wielka serdeczność i ciepło, czego nam będzie brakować.

Jan Stępień

Zdziś Łączkowski

Tu słowa są zbędne. Bo cóż można powiedzieć, gdy odwiedzasz w domu starców kogoś ci bliskiego duchowo i po kilku godzinach go zostawiasz w tym sterylnym domu, który pachnie samotnością. Żegnasz go z poczuciem winy, że tak krótko i rzadko go odwiedzasz. Ale nie może być inaczej, bo mieszkasz bardzo daleko od tego bezdusznego domu, w którym od kilku lat przebywa Zdziś Łączkowski. Przebywa, a nie mieszka. Bo mieszka się przecież zazwyczaj z kimś, kto chociaż w jakiejś części jest w stanie cię usłyszeć. Twoje poczucie winy się wzmaga, bo nie wiesz, kiedy znów go zobaczysz.

Zbigniew Milewski

Pożegnanie Zdzisława Łączkowskiego

W dniu 30 marca 2019 zmarł Zdzisław Tadeusz Łączkowski – poeta, prozaik, krytyk literacki. Poznałem Go na początku mojej drogi twórczej w Staromiejskim Domu Kultury w Warszawie. Był Autorem wstępu do mojego arkusza poetyckiego *Pająki dla Gosi* wydanego w ramach ważnej wtedy serii wydawniczej „12 stron wierszy" oraz autorem pierwszego omówienia mojej twórczości w „Słowie Powszechnym".

Wiedziałem, że był jednym z pierwszych, którzy zajęli się literacką krytyką osób duchownych, i jak powtarzał, twórczość tych właśnie osób, tworzących lirykę polską, jest dla niego niezwykle ważna, gdyż obraz „mowy wiązanej bez tych nazwisk byłby niezwykle ubogi i niepełny" (ze wstępu do autorskiego Słownika *Poeci Pańskiej Winnicy*) oraz promotorem młodych na łamach „Słowa Powszechnego" i „Słowa – Dziennika Katolickiego", gdzie kierował działem kultury.

Był również jurorem konkursów poetyckich, na których wyłaniał nowe talenty pisarskie. Dzięki Jego poparciu młodzi, w tym ja, mogli być publikowani i omawiani w czasopismach, uczestniczyć w spotkaniach Duszpasterstwa Środowisk Twórczych.

Wkrótce dowiedziałem się, że jest laureatem wielu prestiżowych nagród literackich polskich i zagranicznych m.in. podwójnym laureatem Nagrody im. W. Pietrzaka; Nagrody Młodych; Nagrody Literackiej „Kierunków"; a także prestiżowej włoskiej Premio Internazionale Narrativa e Poesiadi Giorgio La Pira. Wielokrotnie był odznaczony za działalność regionalną, społeczną i dziennikarską. Otrzymał Złoty Krzyż Zasługi (1977), Odznakę oraz Dyplom Honorowy „Za zasługi dla dziennikarstwa" (1985), Złotą Odznakę „Zasłużony Działacz Kultury" (1987), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1987), Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (2000). W 2006 roku otrzymał Nagrodę Jubileuszową Ministerstwa Kultury.

Wielokrotnie podkreślał, że obaj jesteśmy warszawiakami z Zagłębia, bo urodził się przecież 27 października 1926 roku w Zawierciu.

Dla porządku należy przypomnieć, że studia polonistyczne ukończył na Wydziale Nauk Humanistycznych Katolickiego Uniwersytetu

Lubelskiego, wraz z Anką Kowalską, Jerzym Krzysztoniem i Barbarą Eysymontt należał do Sekcji Twórczości Własnej przy Kole Polonistów KUL. Był autorem kilku tysięcy artykułów prasowych. Do najważniejszych książek Łączkowskiego można zaliczyć m.in. *Słoneczniki gorejące* (1957), *Piękna Rahab* (1963), *Żałoba z Antygoną* (1973), *Zaklęty jeleń* (1992), *Trzy poematy* (2000), *Czy wszystko już powiedziałem. Poematy naiwne* (2007) oraz *Ku Wzgórzom Planet. Poematy* (2010).

Tak o nim pisał Eligiusz Dymowski, duchowny, poeta a mój Przyjaciel:

Poeta, szaman i błazen, żyjący w najmniejszym salonie świata na ósmym piętrze peerelowskiego blokowiska, doskonały rozmówca i cierpliwy słuchacz, skupiający wokół siebie młodych adeptów sztuki, nierzadko dziwne postaci, jakby żywcem wyjęte z filmów Pasoliniego, niestrudzony propagator życia artystycznego w licznych domach kultury w całym kraju, wielbiciel zadymionych kawiarni i czerwonego wina – to prawdziwy i niemal cały obraz epoki, która uczy, jak kochać życie i piękno w drobiazgach… poeta Łączkowski zaznacza, że najważniejsza jest prawda o człowieku… i ostatecznie nie potrafimy jej zagłębić i dać jednoznacznej odpowiedzi… Twórczość Łączkowskiego… Piękny dar od poety, któremu tak wiele zawdzięczają liczne pokolenia. Ubogaca nas doświadczeniem i mądrością artysty, dla którego człowiek zawsze był i jest najważniejszą wartością, której należy poświęcić całe swoje życie.

Otwierając zbiór poematów *Ku wzgórzom planet,* Zdzisław Łączkowski napisał:

Jestem szczęśliwy, że otrzymałem życie, że mogłem być z innymi na tej pięknej Planecie Ludzi. Że mogłem kochać i być blisko z człowiekiem, takim, jaki on jest, a także, iż mogłem trwać w niedosycie, tęsknotach, dramacie. Nigdy nie pojąłem siebie w pełni i dotykając nie dotknąłem tajemnicy i Tajemnicy, gdyż jest to niemożliwe; jestem zaledwie pyłkiem małym, pyłkiem w tej cudownej Krainie Nieskończoności.

Zawsze szedłem, bo iść trzeba. To obowiązek każdego, kto przyszedł na świat.

Z lektur Łączkowskiego zawsze najbardziej ceniłem Jego prozę, zwłaszcza powieści *Gad* i *Piękną Rahab*. Ta ostatnia jest o żydowskiej pięknej nierządnicy, która zapraszała swoich kochanków na cmentarz. Stała się

impulsem do napisania przeze mnie w 1992 roku wiersza *Bilecik od Rahab*, który dotyka tematyki sztuki i śmierci. Myślę, że w tym miejscu warto go przytoczyć.

Bilecik od Rahab

a miejscem spotkania
będzie cmentarz

na grobie
bliskich kochanków
znaczonym cieniem hiacynta
i nakrętkami od wódki
spełnimy czytanie
erotyków

oddzielnie
będziemy zaciskać
spojrzenia
dotyki
wargi

spotkamy się tam
na zawsze
bo nie wolno nam
kochać nic bardziej
od

własnego ocalenia

Zbigniew Milewski

Nowi członkowie OW SPP

Andrzej Appel

Garść słów o sobie

Urodziłem się w 1969 roku w Warszawie, jestem poetą i tłumaczem. Po ukończeniu anglistyki na Uniwersytecie Warszawskich przez kilka lat zajmowałem się działalnością wydawniczą – pod koniec lat 90. prowadziłem serię *Biblioteczka Interesującej Prozy* w wydawnictwie Prószyński i S-ka, w której ukazało się sporo znaczących tytułów z literatury światowej, głównie anglojęzycznej.

W tamtym okresie zacząłem tłumaczyć. Mam w dorobku kilkanaście książek przekładowych, wśród których wyróżniłbym klasyczną powieść chrześcijańską *Ben Hur* Lewisa Wallace'a (pierwszy pełny polski przekład, kilkukrotnie wznawiany), zbiór opowiadań *Nauka pływania* Grahama Swifta, laureata nagrody Bookera, *Pył* Johna Fante, najbardziej znaną powieść mało znanego w Polsce klasyka literatury amerykańskiej, uważanego przez Charlesa Bukowskiego za swojego mistrza, i powieść *Kiedy byliśmy sierotami* Kazuo Ishiguro, laureata literackiej Nagrody Nobla z 2017 roku.

Mój najnowszy przekład to barwna biografia ikony kontrkultury *Osaczyłem Amerykę. Timothy Leary* Johna Higgsa.

Zawsze jednak czułem się przede wszystkim poetą. Debiutowałem w 1991 roku zbiorem *Poezji tom pierwszy*, wydanym przez Warszawski Klub Młodej Sztuki. Później publikowałem wiersze w prasie literackiej, m.in. w „Literaturze", „Akcencie", „Kwartalniku Artystycznym" i „Więzi". Moje wiersze ukazały się również w antologii *Miasto nowego milenium* i były prezentowane na antenie Polskiego Radia.

Potem coś we mnie pękło, rozmyło się, zamilkłem. Pod koniec 2017 roku – po 20 latach rozbratu z poezją – znów zacząłem pisać wiersze. Kilka opublikował w listopadzie zeszłego roku miesięcznik „Twórczość". W marcu nakładem wydawnictwa Fundacja Duży Format ukazał się wreszcie drugi tom moich wierszy *Uciszenie burzy*.

Wielkanoc 2019

hasło: **Śmigus-dyngus**

W czasie spotkania, uraczywszy się jajeczkiem, czytaliśmy wiersze, tym razem wywoływane na hasło „śmigus-dyngus", czyli okołoświątecznie i z założenia ludowo-zabawowo. Ale było też poważnie i miejsko. Na widowni, a potem przy stole wspominaliśmy Koleżanki i Kolegów, którzy odeszli, których zapomnieć nie sposób i których mamy obowiązek przypominać szerokiej publiczności, aby wiedziała, czyim językiem się posługuje i czyje mądrości – nie zdając sobie z tego sprawy – powtarza. Jak łatwo się domyślić, konkurs na wiersz okolicznościowy wygrali wszyscy. (*pmn*)

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Zestaw wodno-dyngusowy 2019

Chrzest

Woda – woda.
Woda – powietrze.
Woda – ziemia.

Uderza w nas pocisk wody.
Osuwamy się na ziemię.
Chwytając się powietrza.
Trzymając się wiatru –
Tchnienia Ducha.
Z ogniem nad czołem.
Odrywamy się od ziemi.

Haiku wielkanocne

Wielki nocny deszcz
siecze, smaga rózgami
– Rozmnażajcie się!

Kwietna ulewa
moreli, mirabelek.
Grom przemijania.

Woda przybiera kształt naczynia

Kurków,
mis chrzcielnych,
jaworowych cebrzyków,
blaszanych wiader.
Kształt dzbanów – bioder.

Woda z wodą, woda z ciałem się brata.

Wyciągana ze studni,
podbierana ze strumienia.

Zimna studzienna pełna dreszczy,
ciepła od słońca deszczówka
(już się w niej lęgną komary).

A tu „kawaliry po szmiguście" przybiegli.
Chlustali, nurzali, pławili.
Witkami chłostali.
Wody koniom nie dała, sama we wodzie stoi..
Szczęśliwa,
uświęcona pogańsko.
Nie wie, że tam gdzieś za lasami Jordan mętny.
A tam gdzieś w Nilu
Koszyk smołą nasączony mało nie utonął.

Szuwary nad nimi szepczą o szumnej przeszłości,
że tam w jeziorach, w marmurowych wannach,
w białych giezłach pili całym ciałem nowe życie.
Jajo się toczy, woda płynie – samo życie.

Piotr Müldner-Nieckowski

Cześć kropli!

(*Na śmigus-dyngus 2019*)

Machasz na mnie ręką
lecz z twoich palców ciekną
ku mojej głowie
krople które powstały
z tej samej wody co tyle razy
biegła z chmurami
a wszystkie tak chętnie mokre

przez świat
wzdłuż wszerz w poprzek
i jeszcze przez ten kanalik
przez sam środek globu
chytrze przeciska się
kroplomierz – co ci dopiero wczoraj
wyrazem przyszedł na myśl

to znaczy: ty trzymasz ją w sobie
w lekko wilgotnym cieple
w swej głębi i z tego coś rośnie
coś się wynurza ażeby obiec
cię wokół słońca – kropidłem!
Wszystkim co z kropli
lubimy prysnąć
lub pozamykać w dłoni

Alicja Patey-Grabowska

Rymowanka dyngusowa

Dlaczego
w drugi dzień Wielkanocy
trzeba koniecznie się moczyć
by do drzwi zapukało szczęście
dla kobiet i dziewcząt z zamęściem?

Wszak to zwyczaj pogański
germański i słowiański
Leje się z wiader woda
nie w miastach – trochę szkoda!

Mężczyzno do działania!
Chociaż kobieta się wzbrania
jeśli nie wodą z kranu
pokrop ją perfumami.

kwiecień 2019

Krzysztof Saturnin Schreyer

Śmigus i Dyngus

Jeden chudy, wysoki, drugi mały krzepki,
obaj bardzo radośni i bez piątej klepki.
Rozrabiają wesoło, czas się ich nie ima,
śpią słodko, lecz się budzą, gdy się kończy zima.
Dawniej ospałym chłopcom wkładali do głowy:
Wstać wcześnie i wodą uczcić czas odnowy.
Hejże więc wpierw do studni, potem szukać panien….
Z wiadrem w ręce robiono wielkie oblewanie.

Nadeszły inne czasy i Śmigus z Dyngusem
zmienili swą zabawę, trochę pod przymusem
miastowych obyczajów i straży co baczy,
by nie było ekscesów groźnych oblewaczy.
Chłopcy teraz od kranów pędzą z butelkami,
dziewczyny uciekają z mokrymi włosami.

Jednak nie tylko ludu ta zabawa tyczy,
dwaj dziarscy prowodyrzy innych chcą zdobyczy,
a więc Śmigus wyniosły, Dyngus przygarbiony
zakładają smokingi, wchodzą na salony.
Przednią wodą kolońską, wręcz dystyngowanie,
szarmancko pokrapiają eleganckie panie.

Zmieniają się epoki, czas jak wariat leci,
do Śmigusa z Dyngusem przybiegają dzieci
w plastikowe na wodę pistolety zbrojne,
oni uczą jak toczyć podwórkową wojnę.

Niestety czas wciąż pędzi, coraz mniej podwórek.
Domy, jednakie wszystkie, stoją nudnym sznurem.
Gruby Dyngus gdzieś w bramie piwem się zalewa,
chudy Śmigus na niego wyraźnie się gniewa
I ciągnie go za rękaw: – Chodź bo o tej porze
lanie i zalewanie jest w telewizorze.

6 IV 2019

Zbigniew Zbikowski

cztery anioły

anioły jasne byty skrzydlate
na brzegu nieba na rogu świata
stoją i stoją
w ciemności ciemnej
istoty piękne
i nieulękłe

we mgle bezgwiezdnej w zgubnej zamieci
gdzie bestia czyha by pożreć Dziecię
stoją i stoją
czujne i dzielne
cztery anioły
ufne i czelne

pierwszy białoskrzydły
powietrze rozcina
drugi chabrooki
wzrok topi w głębinach
trzeci złotoskóry
ziemię ma w koronie
a czwarty szkarłatny
ogniem jasnym płonie

stoją i stoją nad pasterzami
ponad owcami ponad wołami
w rękach ich błyszczą
miecze płomienne
przed bestią strzegą
Pannę brzemienną

cztery anioły wierne i czyste
stoją i stoją duchy przejrzyste
na rogu świata
na nieba skraju
silne i chrobre
straże trzymają

pierwszy białoskrzydły
powietrze rozcina
drugi chabrooki
wzrok topi w głębinach
trzeci złotoskóry
ziemię ma w koronie
a czwarty szkarłatny
ogniem jasnym płonie

aż oto światłość bije z światłości
jodła rozbłyska dom wita gości
kruchy opłatek
z rąk do rąk chodzi
ciemność umiera
Bóg się nam rodzi

szklane anioły łańcuch je spina
wokół nich lampki w żłóbku Dziecina
kiedy czuwają
łagodne święte
rzeczy się dzieją
wprost niepojęte

pierwszy białoskrzydły
powietrze rozcina
drugi chabrooki
wzrok topi w głębinach
trzeci złotoskóry
ziemię ma w koronie
a czwarty szkarłatny
ogniem jasnym płonie

Grzegorz Walczak

Taniec z dusiołem

(*fragmenty*)

Poetycki poemat sceniczny
na dwa głosy

Postaci
Dziewczyna – Głos 2
Facet – Głos 1

1. Wiatr chrobocze do mych drzwi,
czarna baba w dziupli śpi,
a dusiołek za proboszczem
to podskoczy, to zapłacze.

Mam ja w furtce cztery szczapy,
gram ci na nich o północy.
Miesiąc włazi mi do chaty,
gapi się i szczypie w oczy.
Było, było, że w dziewczynie
rozkochałem się na wiosnę,
ale jeszcze wcześniej – w zimie
łowcę-kota jej przyniosłem.
Myszołowny od klasztora
raz koszulę dziewce stargał,
przeinaczył się w dusioła
i zawisnął jej na wargach.

2. Kto to, co to?
Leśny bóg?
Leśny kozieł
Żeby tylko zdolny był,
Żeby tylko mógł.

Masz ty sęka?
Masz ty czym?
Taki mi się dzisiaj śnił.
Czy to nie jest zwykły cap?

1. Chwyć mnie wpół,
Obłapem złap!
Jam rozkoszdziej,
Jam słodkowij.
Co dziewczęce,
Muszę łowić,
Muszę sycić
Do zasytu,
Pochwytywać
Dla zachwytu.

2. Goń mnie, chwyć mnie, zewrzyj tak,
By się zakołował świat,
Co mknie raz w niż,
A raz ponad,
Bym wołała urzeczona:
„Dreszcze słodkie,
Dreszcze płodne.
Jeszcze!, jeszcze!
Prośbne, głodne.
We mnie światła i muzyka.
Lędźwie żar mi z ciebie słodki,
lędźwie żar mi twój przenika".

1. Jam rozkoszdziej,
Jam słodkowij,
Lecz gdy ciebie
Nie ma, kraśna,
Jam połową
Bez połowy,
Zimny ogień,
Gwiazda zgasła.
Jam pustelnik

W pustolesiu,
Beznadziejnik
W samogrzechu.

2. Taki mi się dzisiaj śnił.
Czy to nie jest zwykły cap?

1. A po śniegu śladostopy,
a po zimie wnet roztopy.
Narzeczona biała, senna
to poznaje, to mnie nie zna.
Za październikiem październik zrywa,
obsmyczyła się łykami,
biegnie, ciska za się łyka
i już naga oczy mami.

2. A ja nocą lubię stroić
chocholika i dusioła
Najpierw mlekiem go napoić,
potem słomą go ogacić.
Skrył się w mojej biednej chacie
jeden z lasu od korzeni,
prosił, mówił, że zapłaci,
jak się tylko dobrze wżeni.
A gdy przyszedł, z oczu trysnął,
prosił, płakał coraz głośniej,
że ma dosyć na ziębisku
dyndać na spróchniałej sośnie.

1. A ta sosna, ta sośnina
Skamle zwodnie jak dziewczyna.

„Sosna i drwal"

2. Drwal mi młody
Tańczy ostro wokół pnia.

Światła sęki lecą ku mnie,
W moje ręce drwal mi wpadł
Światła sęki ma na skórze,
Gubi potu krągłe ziarna,
Drwal mnie pieści siekiereczką,
Słodka śmierć się we mnie wparła.

Drwal się we mnie zapamiętał,
Błogosławi mnie siekierka,
Odpadają suknie nagłe,
Fruną białodrzewne żagwie.

Już nas porwał leśny tan,
Coraz bliższy oddech drwala,
Już mnie chwycił wpół za stan
I sposobi, i zniewala.

Wtem przyklęknął młody drwal,
Taki leśny u mych stóp.
Chce coś mówić, o coś prosić,
Chce mieć zaraz ze mną ślub

Gałąź ręki mu podaję,
Cała nad nim pochylona,
A z żywicy me warkocze
Płyną wprost do jego kolan.

Już się zachwiał we mnie świat,
Coraz bliżej oddech drwala.
Jeszcze raz mnie siekiereczką,
O… jak pięknie niebo spada!

Przepaść, przepaść, spadam w przepaść.
Tańczą góry pod powieką.
Ziemia biegnie mi naprzeciw.
Spod nóg mi umyka niebo.



Franciszek Maśluszczak, *Wędrowiec*
2003. Akryl, 55 x 38 cm

Pochwyciłam drwala w locie,
W swym ostatnim zatańczeniu,
Choć się wyrwać chciał z mych objęć,
Z nim zwaliłam się na ziemię.

Dumne serce mu wydarłam,
Otuliłam rudym szalem,
Całą sobą ułapiłam,
By na zawsze być już z drwalem.

(…)

(*Zakończenie utworu:*)

„Pogrzeb słońca”

2. Słońce chyli się zmurszałe
bo spróchniało w norze nocy.
Na mchu leśnym głowę kładzie,
próchnem złotym całe broczy.
Młoda łania zabłąkana
polizała słońce czule,
aż się zabliźniła rana,
w przypalanej nieba skórze.

Choć słabnące, się odnawia,
ponad Ziemią jeszcze wzlata,
tarza się w wysokich trawach,
pośród sosen się zatacza
i podświetla zmierzchu ciszę
swoim purpurowym skonem.
Roztrwaniając się, wciąż niżej
zjeżdża mrocznym nieboskłonem.
Pąkiem światła w dzień kiełkuje
powtarzalnie, nieskończenie.
Noc je wciąga gdzieś w zaświaty,
potem głębiej – w nieistnienie.

Co dzień wraca oblepione
snów porannych grząskim mułem.
Kiedyś, raz, nie wróci w porę.
Wpadniesz wtedy w czarną dziurę.
I rozsypie się zmurszałe
twoje Słońce wśród paproci,
i poniosą twoje ciało
tam, gdzie nic już się nie złoci.
Przyjdą po nie ze świecami
i poniosą w czterech deskach.
Cóż po tobie pozostanie?
Tylko ciemność jeszcze gęstsza.

1. Mroki w mrokach – to nie strach.
Pożar w oczach, w gębie piach
– nie zmartwienie, byleś ty
była pulsem mojej krwi.
Niech mój bałamutny świerszcz,
co w mym uchu plecie wiersz,
nie ustaje, póki sny
śnią się same, póki my…
Nie dokończę tego już,
bo mi dusioł wlazł do ust.

Mam ja teraz ogród martwy,
wiatr w nim trzymam i chochoły,
o zmierzchaniu żreć im daję
i odnoszę do stodoły.
A ten, co to przymknął z lasu,
co na sośnie był wesołek,
bawi mnie za miskę kaszy,
a na imię mu… Dusiołek.

Wiatr chrobocze do mych drzwi, czarna baba w dziupli śpi,
a dusiołek za proboszczem
to podskoczy, to zapłacze.

(*powtórzenie* „**Bo miłość”**)

2. (*śpiewa*) A może znów na drugim brzegu
tej rzeki, której nigdzie nie ma, spotkamy się w bijącym sercu,
z którego się wyłoni Ziemia.

Bo miłość jest jak fala krwi,
która mnie z niedozmarłych wskrzesza.
Jej pędu nie powstrzyma nic,
bo święta jest, choć czasem grzeszna.

Błoniastej nocy gaśnie czerń
przeszyta promieniami światła.

Tak miłość unieważnia śmierć,
by bardziej rzeczy sens zagmatwać.

I teraz znowu widzę ciebie
to w białym ciele nagiej brzozy,
to w gwieździe wędrującej niebem,
a gdym spragniona – w szklance wody.

1. (*mówi*) A może to jest cień na ścianie
lub dym z wypalonego pieca,
co w pustej się obrazu ramie
wciąż snuje, chociaż obraz przepadł.

2. (*śpiewa*) A może to jest cień na ścianie
lub dym z wypalonego pieca,
co w pustej się obrazu ramie
wciąż snuje, chociaż obraz przepadł.

1. A może to jest cień?

2. A może to jest cień?

1. i **2.** A może to jest cień?…

– Koniec –

Grzegorz Walczak

Alicja Patey-Grabowska

Pogodynka

Gdy jest pogoda,
słońce
jak misa pełna miodu
leży na błękitnym obrusie,
na niebie.

Gdy niepogoda,
z obrusa ścieka woda
dużymi kroplami
na ziemię.

Żuki

– Żuki
co niesiecie
na swoim grzbiecie?

– Korę drzewa,
tafle nieba,
buty księżyca, nuty słowika.

– Wielbłądy leśne – żuki,
dokąd niesiecie
na swoim grzbiecie
ciężkie juki?

– Do lasu
pod sosnę.
– Dla kogo?
– Dla wiosny.

Paweł Dunin-Wąsowicz

Praski przewodnik literacki

(*fragmenty* [1])

Saska Kępa

W swej luksusowo wydanej, albumowej wręcz *Historii Saskiej Kępy* [2008] pisarz Waldemar Łysiak cytuje skrót dziejów dzielnicy, który sformułował pół wieku wcześniej Juliusz Wiktor Gomulicki, varsavianista i literaturoznawca: „W XVI w. – istna puszcza dziewicza, pełna olch, brzóz i prastarych dębów, a od Wisły oddzielona gęstą ścianą zarośli; w XVII – schludna osada holenderska, zamknięta jeszcze dookoła gęstym lasem, ale błyszcząca już tu i ówdzie barwnymi plamami sadów i ogrodów warzywnych; w XVIII – miejsce przygodnych, ale świetnych hulanek i zabaw królewskich albo magnackich; w XIX – letni salon stolicy, do którego jechało się każdej niedzieli, aby nacieszyć się wirem, gwarem i barwnością świątecznej zabawy ludowej; w XX – elegancka kolonia miejska, przyciągająca mieszkańców lewego brzegu urokami swych plaż nadwiślańskich" (autor nie przeczuwał jeszcze otoczenia owej „eleganckiej kolonii" osiedlami bloków z mniej eleganckimi mieszkańcami – patrz CHAMOWO).

Początkowo zwano ją Kawczą Kępą. Kiedy przybyli osadnicy holenderscy – Olęderską, kiedy w ich miejsce zajęli z początkiem XIX wieku koloniści niemieccy – Saską. Kępa zaś oznacza wyspę – kilkaset lat temu była nią, oddzielona od Grochowa odnogą Wisły, której pozostałością jest zatoka Portu Praskiego, Jeziorko Kamionkowskie i kanały na Gocławiu.

O ile w XIX i XX wieku literatura towarzyszyła Kępie na bieżąco, to dawniejsze jej dzieje stają się tłem dla beletrystyki dopiero w XXI stuleciu. Druga część trylogii Konrada T. Lewandowskiego *Diabłu ogarek – Kolumna Zygmunta* [2012] rozgrywa się w Warszawie pod koniec I połowy XVII wieku. Jej bohater szlachcic Stanisław Lawendowski zaopatruje karczmarkę wdowę Machę w mandragorę, służącą jej do sporządzania eliksirów zwiększających męską potencję, którymi ta Żydówka handluje

1 Książka *Praski przewodnik literacki* ukaże się w 2019 r. nakładem Fundacji Hereditas przy dofinansowaniu Biura Kultury m.st. Warszawy. Por. „Podgląd" nr 3/2018, str. 55-63 oraz nr 4/2018 str. 64-70.

z powodzeniem w czasie sejmowym. Jest zarówno czarownicą jak sprawną cyruliczką – ratuje ona Lawendowskiego w potrzebie, wydobywając z jego boku srebrną kulę, którą został postrzelony jako domniemany demon. Wdowa zmuszona jest prowadzić swój interes na Kawczej Kępie, gdyż od stu lat Warszawa cieszy się jako miasto królewskie przywilejem „de non tolerandis judaeis", chroniącym chrześcijańskich mieszczan. Mówiąca doskonale i bez akcentu po polsku Macha żali się: „A teraz Żydowinowi nie wolno się nawet tam pokazać na ulicy! – burknęła. – Od razu bym w kunę pod ratuszem poszła, gdyby się tylko wydało, że moja noga na lewym brzegu Wisły stanęła". Natomiast w pierwszym tomie cyklu Sylwii Zientek *Hotel Varsovie Klątwa lutnisty* [2017] pojawił się wątek magazynów założonych w 1645 r. w Skaryszewie, dokąd jeden z bohaterów powieści sprowadzał Wisłą towary z Gdańska – autorka przyjęła zatem, że wspomniana wcześniej odnoga rzeki otaczająca Kępę była żeglowna.

Łysiak cytuje dziesięć przyśpiewek związanych z Saską Kępą, z czego część za *Warszawskimi balladami podwórzowymi* Bronisława Wieczorkiewicza. Odnotowuje różnice pomiędzy wersjami *Frajdy na Saskiej Kępie* Karola Namysłowskiego [1891], zaczynającej się zwrotką:

Nie zawracał kontrafałdy
Że w Warszawie byłeś
A na Saską Kępę
Wcale nie chodziłeś!

– Łysiak za Warszawą przypomina cytowaną w innym źródle żeńską wersję tej piosnki, komentując, że Kępa uchodziła za miejsce wolnej miłości – panny tam bawiące były raczej „lekkiego prowadzenia" i wianki dawno utraciły. Anonimowe w większości oprócz *Frajdy…* przyśpiewki saskokępskie były w zasadzie frywolne, a nawet wulgarne („Saska Kępa zielenieje, tańczą kurwy i złodzieje"), wysławiały uroki życia – taniec, picie i żarcie. Warto zwrócić uwagę na *Polkę w szafliku*, która musiała powstać już w pierwszych latach XX wieku, na co wskazują cytowane niżej druga i trzecia zwrotka:

Gdy muzyka gra od ucha, gra od ucha,
Tańczy burżuj mimo brzucha, mimo brzucha,
Tańczy Polak narodowiec, narodowiec,
I czerwony pepesowiec, pepesowiec.

Kiedy ostro gra muzyka, gra muzyka,
Nawet w starym serce bryka, serce bryka,
Boć to polka z Saskiej Kępy, z Saskiej Kępy,
Aż z kamaszy lecą strzępy, lecą strzępy.

Żydowskie imię w drugim wersie pierwszej zwrotki anonimowego utworu „Oj! Ra" [1898] wskazuje zaś na ponadnarodowy charakter zabaw na Kępie (o czym będzie też dalej):

Jazda w taniec! Oj, ra! Oj, ra!
Stasiek, Mańka, Antek, Dwojra
W prawo w lewo, byle frajda
Kto nie zdąży, ten gamajda.

Saszka Kempa się uśmiecha,
Sapie kuchta, jakby z miecha,
Antek ci ją w pasie ściska,
Aż dziwują się ludziska.

Jako najstarszy Łysiak cytuje walczyk z motywem powodzi, które dotkliwie zalewały Kępę szczególnie w pierwszych latach XIX w. [1800, 1806, 1808, 1813], kiedy sprowadzili się tu niemieccy koloniści – „cudzoziemcy", których:

Kiedy Wisła wezbrała – Rym tyry dyda!
Saska kiempa pływała – Rym tyry dyda!
Cudzoziemcy ze strachem – Rym tyry dyda!
Uciekali pod dachem – Rym tyry dyda!
Ja, wół, krówka i szwinka – Rym tyry dyda!
I panna Kryspinka – Rym tyry dyda!

Wylewy szkodziły Kępie i później, na rzecz powodzian wydawano specjalne publikacje z okolicznościowymi tekstami, wierszem użalała się nad ich dolą całkiem poważana wówczas autorka Hajota, czyli Helena Janina (wówczas jeszcze panna Bogucka, potem zamężna Szolc-Rogozińska, a secundo voto Pajzderska).

Oj ty, falo zbrodniarko,
Cóż ci z nędzy człowieka?

Tam gdzie pędzisz tak szparko
Nagroda cię nie czeka.

Przede wszystkim zabawy na Saskiej Kępie były pożywką dla całej plejady polskich prozaików, choć raczej w lżejszej formie, zwłaszcza gdy byli młodzi jak Henryk Sienkiewicz, który w „Gazecie Polskiej" w 1873 r. [cytat za *Historią Saskiej Kępy*] pisał: „Lato bywa żniwem dla przewoźników, wtedy bowiem nastaje dla różnorodnej, ale głównie rzemieślniczej ludności, pora przejażdżek na Saską Kępę. Różnobarwne tłumy powiewają sobie chustami z łodzi do łodzi, lub śpiewają pieśni, których echo daleko niosą fale wiślane. Płeć piękna wydaje okrzyki przestrachu, spowodowane kołysaniem łodzi; młodzi mężczyźni wtórują im śmiechem, który jako dowód odwagi jest zarazem sposobem zdobywania serc. Słowem weseli się wszystko i raduje, a oczom przedstawia się bardzo piękny, romantyczny prawie widok. Kto wie jednak, czy nie piękniejszy jeszcze, a pewnie prawdziwiej romantyczny widok jest nocą, gdy mgła w fantastycznych kłębach pokryje brzegi, na galarach błyszczą dalekie światełka, czasem uszu doleci piosenka flisaka, czasem na mrocznym tle zarysuje się parowiec i, odetchnąwszy dymem, jakby z czeluści piekielnej, rozsypie złote snopy iskier, po których głębsza jeszcze ciemność na falach" – zachwycał się 27-letni romantycznie nastrojony Sienkiewicz.

Rok młodszy Bolesław Prus temat potraktował niebawem zgoła odmiennie, drukując na łamach „Kuriera Warszawskiego" czwartą w swoim cyklu *Szkiców warszawskich* humoreskę *Na Saskiej Kępie* [1874]. Na Saską Kępę wybierają się w niej Radcostwo z córką Manią – panną na wydaniu. Asystuje im zadufany w sobie przystojny i wygadany młody urzędnik Karol, który zamierza się Mani oświadczyć. Kipi jednak w nim zazdrość, że na piknik wybrał się także kuzyn panny – Adolf, skromny młodzieniec z uniwersyteckim wykształceniem. Prus w krzywym zwierciadle pokazuje walkę właścicieli czółen o pasażerów na Solcu (poznajemy wymyślne nazwy ich łodzi „Zygmont", „Szybkobieg", Salomońska Extrum", „Izabela"). Bohaterowie kierują się do najsławniejszej restauracji na Kępie – „Pod Dębem" (Łysiak lokalizuje ją przy zbiegu dzisiejszej Francuskiej i Zwycięzców), lecz bez Adolfa, który zapragnął odwiedzić chorego przyjaciela, który od kilku tygodni bawi tu na letnim mieszkaniu. Dowiadujemy się, że wieś liczny domów dwadzieścia osiem.

„Jeżeli istnieje raj ziemski, to jest nim niezawodniej kolonia «Pod Dębem». Cudna ta miejscowość, obok win we wszystkich gatunkach,

limonady, biszofu, piwa kulmbachskiego, kilku altanek, mnóstwa stolików i ławeczek, lokaja we fraku, dwu huśtawek i jednej karuzeli, posiada jeszcze strzelnicę z dwoma tarczami i wiatrówką, tudzież kanał z czółnem, w którym doskonale jeździć by można gdyby wody nie brakło". Korzystają z karuzeli, potem Karol oddala się na poszukiwanie Adolfa – znajduje go drzemiącego i korzystając z okazji wrzuca zdjęte przezeń kamasze do wody, aby pozbyć się jego dalszego towarzystwa – w mokrych byłby ośmieszony. Po powrocie do Warszawy zjawia się u Radcostwa jednak Adolf w wysuszonych kamaszach i mówiąc o podłym zachowaniu ośmiesza Karola.

Sienkiewicz i Prus poświęcali uwagę przeprawie – była to zdecydowanie krótsza droga niż okrężna jazda przez most Kierbedzia, Pragę i mostek łączący Pragę z Kępą. Wątek przeprawy czółnem pojawia się także w powieści Adolfa Dygasińskiego *Przygody młodzieńca czyli Robinson polski* [1892]. Jej ubogi bohater pracuje jako pomocnik kataryniarza Grosmana, dla którego niedzielne zabawy na Kępie są doskonałą okazją dla zarobku, skąpy pryncypał wymaga jednak, aby jego asystent płacił sam za przewóz na drugą stronę Wisły.

Najambitniejszym utworem, mającym w tle Saską Kępę, jest jednak *Sielanka* Władysława St. Reymonta, która miała swój pierwodruk – jak się przekonamy, z pewnością ze względów cenzuralnych – w zbiorowym tomie *Z za kulis Warszawy* [1901], wydanym w Krakowie.

Akcja tego opowiadania również zaczyna się „Pod Dębem". Żyd nawołuje do karuzeli, odchodzi gra w kręgle, reklamuje się wędrowny profesor czarnej magii. Pijani oficerowie śpiewają.

„– Milczeć tam, cicho – wołali groźnie w ogródku, bo śpiew był rosyjski. Więc śpiew umilkł natychmiast".

Student medycyny Stach, pochodzący z zamożnej rodziny z prowincji, adoruje kelnerkę Zośkę, którą zna już od roku. Kiedy gospodyni woła Zośkę, aby usługiwała oficerom, Stach przebija ich w jej oczach jako lepszy gość – płaci za osobny gabinet, zamawia szampana, by uchronić dziewczynę od natręctwa Moskali. Muszą jednak przed nimi uciekać. W powrotnej drodze zaprzyjaźnia się z dotychczasowym adoratorem Zośki – robotnikiem z Woli, który początkowo straszy go nożem, ale potem wciąga w socjalistyczne najwidoczniej spiski.

Następnego dnia Stacha odwiedza Zośkę u rodziców w skromnym domku, na dzień dobry jej ojciec pijanica wyłudza od niego 20 rubli. Będzie tak wyłudzał dalej, sprzedając de facto córkę – przyzwalając na uprawianie miłości fizycznej z zamożnym studentem. Fakt zajścia przez Zośkę w ciążę

jest dla jej ojca kolejną okazją do naciągania Stacha. Nieoczekiwanie aresztowany zostaje jednak poznany przez Stacha wolski robotnik, który wprowadził go do konspiracji – kiedy Stach wraca do siebie na Hożą, i na niego czekają żandarmi. „Sielanka się przerwała…" – puentował przyszły noblista.

Nękające Kępę powodzie podmywały zarazem interesy przedsiębiorców rozrywkowych – publiczność zabaw ludowych przenosiła się na pewniejsze Bielany. Dopiero na początku XX wieku rozpoczęto budowę Wału Miedzeszyńskiego, grobli (al. Zieleniecka) oraz Trzeciego Mostu, czyli dzisiejszego mostu Poniatowskiego – zaczęto snuć plany zagospodarowania tak blisko centrum położonych terenów. Wybuch wojny światowej odsunął je w czasie – most Poniatowskiego wysadzony w 1915 r., prowizorycznie naprawiony, spłonął w 1916 r. i odbudowywano go prawie dziesięć lat.

Rodzina dawnych mieszkańców Kępy to bohaterowie opowiadania Lesława M. Bartelskiego *Spacer na moście* [1955]: „Rodzice Zielińskiego mieszkali w owym czasie na Saskiej Kępie, na wprost Solca, w niskiej drewnianej chałupce, zagubionej w nadbrzeżnych łęgach. Ojciec rybaczył [sprzedawał ryby na Solcu] (…). Usypano Wał Miedzeszyński, by rzeka w czasie wylewów nie podchodziła rozlewiskami pod Grochów. (…) Saska Kępa, gdzie żyzną ziemię sprzedawano na morgi, ale nikt brać jej nie chciał, bo daleko – ożywiła się". Podobnie tytułowa bohaterka opowiadania Janiny Wyczółkowskiej-Surynowej *Babunia z Saskiej Kępy* [1933], która wspomina dawne czasy – i oczywiście restaurację „Pod Dębem". Przeżywała to jak Kępa pod koniec XIX wieku przestawała być modna i lepsze towarzystwo zostało zastąpione przez plebs. Martwiły ją też przemiany po usypaniu wałów, choć „dziadunio zacierał ręce" i „za sprzedane place można było wyposażyć Helenkę". Chociaż mieszka od pół wieku w tym samym wygodnym drewnianym domu, którego ganek oplata wino, to nie ma już dawnego sadu. Jest jej teraz na Saskiej Kępie „obco, ciasno i źle" między nowoczesnymi willami, kortami tenisowymi i słupami reklamowymi – chodzi z robótkami do Parku Paderewskiego (patrz SKARYSZAK). Dziaduś jednak był jednak „jednym z tych, co miasto-ogród rozplanowali i ruszyli jego rozbudowę" i nadal jest za postępem.

Z rozbiórki innego takiego drewnianego domu rolnika z Kępy pochodzą najprawdopodobniej pociemniałe ze starości deski, z których stawia na Gocławiu bieda-chatę rodzina robotnicza z powieści Heleny Boguszewskiej *Za zielonym wałem* [1934] (patrz KOLONIA PRAUSSA). W powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza *Świat pani Malinowskiej* [1934]

narzeczeni Bogna Jezierska i Ewaryst Malinowski, którzy poznali się w pracy w Funduszu Budowlanym, otrzymują w ślubnym prezencie właśnie działkę na Saskiej Kępie, zakupioną składkowo przez kolegów (szybko ją Ewaryst przehula). U Bohdana Jaxy-Ronikiera w *Mieście zadżumionych* [1936] we wspaniałej willi rezyduje już na Kępie producent filmowy Jerzy – wcześniej Izaak – Szturm, który zatrudnia do roli w *Carewiczu* według Zapolskiej przystojnego sutenera z Makropola – Wala (patrz ANNOPOL). Choć nie mieszkali na Saskiej Kępie, lubili tam spacerować nad Wisłą Kamil i Noemi – bohaterowie powieści Adolfa Rudnickiego *Niekochana* [1937]: „księżyc unosił się tak nisko, że wydawało się, iż wystarczy rękę wyciągnąć, aby go dotknąć, księżyc tak duży jak nigdzie na świecie". Pod adresem Zwycięzców 10 małe mieszkanko, ale ładnie urządzone i z pracownią zajmuje zaś Elżbieta Rzeczka, z zawodu dekoratorka, z powieści Karola Witkowickiego (właśc. Stefania i Karolina Beylin) *Fabryka młodości* [1936]. Odnosi jej tam zgubiony list tancerka Ludka, czekająca na Brackiej w tym samym salonie piękności „Stella", nieświadoma, że ma zostać ucharakteryzowana na inną osobę dla mistyfikacji podjętej w celu obrabowania banku przez swego kochanka. Niekorzystna przemiana naturalnie ładniejszej Ludki wzbudza podejrzliwość Elżbiety (skądinąd chętnie chodzącej pieszo mostem Poniatowskiego), która zgłasza sprawę znajomemu policjantowi – plan rabunku zostaje powstrzymany.

Najbogaciej przedwojenną – a potem wojenną – Saską Kępę odtworzyła w beletrystyce w kolejnych tomach autobiograficznej poniekąd sagi rodzinnej Danuta Mostwin. Jej bohaterowie Tadeusz i Irena Żuławscy noszą imiona jej rodziców Pietruszewskich, ona sama ma w niej na imię Boga. Czasy przedwojenne odtwarza w tomie *Szmaragdowa zjawa* [1988], kiedy to narratorka zamieszkuje na Kępie z rodzicami jako dziewięciolatka. Było to w czasach, gdy „lecz rumowiskiem śmieci, które nadwiślańskie wiatry roznosiły po głównej ulicy zwanej Francuską. Ulica ta, nierówna, pagórkowata, w zimie pokrywała się gołoledzią, a na wiosnę i jesienią długo nie schły tam błotniste kałuże. Ale zaraz za willami przypominającymi amerykańskie przedmieścia (…) były tereny niezabudowane i pola uprawne. Latem można tam maki, chabry i kąkole".

Ani książkowi Żuławscy, ani autentyczni Pietruszewscy nie należeli do saskokępskich posesjonatów – kolejne mieszkania wynajmowali (Francuska 12), ale byli pionierami nowego życia Kępy. Aby dorobić do skromnej oficerskiej pensji męża, Irena zakłada bowiem kolejne sklepy – najpierw pierwszy sklep spożywczy na Saskiej Kępie – Współpraca,

potem mydlarnię. Narratorka konstatuje jednak „Na Saskiej Kępie powstaje dom za domem. A środek dzielnicy jest stale jeszcze pobojowiskiem śmieci, żerem bezpańskich psów, zabłąkanych kotów". W końcu Irena sprzedaje sklepy, kapitał wkładając w pracownię krawiecką i sklep galanteryjny Bogumiła.

Lata od wybuchu wojny do Powstania Warszawskiego obejmuje *Tajemnica zwyciężonych* [1992]. Różni się od *Szmaragdowej zjawy* pod względem narracji – w poprzedniej książce jedyną narratorką była Boga Żuławska, tutaj śledzimy losy jej ojca w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie i przyszłego męża Staszka walczącego pod Tobrukiem i szykującego się w Anglii do misji cichociemnego. Boga studiuje medycynę na półoficjalnych kursach, na Kępie ukrywa się doktor Birencwajg leczący oficerskie żony. Wyjątkowy jest opis obławy przeprowadzonej przez Niemców zbierających zakładników zimą na Saskiej Kępie – zagrożeni biegną nad Wisłę, żeby przejść po lodzie na Czerniaków – uciekają tyłami ogrodów wzdłuż Francuskiej, następuje wyliczanka kolejnych przecznic i kolejnych uciekinierów, do których na rzece Niemcy strzelają z mostu, powieść odcięcie Kępy zarówno od Warszawy jak Pragi po krótkiej bitwie powstańców z Niemcami w parku Skaryszewskim i praca Bogi w prowizorycznym szpitaliku w szkole na rogu Obrońców i Francuskiej.

Akcja *Nie ma domu* [1996] obejmuje natomiast tylko kilkanaście miesięcy od wywózki mężczyzn z Kępy zarządzonej przez Niemców, kiedy to Boga ukrywa na strychu Stanisława. Zdobycie Pragi przez wojska sowieckie i kościuszkowców związane jest z kolejnym nakazem ewakuacji z linii frontu, tym razem dotyczy także kobiet. Po kilku miesiącach spędzonych w Lublinie bohaterowie książki wracają na Kępę („Francuska zryta lejami po szrapnelach, płaskie mogiłki na trawnikach, oczodoły wypalonych budynków") panie organizują jadłodajnię, pierwszą na Kępie „Nowa Gospoda", ale dom Francuska 12, w którym ocalało tylko ich dawne mieszkanie, zostaje przeznaczony do rozbiórki. Z końcem 1945 r. wyjeżdżają do Anglii do ojca Bogi.

Powieść Elżbiety Szemplińskiej *Warszawa w ogniu* [1946] opowiada o młodej rodzinie mieszkającej na Kępie we wrześniu 1939 r. Większość oblężenia bohaterowie spędzają jednak w śródmieściu, o tyle szczęśliwie, że ich mieszkanie zostało zniszczone – ocalał tylko tapczan i mały stolik. Brak w książce zupełnie szczegółów topograficznych z prawego brzegu.

Najbardziej znanym utworem literackim z motywem Saskiej Kępy w czasie okupacji pozostaje najprawdopodobniej opowiadanie Jerzego

Andrzejewskiego *Wielki Tydzień* z tomu *Noc* [1945]. Jego bohater Malecki, u którego na Bielanach znalazła schronienie w kwietniu 1943 r. Żydówka Irena Lilien, wybiera się na Kępę do Feli Ptaszyckiej z nadzieją, że będzie mogła zamieszkać w jej willi. Irena ostrzega, że wokół Feli kręci się jakiś oenerowiec. Gdy przybywa do Ptaszyckiej („Willa starej Ptaszyckiej stała w głębi nadwiślańskiego bulwaru, nieco samotnie, pustym placem oddzielona od szeregu will bliższych"), ta prosi go o chwilę cierpliwości, bo ma do załatwienia pewną sprawę. Nie mogąc się jej doczekać, zaczyna szukać Feli po domu, zwłaszcza że usłyszał w oddali jakby dwa klaśnięcia. Zaraz potem zostaje zlikwidowany przez dwóch oenerowskich konspiratorów jako niewygodny świadek zamordowania przez nich Ptaszyckiej,

W opowiadaniu Janusza Rychlewskiego *Licht aus!* z tomu *Człowiek z gutaperki* [1949] Witold Karszłowski, intendent ze szpitala, gdzie pracował lekarz żydowskiego pochodzenia Jan Safian kupuje dwupokojowe mieszkanie w willi przy Zakopiańskiej i zamieszkuje w nim razem z Safianem i jego żoną Bożeną, otaczając ich opieką. Nie jest ona jednak bezinteresowna – Karszłowski uwodzi Bożenę, która zachodzi w ciążę – doktor Safian opuszcza ich i wstępuje do oddziału partyzanckiego.

Temat ukrywających się na Saskiej Kępie Żydów w oryginalny sposób – bo z perspektywy psa – poruszył Ryszard Marek Groński w książeczce *Szlemiel* [2010]. Jemu i wykradzionej z getta dziewczynce Joasi Stein udziela schronienia w swej wolnostojącej willi w ogrodzie profesor Wilamowski. Kiedy za Joasią przychodzą szmalcownicy, Szlemiel w obronie swej małej pani rzuca się na nich i przywołuje pomoc – konspiratorów, którzy ich zlikwidują. Jednak gdy profesor zostaje aresztowany za posiadanie radia, zobaczywszy gestapowców, powracająca ze spaceru znad Wisły Joasia ze Szlemielem, udaje się pod mur getta, gdzie narracja się kończy spodziewanym zastrzeleniem psa.

Oprócz bohaterów powieści Danuty Mostwin, świadkiem wybuchu Powstania Warszawskiego na Saskiej Kępie jest także 10-letnia Zosia z powieści Barbary Gordon *Rozbite gniazda* [1988] – udaje się jej jednak w końcu przekraść na bezpieczniejszą Grochowską (patrz GROCHÓW).

Wyjątkowym przypadkiem jest opowiadanie Ferdynanda Goetla *Rozrachunek* [1950] drukowane w emigracyjnym „Tygodniku Ilustrowanym" ukazującym się w Surrey w Wielkiej Brytanii. Choć nie pada nazwa Saska Kępa, na praskim brzegu jednorodzinne domy stały praktycznie wyłącznie tam – a do takiego wprowadza się podczas Powstania na kwaterunek nadzwyczaj uprzejmy oficer Wehrmachtu. Samotnym lokatorem jest mężczyzna

w średnim wieku nazwiskiem Piotrowski. Niemiec oferuje zgłodniałemu Polakowi pożywienie, a sam marzy o wyspaniu się w pościelonym łóżku. Grają nawet w szachy. Niemiec przeżywa to, co uczynili w Polsce, a walkę z prawie bezbronnymi powstańcami uważa za upokorzenie dla siebie jako żołnierza, mówi, że walczą na dwa fronty. Piotrowski zauważa, że Polacy również – jego córka zginęła w Oświęcimiu, a brat w Katyniu. Chora żona w momencie wybuchu powstania znajdowała się zaś w szpitalu na lewym brzegu.

Niemiec pyta o dokładny adres i wyrusza walczyć z powstańcami. Po kilku dniach Piotrowskiego budzi pukanie – ma wyjść z domu i podejść do samochodu. W wozie na noszach w zakrwawionych bandażach leży ranny oficer, który u niego kwaterował. Informuje Piotrowskiego o tym, że szpital, gdzie przybywała jego żona, leży w gruzach – zdążył to sprawdzić. Żegna się słowami: „Nie rozrachujemy się. Za późno".

Dodatkowe okoliczności są takie: Goetel, przed wojną prezes najpierw polskiego PEN Clubu, a potem Związku Zawodowego Literatów Polskich, był jednym z nielicznych pisarzy mieszkających na Pradze – przy Targowej 44 w latach 30. urządzał słynne popijawy zwane Łabardanami – bywali na nie zapraszani m.in. Skamandryci (z wyłączeniem Iwaszkiewicza), Staff, Parandowski oraz wojskowi dygnitarze z Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim na czele. Mieszkanie zostało uszkodzone we wrześniu 1939 r. i okupację oraz Powstanie Goetel spędził na Żoliborzu. Natomiast w 1943 r. znalazł się w misji Czerwonego Krzyża, badającej groby polskich oficerów w Katyniu – w 1945 r. po opanowaniu Krakowa przez nową władzę musiał pospiesznie emigrować, jako niewygodny świadek, który ogłaszał publicznie to, co zobaczył.

Wspomnieniom okupacyjnym poświęcił tom *Niedziela bez dzwonów* Lesław M. Bartelski [1973]. Przywołuje w nim poległych towarzyszy z literackiej konspiracji związanych z grupą Sztuka i Naród, ale także rodzinny dom na krańcu Kępy przy Rzymskiej, gdzie ukrywał broń maszynową, wywiezioną przed wybuchem Powstania Warszawskiego, w którym on sam walczył w Mokotowie. Jego lektura jest kluczem do autobiograficznych wątków we wcześniejszych beletrystycznych utworach związanych z tużpowojenną Saską Kępą.

W opowiadaniu *Topole* z tomu *Miejsce urodzenia* [1955] narrator do spustoszonego domu na Kępie wiezie w 1945 roku od ciotki z Pragi tapczan – jako podwózka służy pogrzebowy karawan. Zauważa, że na łące kosi tylko sąsiad staruszek – choć zabudowa raczej ocalała, to większość mężczyzn

nie powróciła z obozów. „Pastewnik nad Wisłą był pusty. Zniszczone przystanie o deskach nadpalonych lub wyrwanych ze ścian, zbitych szybach, połamanych dachach zaśmiecały brzeg".

Czemu zwoził tapczan od ciotki, można dowiedzieć się niebawem z powieści *Pejzaż dwukrotny* [1958]: „Matkę usunęło wojsko i postarało się także wywieźć nasze wszystkie meble. Sprzedawali je potem żołnierze za bezcen w Rembertowie. Oto jak z naszego punktu widzenia przedstawiało się wyzwolenie Warszawy" – mówi Zygmunt, podchorąży „Nurt", alter ego Bartelskiego.

Dom Bartelskich sąsiadował z zaprojektowaną przez Bohdana Pniewskiego majestatyczną willą Zalewskich. Łatwo ją zidentyfikować w opisie z *Pejzażu dwukrotnego*: „Dom stał przy Wale Miedzeszyńskim, od którego odgradzał go zniszczony park przy zrujnowanej w czasie działań wrześniowych ongiś luksusowej willi. Jej ruiny odcinały się krwawymi słupami obnażonych z tynku ścian, niebo opływało je miękko jak kamień u brzegu rzeki" – willę Zalewskich odbudowano dopiero na początku lat 80., pozbawiona perspektywy ogrodu wiele straciła na urodzie.

Tematem *Pejzażu…* są dylematy zdemobilizowanego akowca, wzywanego do dalszej konspiracji, a jednocześnie postawionego wobec konieczności rozpoczęcia normalnego życia – wiosną 1945 roku na Rzymskiej sąsiad zarzyna świnię, a kolega Andrzej prosi, aby go ukryć, bo obawia się UB. Z jednej strony wykopywanie zapasów wódki ukrytych przed Powstaniem głęboko w piwnicy, z drugiej podróż do rodziców poległego w Powstaniu kolegi, by powiadomić ich o jego śmierci. Uszkodzony przez pocisk dach domu przecieka, ale jakoś zamieszkują w nim z matką z powrotem, acz „Nurt" musi przez parę dni ukrywać się na Żoliborzu po aresztowaniu Andrzeja.

W tym samym pułku AK „Baszta" co Bartelski walczył w Powstaniu na Mokotowie jego rówieśnik Jerzy Stefan Stawiński, także pisarz, znany z licznych ekranizacji jak *Zezowate szczęście, Eroica, Kanał, Godzina W., Pogoń za Adamem* czy zawierające praski wątek *Urodziny młodego warszawiaka* (patrz DWORZEC PETERSBURSKI). Narrator ostatniej powieści Stawińskiego *Głupia miłość* [1996], były oficer AK a teraz student i drobny urzędnik, po repatriacji w 1947 r. chce utrzymać w Warszawie znajomość z poznaną we Włoszech Zuzanną, ale ta się urywa. Po roku wczesną wiosną 1948 r. Zuzanna nagle do niego dzwoni i umawia się w śródmieściu. Zatrzymuje taksówkę – jedną z pierwszych sowieckich pobied – i jadą razem na Saską Kępę – „…stanęliśmy przed willą w jednej z wąskich uliczek.

Saska Kępa nie uległa większemu zniszczeniu tylko dlatego, że do powstania tam w ogóle nie doszło". Po gwałtownym akcie miłosnym Zuzanna wyznaje narratorowi, że kocha tylko jego, ale wyszła za sekretarza ambasady Italii i stąd ta willa. Urażony ucieka, lecz następnego dnia nawiedzają go w biurze ubecy, którzy obserwowali rezydencję dyplomaty i chcą nakłonić do donoszenia. Następne jednorazowe erotyczne uniesienia z Zuzanną przeżywa dopiero w 1956 r.

Niezniszczoną Saską Kępą zachwycał się w 1949 roku idący z indeksem do chorego wykładowcy bohater powieści Krzysztofa Kąkolewskiego w powieści *Paradis* [1989]. Można się domyślać, że autor odtwarzał swój młodzieńczy zachwyt i pragnienie by tam zamieszkać (patrz POTWÓR). W mieszkającej na Kępie nastoletniej Monice Arden z powieści Agnieszki Osieckiej *Zabiłam ptaka w locie* [1992], do której z oddali dochodzą okrzyki na cześć Bieruta, także można domyślać się alter ego autorki (patrz OSIECKA) – oboje wracali w swych utworach do tej dzielnicy wielokroć i wiedza o nich zawarta została w osobnych hasłach.

Bohaterem pisanej w 1957 roku, ale wydanej dopiero po emigracji autora powieści Stanisława Wygodzkiego *Zatrzymany do wyjaśnienia* [1968] jest stary komunista Szpakowaty, przetrzymywany w areszcie bez wyroku przez sześć lat. Kiedy zostaje zatrzymany wiosną 1949 r. i przewożą go do ośrodka odosobnienia pod Warszawą, jadąc Francuską, jest przekonany, że chcą go tam wysadzić, bo właśnie mijają jego dom, okazuje się to jednak gorzkim złudzeniem.

Wdowiec mecenas Antoni Gasztowt, który staje się obiektem przedziwnych manipulacji nieznanych mu osób w sensacyjnej powieści Stefana Kisielewskiego *Przygoda w Warszawie* [1959], uwolniony z domowego aresztu spotyka na Pradze tajemniczą postać o wyglądzie południowca – jednego z członków Wielkiej Trójki, których ciągle spotykał. Ten przedstawia się jako Anzelm i zaprasza do siebie na Saską Kępę, dokąd jadą taksówką. Trafiają do wyglądającego na opuszczony dom w nieznanej uliczce, gdzie Gasztowt jest częstowany siedmiogwiazdkowym koniakiem oraz narkotykiem własnego wynalazku Anzelma. Antoni doznaje po nim wizji i uczucia bezwoli, tańczy z Anzelmem, budzi się wyczerpany, Anzelm odtruwa go zastrzykiem.

Powracający w powieści Barbary Gordon *Gdy wrócisz* [1958] po 17 latach do ojczyzny z sowieckiego łagru Jerzy Kowalski wypytuje w kiosku, jak dojść na ulicę Walecznych. „Pójdzie pan Francuską, o tą właśnie, prosto, potem skręci pan w trzecią poprzeczną w lewo albo w prawo, zależy

jaki numer". Jednak gdy trafi pod podany adres, będzie srodze zawiedziony – Maria Kowalska, która tam mieszka, to nie jego żona, z ZSRR nie wrócił też jej mąż – to tylko zbieżność nazwisk. O tym, czy wrócą zaginieni, lokatorka z Walecznych rozmawia z doktorową, właścicielką domku, w którym mieszkała, gdy ta zaprosiła ją na samotną wigilię: „Zapaliły świeczki na mikroskopijnym drzewku i rozmawiały o tym i owym, jak to sąsiadki – że trudno kupić coś porządnego w sklepach na Kępie, że dzieci szewca-pijaka z sutereny demoralizują się, że architekt z pierwszego piętra sprawił sobie samochód". Maria zaprzyjaźni się z nie swoim Jerzym, będą kupować „ciepłe jeszcze drożdżówki w małej ciastkarni «w garażu» na Francuskiej, potem chrupiące małe bułeczki u pani Celejowej". Gordon zapisała też, że cała Kępa – inaczej niż w *Małgośce* Osieckiej – pachnie nie bzem, lecz jaśminami, a nawierzchnią Walecznych są kocie łby.

Prezes spółdzielni „Woreczek" Filip Merynos, wcześniej znany pod nazwiskiem Buchowicz, herszt przestępczej organizacji z powieści Leopolda Tyrmanda *Zły* [1955], zajmuje na Saskiej Kępie samotnie parter willi, co w czasach bierutowskiego kwaterunku jest oczywistym luksusem, gdyż w tym czasie młody dziennikarz Andrzej Felak z późniejszej powieści Tyrmanda *Życie towarzyskie i uczuciowe* [1967] musiał się gnieździć w tej dzielnicy razem z ojcem w przydzielonym im jednym pokoju. Nie dziwi więc, że kiedy w nawiązującej do *Złego* powieści Waldemara Łysiaka *Dobry* [1990] jej bohater Karśnicki detronizuje pod koniec lat 70. dotychczasowego szefa praskich gangów, to przenosi się z dwupokojowego mieszkania na Chamowie do jego willi na Kępie.

Odtwarzający lata 50. współcześni pisarze całkiem chętnie korzystają z saskokępskich realiów. Tadeusz Cegielski w kryminale retro *Tajemnica pułkownika Kowadły* [2013] każe majorowi Wirskiemu w 1957 r. przeszukiwać w kamienicy przy Walecznych 3 mieszkanie znalezionego w Narodowym Banku Polskim denata, co do którego prawdziwej tożsamości pojawiają się istotne pytania. Stypa, od której zaczyna się powieść Wojciecha Engelkinga *Człowiek znikąd* [2018] odbywa się w 1956 r. w ucharakteryzowanym na galerię obrazów lokalu operacyjnym bezpieki przy Czeskiej.

Z wizytami u Heleny i Czesława Ładoszów, którzy mieszkali przy Obrońców róg Poselskiej, wiąże się *Toast na Saskiej Kępie* napisany przez Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego [1949]:

Kolacja u przyjaciół to miła rzecz,
To jakbyś w słońcu szedł – głębiej i głębiej –

A tym bardziej w Warszawie, gdy za oknem pryska deszcz
Po wesołej, po zielonej Saskiej Kępie.

Mruczy kot. Dzieci w łóżeczkach śpią.
A, ot Puszkin na półce. Tam georginie.
Lichtarz z mosiądzu lśni. Waltornie Mozarta grzmią.
A deszcz po szybie płynie jak w kinie.

O, bojowniku stary, ty przecież dobrze wiesz,
że tym, co razem idą, wszystko sprzyja.
Więc jak latarnię wznoszę ten wiersz.
Światłem szerokim. Za przyjaźń!

Zanim Maryla Rodowicz zaśpiewała w Opolu *Małgośkę* (patrz OSIECKA), nieoficjalnym hymnem Saskiej Kępy był śpiewana przez Renę Rolską walc *Na Francuskiej*, skomponowany przez Ryszarda Sielickiego do tekstu Bogusława Choińskiego i Jana Gałkowskiego, ze słowami:

Na Francuskiej, na Francuskiej,
jest niewielka kawiarenka,
malowana w śmieszne serca,
co znajdują gubiąc się.

Na Francuskiej kwitną bluzki
wiatr powiewa jak sukienka
suknia modna w dzień pogodny,
suknia strojna w blaski i cień.

Kawiarenka z piosenki była identyfikowana z „Bistrem" (Francuska 6). Natomiast Kalina Jędrusik śpiewała *Cafe* „*Sułtan*" do słów Jeremiego Przybory („W kawiarence «Sułtan» przed panią róża żółta"), dla którego inspiracją był lokal przy Obrońców 12a.

W powieści młodzieżowej Ireny Jurgielewiczowej *Niespokojne godziny* [1964] nastoletnia Kasia przybyła do Warszawy do siostry odnosi pod Dworcem Głównym znaleziony bilet do Gdyni i fotografie pod adres widniejący na kopercie, w której się znajdowały (wypadły one z torebki staruszki, z którą jechała pociągiem, a została okradziona na dworcu). Współlokatorka siostry z Pięknej ją zniechęca „Katowicka jest na Saskiej

Kępie. To daleko i jeżeli się nie zna Warszawy…", co z dzisiejszej perspektywy brzmi śmiesznie. W tramwaju Kasia rozpytuje o Stadion i Katowicką, w efekcie przez przypadek poznaje chłopca pośrednio biorącego udział w kradzieży, urok dziewczyny powoduje, że chłopiec naprawia wyrządzone zło.

Jednak do klasyki gatunku przeszła inna powieść młodzieżowa z Saską Kępą w tle. Julek Seratowicz z *Stawiam na Tolka Banana* Adama Bahdaja [1967] jest modelowym maminsynkiem, który maminsynkiem bardzo nie chce być. Jedynak z willi przy Dąbrówki, którego ojciec inżynier zarabia pieniądze na placówce w Afryce, a matka je trwoni na brydżykach ze znajomymi, czuje się samotny i bardzo zależy mu na akceptacji członków gangu Karioki, reprezentujących zdecydowanie niższe sfery społeczno-ekonomiczne. Dla przyjaźni jest gotów przenocować Szymka Krusza podającego się za zbiega Tolka Banana, choć ten musi się ukrywać przed panią Tecią – gosposią Seratowiczów.

Saska Kępa nie jest jednak wyłącznie miejscem zamieszkania zamożnych inżynierów, z niezamożnej rodziny pochodzi raczej Karioka mieszkająca na Czeskiej. Jako że nie ma na Czeskiej kamienic ani bloków, można sądzić, że jest to jakiś kwaterunek narzucony właścicielowi domu (w serialowej ekranizacji Karioka mieszka jednak w bloku).

Na Kępie, na rogu Saskiej i Walecznych dochodzi do wypadku – poszukiwania jego sprawcy scalą gang Tolka Banana.

„Kiedy żegnając z kolegami Cegiełka wszedł na jezdnię, wtedy z Walecznych wyjechał z wielką szybkością samochód.

– Uważaj! – krzyknął przeraźliwie Julek.

Usłyszał zgrzyt hamulców, a potem rozpędzony Wóz zatańczył na śliskim asfalcie i rozkołysanym cielskiem uderzył w chłopca.

Ten rozpostarł szeroko ramiona, jęknął i jak martwy runął na ziemię.

Samochód ślizgając się na kołach wpadł w ulicę Saską, uderzył w krawężnik. Opony odbiły go na środek jezdni. Ktoś zaklął wewnątrz zajadle. I nagle silnik zagrał jękliwie, a wóz pomknął z jeszcze większą szybkością, mrugając w ciemnym wąwozie ulicy czerwonymi światełkami".

Podczas poszukiwań drogowego pirata Filipek zostaje przez przygodnego kierowcę wysłany z listem na Aldony 15, do jego kumpla mieszkającego na mansardzie oplecionej dzikim winem willi. W pokoju owego – Stanisława Żulińskiego – panuje okropny „artystyczny" bałagan, zaś trop okazuje się fałszywy – to prośba o pożyczkę. Właściwym tropem okazuje

się natomiast podsłuchana przez panią Tecię w sklepie pogłoska o kradzieży volkswagena na Saskiej Kępie.

Julek bardzo chce zaprosić Kariokę na western do kina „Sawa", ale nie ma śmiałości jej tego powiedzieć – niespodziewanie ona sama mu proponuje wspólne obejrzenie filmu.

Spełnienie marzeń Julka jest rzadkim opisem funkcjonowania kina „Sawa" w beletrystyce, istnieje ono w prozie głównie poprzez stwierdzenie jego niebytu, gdyż budynek został rozebrany w 2000 r., zastąpił go apartamentowiec, który zlikwidował zarazem przestrzeń placu Przymierza (wyobrażenie nieistnienia tego kina prorokował Varga w *Śmiertelności*, konstatowała Małgorzata Karolina Piekarska w *LO-terii* – o czym dalej – i Mariusz Czubaj w *R.I.P.* – patrz OSIECKA). Gdy go zabrakło, zabrakło najbardziej charakterystycznego miejsca na Kępie, mogącego inspirować literaturę – szpital przy Niekłańskiej czy kościoł na Nobla (gdzie zemdlał ksiądz w kryminale Szewczykowskiej) takimi nie są. Ale być może właśnie niebyt jest formujący.

Zostaje powtarzająca się w nieskończoność Francuska, aczkolwiek w kryminale Heleny Sekuły *Srebrna moneta* [1975] istnieje na Saskiej Kępie zmyślona przez autorkę ulica Kolorowa, zaś w powieści szpiegowskiej Jana Litana *Agent z „E-Fall"* [1964] żona kapitana WP zostaje znaleziona martwa w mieszkaniu przy Zegrzyńskiej, mającej się znajdować niedaleko Ronda Waszyngtona.

Strych ciotki Szacmajerowej w domu przy realnej Zakopiańskiej jest jednak w opowiadaniu Piotra Wojciechowskiego *Człowiekowi trzeba pomóc* [1984] w domyśle oczywistym miejscem, w którym w Warszawie mógł przetrwać austriacki rajzbret z lampą i przykładnicą. Jadą na Kępę po ten spadek po szkole Wawelberga koledzy Bonawentury, którego dyplom jest zagrożony, bo nie ma porządnego sprzętu do kreśleń i przywożą mu go do Podkowy, gdzie mieszka.

Narrator powieści Jacka Kaczmarskiego *Autoportret z kanalią* [1994] Daniel Błowski w końcu lat 70. podejmuje się zawiezienia antyrządowej bibuły maluchem matki z Warszawy do Tarnowa. Nielegalne druki pobiera na Saskiej Kępie. „Dom okazał się jedną z ocalałych sprzed wojny willi z zadbanym ogrodem. Dlaczego ktoś, kogo stać na taki azyl w peerelu, bawił się w konspirację? – zastanawiałem się, naciskając dzwonek". Wracając po zakończonej misji pod ten adres, ma wrażenie, że śledziła go bezpieka i spalił metę.

Saska Kępa lat 80. jest tłem autobiograficznej powieści Mirosława Sokołowskiego *Gady* [1989] – traktuje ona o środowisku warszawskich narkomanów zażywających kompot z maku, autor nie dożył publikacji książki. Mieszkający w bloku z matką narrator czasem kupuje towar na mieście, a czasem sam go przyrządza. Powieść zawiera m.in. opis włamania na Międzynarodowej, ćpania na klatce schodowej przy Wale Miedzeszyńskim (prawdopodobnie bloki przy Ateńskiej), bohaterowie często odwiedzają bar „Milano" przy Rondzie Waszyngtona. Na dzikiej plaży koło basenów „Wisły" umiera z przedawkowania młodziutka dziewczyna narratora. Po jej śmierci szwenda się on „bez celu krętymi ulicami starej części Kępy, które ongiś towarzyszyły ogromnemu szczęściu, a teraz oglądały tylko samotnego, zmęczonego życiem człowieka. Spoglądałem na bogate wille, okalające je ogrody, zaparkowane przed bramami wspaniałe samochody i myślałem, że to draństwo rozkoszować się będzie dostatkiem (…) gdy ktoś inny znalazł się na samym dnie cierpienia".

Echa transformacji ustrojowej na Kępie odnaleźć można m.in. w opowiadaniu Marka Nowakowskiego *Upadek Małego* (patrz CHAMOWO).

W opowiadaniu Konrada T. Lewandowskiego *Półmisek* [1996] narrator Radosław Tomaszewski, dziennikarz „Obleśnych Wiadomości", udaje się na wywiad do specjalisty od talizmanów Błyszko-Sażyńskiego, mieszkającego w willi przy Berezyńskiej, w „uroczym zakątku Saskiej Kępy". W jej okolicach spostrzega krążące bojówki Gwoździ, czyli Grona Wyższej Świadomości. Ukradną one prezentowany przez gospodarza Tomaszewskiego tytułowy półmisek, będący w istocie kamieniem węgielnym wieży Babel, umożliwiającym spełnianie życzeń i Tomaszewski będzie zmuszony ratować świat przed apokalipsą.

W powieści *Śmiertelność* [1998] Krzysztof Varga poświęcił parę stron opisowi opuszczenia przez jego głównego bohatera Dżabę gościnnego mieszkania na Saskiej Kępie rankiem po imprezie, rozpoczynając od nawiązania do tekstu *Małgośki* Osieckiej „jest maj i pachnie Saska Kępa". Idąc Zwycięzców, Dżaba rozmyśla, czy nie odwiedzić dawnego znajomego, zamiast do niego idzie na Radziłowską i przywołuje wspomnienia z dzieciństwa związane z tym miejscem. „Staje na końcu tej krótkiej uliczki z kocich łbów i wpatruje się w pękające ściany starego domu z balkonami obwieszonymi doniczkami, z których właśnie wykluwają się kwiaty (…) Oto mój raj utracony – mówi do siebie, głośnym, mocno artykułowanym głosem wewnętrznym – moje dni nieświadomości, czas rozkosznej zabawy, dziecięcych chorób, pogoń za kretem, który nagle się wyłonił z małego kopczyka"

– nachodzą go lęki egzystencjalne i zastanawia się, kiedy przestanie istnieć Saską Kępa i jej budynki, wylicza m.in. kino „Sawa".

Na Saskiej Kępie umiejscowione jest też aż 90 początkowych stron powieści Vargi *Masakra* [2015]. Jej bohater Stefan Kołtun, podupadający rockman, spędza je głównie w swoim 80-metrowym mieszkaniu w przedwojennej kamienicy na megakacu po tygodniowym chlaniu. Stwierdza, że opuściła go żona z dziećmi, nie może znaleźć telefonu ani portfela. Tu także nie zostaje podany jego dokładny adres, wiadomo tylko, że mieszkanie znajduje się w odległości około trzystu metrów od jego ulubionego sklepu Paprotka na Francuskiej, gdzie ma nadzieję kupić trzy piwa na kredyt.

„Mieszkali na Saskiej Kępie, w osobnym miasteczku w mieście, małej enklawie światowości w wielkiej wsi Warszawa, w jednym z niewielu bardzo miejsc w stolicy, gdzie można było bez obrzydzenia chodzić po ulicach. Gdzie domy wyglądały mniej więcej jak domy, a nie wielkie kołchozy albo monstrualne bazarowe budy, gdzie panował jakiś ład architektoniczny, swego rodzaju racjonalność, gdzie pachniały krzaki i drzewa, gdzie balkony uginały się od kwiatów, wreszcie – gdzie istniało coś na kształt spokoju w mieście cierpiącym na ciężką nerwicę, histerię, wściekłość i wrzask. Saska Kępa była osobnym bytem, zasiedlonym przez osobną rasę mieszkańców pielęgnujących swoją osobność, swoją wyjątkowość, swój lokalny nacjonalizm, szowinizm wręcz, nie tak jak te dzielnice zaludnione przez napływową ludność ze wsi i małych miasteczek, która w Warszawie zasiedlała wielkie nowe osiedla fałszywych apartamentowców".

Opisując wyjście Stefana na miasto, na 84 stronie książki autor wylicza siedem kultowych miejsc gastronomii przy Francuskiej, nie zapominając o spiżowej Agnieszce Osieckiej przy stoliku („Ta też umiała dawać w palnik, myślał zawsze, gdy mijał ten mały pomnik").

Varga poświęca sporo uwagi lokalnym menelom, którzy „stali milcząco w zbitej grupie, jak stado ptaków nielotów". Wyjątkiem jest pan Tadek, aktywnie zwracający się do sąsiada po myto – najpierw dwa, potem pięć złotych na alkohol i obiecujący Stefanowi, że jak dostanie rentę, to zaprosi go do Fregaty (na Międzynarodowej róg Waszyngtona). Varga był skądinąd magistrantem prof. Rocha Sulimy, który w swej *Antropologii codzienności* [2000] zawarł szkic *Semantyka libacji alkoholowej* o „grupach spotkaniowych" obserwowanych pod sklepami właśnie na Kępie (inny *O imionach widywanych na murach* poświęcił fenomenowi woźnego Józefa Tkaczuka, którego nazwisko dzieci rozsławiły na całym świecie).

Poszukujący pracy w Warszawie przyjezdny absolwent z prowincji z powieści Krzysztofa Beśki *Wrzawa* [2004], przybywając pierwszy raz na Saską Kępę, ma skojarzenia z wakacjami: „ładne uliczki, wzdłuż których ciągnęły się niewysokie domki. W jednym takim domku mieściła się siedziba i magazyny firmy. Ulica Francuska przywodziła na myśl nadmorski kurort, a jeżeli morze, to i wakacje. Ludzie zatrzymujący się przed witrynami księgarń, zapach świeżych bułek dochodzący z piekarni na rogu, gospodyni gotująca obiad dla swoich letników (…) Ludzie stojący na przystanku czekają na autobus do sąsiedniej Jastarni. Przyjedzie, to dobrze, nie przyjedzie – trudno, pójdziemy piechotą. Lasem lub brzegiem morza. Gdzie jest morze? Wystarczy wytężyć słuch, a na pewno usłyszę jego szum…".

Nieistniejąca już „Cafe Sax" (Francuska 31) wiele razy pojawia się w prozie Juliusza Strachoty (patrz OSIECKA). W opowiadaniu *Prościej byłoby już trudniej* [2011] narrator trafiwszy jakby z Dzikiego Zachodu – co podkreśla słownictwem – na Saską Kępę ze zdumieniem widzi na Francuskiej dziewczynę z siatkami, zwaną Małgorzatą, codziennie wpadającą pod autobus – zatem nieśmiertelną. Barman w „Cafe Sax", gdzie przesiaduje nad piwem, prowadzi go na zaplecze, tam w wielkiej sali pokazuje makietę pokazującą dzielnicę, rzekę i kawałek zrujnowanego lewego brzegu, tłumacząc dlaczego właśnie tak: „Bo tu jest wolne miasto Saska Kępa. My nie ruszamy się za wodę i niech tam sobie będzie, jak chce być". Pod domami ciągną się labirynty, a centrum dowodzenia znajduje się pod kościołem na Nobla. Zaś ulica Francuska „jak każde porządne opowiadanie zbudowana jest z wielu warstw. Już niedługo kostka Bauma przykryje asfalt, pod którym leżą szczerbate płyty chodnikowe, a pod nimi trylinka pamiętająca jeszcze lata trzydzieste".

Inną definicję Kępy podaje taksówkarz we wcześniejszym opowiadaniu Strachoty *Taxi Arkadia* [2006]:

„Kępa to jest Kępa. Wiesz, dzieciak. Inny typ człowieka. Najebiesz się, wyłożysz pod czereśnią, to cię sąsiad do domu odniesie. Jeszcze rano dwa piwka zimne dostarczy. Kurde, dzieciak – pokiwał głową – arkadia, nie?

– Arkadia – potwierdziłem bez namysłu – tak jak pana korporacja"

O elitarnym charakterze Saskiej Kępy można zaś pośrednio dowiedzieć się z logorei narratora powieści Strachoty *Relaks amerykański* [2015]: „…ożenię się i wtedy matka da nam więcej kasy, żebym swoją kawalerkę na Gocławiu, który udaje Saską Kępę, zamienił na coś większego".

Małgorzata Karolina Piekarska jest obecnie najbardziej związaną z Saską Kępą autorką powieści młodzieżowych, które tworzą jak na razie dwie dylogie.

Pierwsza powieść *Klasa pani Czajki* [2004] poświęcona jest gimnazjalistom ze szkoły u zbiegu Zwycięzców i Międzynarodowej. W trzyletniej nauce towarzyszymy przede wszystkim Małgosi ze starego bloku przy Saskiej. Poza tym i nieudanymi wagarami w parku Skaryszewskim realiów topograficznych trudno uświadczyć. Problemy bohaterów też wydają się błahe – pierwsze płytkie zakochania, obrażanie się, dopiero wychowywany przez samotną matkę Michał staje przed czymś poważniejszym, gdy po operacji raka krtani pracująca dotychczas w radiu traci głos i możliwość wykonywania dotychczasowego zawodu. Uderzające – co widać także w następnych powieściach Piekarskiej, że nie ma wśród bohaterów wywodzących się z elitarnej rzekomo dzielnicy dzieci z rodzin naprawdę zamożnych, a wręcz przeciwnie – rodziców Małgosi nie stać na wyjazd na wakacje, a i siedmiorga innych dzieci na szkolną wycieczkę. Nawet w kontynuacji, czyli w *LO-terii* [2010], jeśli ktoś jak rodzice Kamili wchodzi w posiadanie własnego domu, to znajduje się on nie na drogiej Kępie, ale w tanich Łomiankach. Kamila musi więc na Gocławiu robić prawo jazdy, aby uniezależnić się od podwożenia przez rodziców do szkoły, do której się przywiązała. Kiedy wymieniane są adresy innych bohaterów książki, dotyczą wysokich bloków przy Zwycięzców albo Międzynarodowej, a więc raczej Chamowa, a nie starej Kępy.

LO-teria, której akcja rozgrywa się w dużej mierze w LO im. Bolesława Prusa, jest zresztą zupełnie inna od *Klasy…* Po pierwsze, znani z pierwszego tomu oraz dodani bohaterowie ciągle stają wobec życiowych tragedii. Michałowi umiera nieznany ojciec. Marcin traci matkę, musi opiekować się trojgiem młodszego rodzeństwa, a na dodatek ojciec żeni się z oszustką. Matka Małgosi zapada na chorobę psychiczną, a ojciec odchodzi do innej kobiety. Stasiek popełnia samobójstwo, nie mogąc pogodzić się, że jest sprawcą ciąży. Olek ginie w wypadku motocyklowym. Pojawia się też trawa i alkohol. Po drugie, autorka doceniła bardziej topografię Kępy. Wiadomo, do jakiego kina się nie chodzi, bo już go nie ma – kina Sawa, wiadomo, że autoszkoła jest na Gocławiu, urodziny urządza się w kręgielni na Saskiej, a pobity Michał trafia do szpitala na Niekłańskiej. Pozbawiony opieki młodszy braciszek Marcina wybiera się zaś niebezpieczną wyprawę na dach wieżowca przy al. Stanów Zjednoczonych. Zyskują też lokalną samoświadomość, kiedy Kamila z Wojtkiem idzie Dąbrowiecką, pokazuje „Tu mieszka jakiś rzeźbiarz. Nie wiem jaki. Trzeba by spytać Maćka. On wie sporo o Kępie. Tu gdzieś mieszkała Agnieszka Osiecka, ale nigdy nie wiem gdzie…".

„– Wiesz… jak tu jestem, to w ogóle nie czuję, że to Warszawa – powiedział Wojtek, rozglądając się dokoła. To jak małe miasteczko".

Do tej lokalności Piekarska dojrzała najwyraźniej pisząc między *Klasą pani Czajki* a *LO-terią* dwie połączone bohaterami powieści *Tropiciele* [2006] i *Dzika* [2007]. Wyposażone zostały nawet w plany dzielnicy wskazujące, gdzie kto mieszka i gdzie co się dzieje, poza lokalnym posiadają silny akcent harcerski, w wątkach detektywistycznych zdają się być ewidentną próbą nawiązania do *Stawiam na Tolka Banana*, szczególnie Dzika, w której akcja związana jest z przemytem chronionych żółwi (patrz DZIAŁKI).

Jako autorka książki o detektywach ezoterycznych *„Czucie i wiara" czyli warszawskie duchy* zawarte w niej opowiadanie *Praga Południe, czyli… wyznanie na filarze* Piekarska poświęciła miłosnej historii związanej z historycznymi rodzinami mieszkańców Saskiej Kępy sprzed parcelacji – Szenkami i Przybytkowskimi, z którymi autorka jest zresztą spokrewniona [2015].

Bohaterki powieści Marcina Szczygielskiego *Les farfocles* [2009] wynajmują przy Francuskiej suterenę na butik z pracownią krawiecką wyjątkowo tanio, bo po znajomości od spółdzielni – za 460 zł miesięcznie. Na Francuskiej przy Rondzie Waszyngtona mieszka babcia Gabriela Róziewicza, tytułowego bohatera *Strażnika parku* Błażeja Dzikowskiego [2010] – zgodnie z jego przeczuciem nie wyrzuciła tradycyjnej książki telefonicznej, dzięki której znajduje kontakt do matki poszukiwanego przez siebie bandziora. Przy ulicy Styki na Saskiej Kępie mieszka bohater powieści Grzegorza Miecugowa *Przypadek* [2010], przy Niekłańskiej wychowała się narratorka powieści *Lilka* Małgorzaty Kalicińskiej [2017],

Jak najgorszą opinię ma najwyraźniej o Saskiej Kępie Jakub Żulczyk. Dwukrotnie w ciągu jednej nocy dostarcza tam kokainę narrator jego powieści *Ślepnąc od świateł* [2014] – Jacek. Za pierwszym razem do kwadratowej gierkowskiej willi, gdzie trwa impreza towarzystwa z branży kreatywnej i gdzie dowiaduje się o nagłej śmierci 26-letniego syna lidera branży meblarskiej. Za drugim do minimalistycznie urządzonego mieszkania swego najlepszego klienta w okolicy – telewizyjnego celebryty Mariusza F., u którego również trwa impreza. Rano dowiaduje się, że gospodarz tego drugie przyjęcia został właśnie zatrzymany przez policję z zarzutem śmiertelnego potrącenia matki z dzieckiem, a test wykazał obecność w jego organizmie nie tylko alkoholu, ale i narkotyków.

W następnej powieści Żulczyka *Wzgórze psów* [2017] natomiast dom na Saskiej Kępie był kwaterą pedofilskiego Klubu Puchatka, nad którego ujawnieniem przez rok pracowała dziennikarka śledcza Justyna Głowacka, żona głównego bohatera Mikołaja. „Bardzo ładny dom ze świeżo zrobioną białą elewacją, balkonami i kolumienkami, dwupiętrowy, otoczony pięknym ogrodem".

Justynie pokazał ten dom jej informator, 15-letni Cyryl, zanim powiesił się na pasku w kuchni w mieszkaniu na Pradze – wcześniej przed dwunastym rokiem życia był wykorzystywany seksualnie przez członków klubu.

Dwukrotnie tematem powieści sensacyjnych było zabójstwo związane z dostępem do materiałów służb specjalnych z czasów PRL. W powieści Zbigniewa Safjana *Zabić producenta złudzeń* [1994] jego miejscem była willa przy Alzackiej. W *Obywatelu* Wojciecha Piotra Kwiatka [2012] – dom przy Obrońców a jako punkt orientacyjny podawany jest nieistniejący już w powieściowych czasach od dawna „Sułtan". Nie ma takiego podtekstu jednak śmierć aktorki teatru Larum Luizy Orłowicz z ulicy Królowej Aldony, mieszkającej w kryminale Karoliny Szewczykowskiej *Druga strona miasta* [2017] w domu, który swego czasu miał opinię najbardziej rozrywkowego na Saskiej Kępie. Trzykrotnie o Kępę zahaczała akcja powieści Joanny Chmielewskiej, w ostatnich latach bardzo rzadko lokująca przygody swojej narratorki poza ukochanym Mokotowem – były to *2/3 sukcesu* [1991], *Tajemnica* [1992] i *Krętka Blada* [2006].

Kępa w kryminałach nie jest jednak jedynie miejscem zbrodni. Mieszkają na niej także ich pozytywne bohaterki jak adwokat Joanna Chyłka z cyklu Remigiusza Mroza. Z jego *Rewizji* [2016] dowiadujemy się, że na kupno apartamentu z ogrodem dachowym przy Argentyńskiej wzięła kredyt wartości dwóch podwarszawskich domów. Mieszkanką Saskiej Kępy jest też podkomisarz Nina Warwiłow z *Domu bez klamek* Jędrzeja Pasierskiego [2018], ale właśnie rozstała się z narzeczonym, który jest jedynym właścicielem zajmowanego przez nich lokalu w małej kamienicy przy Katowickiej i policjantka przeżywa depresję, bo nie wyobraża sobie powrotu na Białostocką do ojca alkoholika.



Paweł Dunin-Wąsowicz
Praski przewodnik literacki
Fundacja Hereditas, Warszawa 2018
ISBN: 978-83-95105-02-9

Kazimierz Świegocki

Gnothi seauton

Rozmowa poety z samym sobą[1]

I tak wyczerpaliśmy krąg medytacji nad wierszami zaopatrzonymi w motta. Były to we wstępnej intencji medytacje mające usprawiedliwić obecność ich przy określonych wierszach. Ale i o samych tych wierszach powiedziałeś wiele i to, jak mi się wydaje, rzeczy istotnych. Teraz może łatwiej będzie badaczom twojej poezji wypowiadać się o niej, przynajmniej o jej warstwie ideowej. Ale szczerze mówiąc, mam ochotę zapytać cię o inne niepoprzedzone mottami wiersze, których problematyka z pewnością znajduje się w tym samym obszarze, w którym do tej pory poruszaliśmy się. Jest ich bardzo wiele, zdecydowana większość wszystkiego, co napisałeś. Ale zechciej może zatrzymać swoją uwagę nad dwoma: *Medytacje nad życiem i śmiercią muchy domowej* oraz *Człowiek i ważka*. Kuszące byłoby usłyszeć od ciebie autorską wypowiedź na temat tych dwóch, w jakimś sensie prowokacyjnych wierszy. Jeden z nich dotyczy tak nędznej, wydawałoby się, istoty, jaką jest mucha domowa, a drugi niewiele mniej kruchej, choć estetycznie piękniejszej istoty – ważki wodnej. Może nikt w poezji, przynajmniej polskiej, a może – kto wie – i europejskiej nie pisał z taką powagą filozoficzną o tych kruchych i biednych istotach. Twoje poetycko-filozoficzne wywody są tu, co prawda, podszyte subtelną ironią, ale nad ironią ostatecznie góruje filozoficzne serio.

Oczywiście jedno drugiemu nie przeczy. Ironia to kwestia bardziej stylu niż samego przedmiotu, o którym się mówi. Choć wydawała mi się tutaj wręcz konieczna. A temat tu w istocie ważny – deliberacje nad losem kruchych owadów w metafizycznym odniesieniu do losu człowieka. Te dwa wiersze oddalone są od siebie w czasie o trzydzieści lat. A myśl w nich zawarta jest w zasadzie jednakowa. Dotyczy nędzy człowieka. Widać ją na różne sposoby, ale tym razem oglądamy ją w tej szczególnej perspektywie, jaką wyznacza konfrontacja bycia człowieka w świecie i bycia w nim owadów. Wynik tej konfrontacji jest dla człowieka niekorzystny.

1 Piąta część tekstu stanowiącego rozdział gotowej do druku książki pt. *Egzystencja, metafizyka i kultura w pisarstwie Kazimierza Świegockiego*. Wiersze analizowane w niniejszym tekście znajdują się w tym numerze „Podglądu" w dziale „Poezja", str. 105-106.

W tym sensie, że byt ludzki właśnie przez to, że jest tak złożony i bogaty ontycznie i strukturalnie, że posiada nie tylko nieporównanie bardziej wszechstronnie ukształtowane ciało, lecz i duszę – i to nieśmiertelną, jest w nieporównanie gorszej sytuacji egzystencjalnej niż istoty znacznie od niego prostsze, prymitywne, a więc, jak się powszechnie to określa, będące na „niższym poziomie". Poziomie czego? Istnienia? Czy to jest takie pewne? To, co wynosi człowieka wysoko ponad całe stworzenie, nie wyłączając nawet całego wszechświata (przypomnijmy sobie nasze rozważania nad mottem z Pascala), stanowi zarazem – paradoksalnie – źródło jego nieustającej udręki i troski, dla których nie ma na tym świecie żadnego ukojenia. Całym więc swoim bytem wychylony jest człowiek ponad siebie samego w poszukiwaniu takiej dziedziny istnienia, w której czułby się jak u siebie w domu, pełnym spokoju i szczęścia. Ziemska dziedzina mu tego nie daje.

Tymczasem w radykalnie innym, nieporównanie, a nawet fundamentalnie lepszym położeniu egzystencjalnym są niewinne – podkreślmy – bezgrzeszne owady. Im wystarcza w zupełności ta ziemia i to na niej miejsce, w którym przyszło im wieść swój krótki, niemal chwilowy żywot. A to za sprawą bardzo uproszczonej w stosunku do człowieka ich ontycznej struktury, zwłaszcza braku duszy nieśmiertelnej. Inaczej mówiąc, chodzi tu o świadomość i świadomość własnej świadomości oraz o wolność – atrybuty ludzkiego bytu, które czynią go istotą cierpiącą. A jest to cierpienie metafizyczne, więc żadnym sposobem nieusuwalne. One – owady – nie są wolne, bo wolność to właściwość i nieszczęsny dar dany istotom świadomym. Nie muszą niczego w życiu wybierać, więc nie popełniają błędów wyboru i nie są obciążone ich skutkami. Słowem, one nie wyznaczają sobie swojego losu. Tego wyboru dokonuje za nich niewidzialny, ale realny i dający się poznać w skutkach kosmiczny rozum, obecny w najmniejszym ziarenku piasku, jak i w najbardziej złożonej strukturze wszechświata. Ten rozum działa w owadach tak samo bezwzględnie jak w elementarnych cząstkach atomu czy w galaktykach gwiazd. W owadach jest on obecny jako tzw. instynkt. On im zastępuje rozum – ten rozum, który jest tytułem do dumy u człowieka i zarazem źródłem jego wiecznego nieukontentowania w bycie, jaki mu został dany.

Stoimy tutaj przed wielką antropologiczną i zarazem metafizyczną, pełną wątpliwości refleksją, która przewija się chyba przez wszystkie wielkie cywilizacje, przynajmniej od czasu do czasu. A zawiera się ona w tym, co powiedział Kohelet, że lepiej by dla człowieka było, gdyby się w ogóle nie

urodził. A pod piórem Leibniza brzmi tak jak motto, którym poprzedziłem wiersz *Cogito*, a które można streścić tak, że lepsza jest nicość niż coś, co nią nie jest. Jeśli do moich wierszy o musze domowej i o ważce zastosować te kategorie, które tu wyłożyłem, to wówczas można będzie je rozumieć nie jako jakąś przekorną pseudofilozoficzną ekwilibrystykę podszytą ironią, lecz jako całkiem poważne utwory naprawdę filozoficzne. Szczegółową ich interpretację zostawiam przyszłym badaczom filologom – jeśli tacy się pojawią kiedykolwiek.

Myślę, że nie czekając na zastęp przyszłych badaczy, już teraz można wskazać w tych wierszach miejsca, które potwierdzają twoje komentujące uwagi. Weźmy trzy ostatnie strofy Medytacji nad życiem i śmiercią muchy domowej. Mamy tu pochwałę tego uciążliwego dla człowieka insekta. Jej życie nazywasz „piękną pieśnią". A jej lot, który, można powiedzieć, jest zasadniczym sposobem jej życia, wynosisz w jego naturalnej, tzn. od natury nabytej mądrości, nad rejs Kolumba, który przecież zmienił los naszej cywilizacji. Lot muchy ma być doskonalszy, choć dla cywilizacji nie ma żadnego znaczenia.

Ale bo też i nie dla niej została stworzona latająca mucha.

Ciekawy jest tu zarysowany dramatyzm, gdy mowa o tym, że lot muchy jest lotem „jednym" i „raz na zawsze". Mamy tu pokazany tragizm jednego ze stworzeń tego świata.

Ale, w domyśle, tragizm bezrefleksyjny, więc i jakoś bezbolesny. Nie taki jak u człowieka. Człowiek może lawirować, zanim dopadnie go to, co konieczne; może modelować swój los. Mucha nie. I jest w tym jakaś godność tej anonimowej śmierci maleńkiej istoty – śmierci kończącej krótki żywot w „miodomorzu".

Notabene, to wyrażenie dobrze kontrastuje, a zarazem harmonizuje z oceanem, po którym płynął Kolumb. On po skarby, ona – mucha – po śmierć…

…która to śmierć jest logicznym zakończeniem jej żywota – „pięknej pieśni". Więc w którym to przypadku jest więcej godności?

Oczywiście, że w przypadku muchy. Ona zresztą „nie czuje śmierci, tylko zapach miodu", w którym kończy się jej żywot. A jak zrozumieć to, że mucha „całe wieki zamienia w godziny"?

Mówiąc inaczej, jej życie, choć krótkotrwałe w czasie, dokonuje się jakby w bezczasie, bo wieki zamienione w godziny, to jakby zlikwidowany czas. Można to też rozumieć tak, że dla niej godziny mają wartość wieków, więc żyje jak gdyby przez wieki. W swojej nieświadomości. W przeciwieństwie

do człowieka, który liczy, mierzy czas i świadomy czasu wraz z nim znika. O czasie jest zresztą jeszcze mowa o ostatniej strofie.

„Bo nam żyć w czasie, a jej w wielkim micie, gdzie czas jest karłem, a bogiem jest życie".

No właśnie. Ona nieświadoma czasu żyje w bezczasie – stąd wyrażenie „w micie", bo mity przedstawiają rzeczywistość ponadczasową. Jej życie jest „bogiem", bo bogowie to nieśmiertelne istoty, więc wiecznie żywe. Inaczej u człowieka, który żyje w świadomości czasu, jest istotą „czasującą", jak to określiliśmy go wcześniej tym wyrażeniem. No i to czyni go nieszczęśnikiem. Lepiej byłoby dla niego, gdyby żył siłą przeznaczenia, czyli jako pozbawiony wolności, tak jak mucha i ważka.

Bo treść przeznaczeń jest, jak piszesz, „boską treścią". Człowiek byłby zwolniony od trudu niekończących się wyborów, których musi dokonywać sam, a przecież ludzki rozum, a także i wola, nie mogą równać się siłom boskim. Lepiej, aby był zniewolony wolą boskiego przeznaczenia, niż aby musiał dokonywać permanentnie aktów samodeterminacji.

Dobrze utrafiasz w moje intencje i kontynuujesz moje myślenie. Zwróćmy więc uwagę, że jeszcze wyraźniej myślenie takie przenika wiersz *Człowiek i ważka*. Powiedziane w nim jest, że zamiast duszy nieśmiertelnej, czyli wraz z nią i naszej świadomości, wolności etc., Bóg dał ważce skrzydła tak mądrości – Jego własnej mądrości – pełne, że nad wodą unosi się pewnie niczym „duch Boży". Nie lęka się grozy świata. A przede wszystkim nie czuje czasu, bo nie ma jego świadomości, tak jak nic nie wie o wieczności. Te problemy są jej całkowicie obce. Ona zajmuje się tylko swym istnieniem, które odczuwa jako wieczne – no, bo nic nie wie o czasie.

Ostatnia strofa tego wiersza jest dość smutna. Traktuje o naszym ludzkim losie. Stanowi on kontrast w stosunku do losu i życia ważki. Bo i cóż z tego, że człowiek ma duszę nieśmiertelną, skoro tu na ziemi krępują go czas i przestrzeń. Ta nasza nieśmiertelna dusza może tylko z żalem i zazdrością patrzeć na istnienie ważek, które beztrosko przyglądają się swoim odbiciom w wodzie i z tym odbiciem utożsamiają swój los, odczuwając go tak, jakby to był obraz wiecznego życia.

Nieśmiertelna dusza to pojęcie na wskroś religijne, a nie naukowe czy filozoficzne. Religia mówi, że jedynie wiara w nieśmiertelność duszy gwarantuje nam poczucie sensu ponoszenia trudu istnienia ziemskiego. Bez niej wszystko, co jest nam dane do przeżycia tutaj, traci sens absolutny, a nabiera jedynie sensu względnego i ulotnego. W takiej sytuacji śmierć biologiczna jest śmiercią ostateczną, a życie jawi się jako tragiczny spektakl.

W tym spektaklu zwycięskim bohaterem może być ważka, a człowiek żałosnym przybłędą. Zachodzi jednak pytanie, czy ten ziemski, naturalistyczny spektakl ma obrazować całość dziejów świata? Czy może finał dziejów spełnia się poza tym światem? A wtedy, aby w nim godnie uczestniczyć, dobrze byłoby mieć w sobie i za sobą coś takiego jak dusza nieśmiertelna, która tak niewiele znaczy w konfrontacji z istotami ziemskimi tu na ziemi, lecz w owym wielkim finale dziejów świata i wszechświata może okazać się tym jedynym, co nas ocali od zapomnienia przez Boga. Moja poezja nie sięga poza brzegi istnienia ziemskiego, lecz zajmuje się jedynie losem człowieka na ziemi. A tu jednak człowiek jest istotą z krwi i kości, więc wywodzącą się z żywiołów, które go tworzą i niszczą. Czy na zawsze? – Oto jest pytanie do Wielkiego Boga i Wielkiej Nicości.

Na koniec naszej rozmowy chciałbym cię prosić o zwięzłe określenie filozoficznej istoty twojej poezji. Słuchając twoich medytacji i włączając się w nie od czasu do czasu, odnosiłem wrażenie, że tym, co cię wręcz obsesyjnie fascynuje, jest kruchość ludzkiego istnienia na tym naszym świecie, którego raczej nie chciałbyś nazwać, za Leibnizem, najlepszym z możliwych. Fascynuje, powiedziałem, ale trzeba by zaraz dodać – i przeraża. W związku z ową kruchością, nie tylko zresztą człowieka, bo i całego świata widzialnego, pozostaje obsesyjne wręcz drążenie problemu czasu. Kruchość człowieka i potęga czasu wydają się być miernikiem zła, jakie przenika świat człowieka, a nawet cały kosmos (pamiętamy wiersz *Zwierzęta zodiakalne*). I właśnie zło w aspekcie metafizycznym jest ukrytym bądź wyraźnym motywem wracającym w twoich wierszach niemal nieprzerwanie. Wyczuwa się też mniej lub bardziej skrywany żal do Pana Boga, że tak niedoskonały świat podarował człowiekowi, a i nie lepszą też mu ustanowił naturę własną. Tu może nawiasem zauważę, że wszystkie twoje wiersze zwrócone do Boga w tonie modlitewnym są pisane w konwencji próśb i lamentów, a chyba nie ma żadnego w konwencji dziękczynienia. Tym, co jeszcze mnie w nich uderza, to obsesyjne skargi na fundamentalne ograniczenia możliwości poznawczych w zakresie problemów metafizycznych. Oczywiście wyliczam to wszystko, mając na uwadze nie tylko to, co teraz w naszej rozmowie zostało przez ciebie powiedziane, lecz biorąc pod uwagę całą twoją poetycką twórczość. Więc miał chyba rację Leszek Kołakowski, nazywając cię poetą „najoczywiściej metafizycznym". Ale czy znalazłbyś jakąś najogólniejszą formułę filozoficzną dla swojego poetycko-myślicielskiego trudu? O co ci w tym wszystkim ostatecznie chodzi? Co chciałbyś wiedzieć, aby

nasycić swoje pragnienie poznania? Bo to, że o poznanie rzeczy metafizycznych ci chodzi, to widać w niemal każdym twoim wierszu. Ale może wskazałbyś jakąś dominantę w swoich poetycko-filozoficznych dociekaniach?

Postaram się. Ale najpierw chciałbym twoje uwagi o filozoficznej problematyce mojej poezji uzupełnić. Chciałbym mianowicie wskazać na rzecz nie mniej, jak mi się wydaje, ważną od tego, co powiedziałeś, a mianowicie na to, że prócz malowania w ciemnych barwach tego świata, w którym jesteśmy wraz z naszym ciałem uwięzieni, a który cechuje przerażające nas przemijanie i dążenie do nicości bądź do niewiadomego, rozsnuwam też motyw nadziei na istnienie innego, lepszego, bo trwałego świata, który jest nam, być może, pisany. Dowodów rozumowych na to nie ma. Ale żyje w nas taka nadzieja, która raz przygasa, a raz znowu rozpala się na nowo. Lecz nigdy nie gaśnie do końca. Bo świat, który przemija, jest raczej nie do pomyślenia bez świata, który naprawdę istnieje, czyli trwa w metafizycznej niezmienności. Bez takiego, który jest sam nieruchomy, choć wszystko porusza. Jest jeden, a od niego pochodzi wielość rzeczy i cały ten nasz zgiełkliwy świat, w którym panuje czas i śmierć. I nie wyobrażam sobie, aby ów Byt absolutny nie był zarazem Osobą. Bo jeśli my jesteśmy osobami, a osoby są absolutnie innymi od wszystkich rzeczy tego świata istnościami, to musi przecież istnieć ich przyczyna. A tą przyczyną może być jedynie Bóg, który jest nie tylko Stwórcą, pierwszą Przyczyną itp., ale i Osobą – źródłem wszystkich osób. Jakże by bowiem było możliwe, aby nasza osoba mogła być dziełem sił bezosobowych. A co do mojej poezji, jej filozoficznej dominanty, to autorefleksja mówi mi, że jest ona próbą poznawczego i egzystencjalnego dotarcia do Rzeczywistości Absolutnej, która jest zarazem Prawdą Absolutną, czy tym, co w naszej cywilizacji nazywa się Bogiem. Temu poszukiwaniu towarzyszą nieodłącznie dwa motywy – zwątpienia i nadziei. W planie poznawczym góruje zwątpienie, w planie zaś egzystencjalnym – nadzieja.

Jednym z moich najbardziej ulubionych filozofów był zawsze i jest Platon. Może istotę filozoficzną mojej poezji, która jest poezją pytań raczej niż odpowiedzi, wyrażałyby jego słowa wypowiedziane w późnym dziele – *Timajos*, gdyby je z trybu oznajmującego przeformułować na tryb pytający. Wówczas by brzmiały: Co jest tym, co zawsze istnieje i nigdy nie staje się? I co jest tym, co zawsze staje się, a nigdy nie istnieje?

Nie ma w tych słowach wątpliwości, że realne jest i to, co istnieje, jak i to, co nie istnieje, a tylko staje się. My, ludzie uczestniczymy w tym, co nie

istnieje, a tylko staje się. Ale wiemy, przynajmniej wiarą i nadzieją, że istnieje też to, co nigdy nie staje się, a zawsze istnieje. A jeśli wiemy, to i uczestniczymy jakoś przecież w tym prawdziwym istnieniu, przynajmniej intencjonalnie i potencjalnie. To zaś, co potencjalne, ma naturalną tendencję do przejścia w akt, który nas może wprowadzać w dziedzinę prawdziwego, wiecznego Bytu.

Albo w nicość!

Czy mam ci raz jeszcze wyłożyć moją koncepcję nicości jako ogrodu najprawdziwszego i najszczęśliwszego istnienia?

Bardzo proszę, bo to, co do tej pory usłyszałem, było wprawdzie piękne, wręcz nie do wiary piękne. Ale czy było równie prawdziwe, jak piękne? Mam niejakie wątpliwości.

Posłuchaj! Człowiek wynurza się z nicości i do niej powraca. Ale owa nicość jest tylko nicością tego świata, który nazywamy realnym, bo go doświadczamy zmysłami. Znaczy to, że nie ma w niej żadnej cechy, którą by posiadał nasz obecny świat. To jednak nie znaczy, że nicość nie istnieje, że nie jest realna. Owszem, skoro człowiek, a i jakikolwiek byt tego świata z niej właśnie się wyłania i rodzi, to nic innego tylko ona jest jego matką i źródłem. Jeśli zaś ów byt ginie w tym świecie i dla tego świata, to znaczy, że powraca do nicości, z której byt wyszedł. Przeto istniejemy w ścisłej zależności od niej. Ona jest naszym naturalnym środowiskiem istnienia prawdziwego, pełnego, czystego i doskonałego. Ona, a nie widzialna ziemia i widzialne niebo, i wszystko, co zmysłowo postrzegane. Obrazowo można ją przedstawić jako nieskończony praocean, a nasze ziemskie życie jako jego kaprys – z jego woli wynurzamy się na chwilę, tak jak ryba, która niekiedy jakimś dziwnym trafem wyskakuje z jego głębi nad wodę i trwa przez moment w zawieszeniu nad falami, by natychmiast upaść i znów zanurzyć się w jego niepojęte przestrzenie. Ale ów upadek jest powrotem do swej prawdziwej ojczyzny i szczęśliwego domu. Życie zawsze można pojmować jako wygnanie ze szczęśliwej krainy nicości i powrót do niej. Jeśli życie ziemskie uznamy za miejsce i czas cierpienia, to musimy przyznać, że owo cierpienie jest nieskończenie małą cząsteczką nieskończonej nicości, do której powrót jest największym i jedynym prawdziwym szczęściem.

Można ów powrót do Nicości rozumieć jako powrót do Boga, bo ową Nicością cóż innego może być, jak nie Bóg. W teologii apofatycznej (negatywnej) znane jest paradoksalne twierdzenie, że Bóg jest nicością (należałoby ją wówczas pisać raczej z dużej litery). Przy takim rozumieniu tego pojęcia jak to, co teraz wykładam, nicość nie jest absolutnym brakiem

czegokolwiek, absolutną pustką, lecz jest **czymś,** tyle że absolutnie innym niż jakiekolwiek **coś**, co podpada pod nasze zmysły i naturalny rozum. Ten ostatni zdolny jest tylko do pomyślenia jej czysto formalnie i logicznie nie jako będącą ablolutnym **niczym**, lecz będącą absolutnym **czymś**, co istnieje w najbardziej fundamentalnym znaczeniu słowa „istnieć". Myślę, że rozumując tak, nie odbiegam w istocie rzeczy od przekonania pierwszego europejskiego metafizyka – Parmenidesa, który wypowiedział te słynne słowa: „Byt jest, a niebytu nie ma". „Niebytu", czyli „nicości" w sensie absolutnym nie ma. A to choćby dlatego, że jest niemożliwa do pomyślenia.

Wybacz, że już nic więcej na temat nicości nie potrafię powiedzieć. Więc jeśli to ci nie wystarcza, to musisz na własną rękę szukać wiedzy głębszej niż ta, którą ci tu zaprezentowałem. A co do tego, czy jest ona prawdziwa, to nikt nie może wiedzieć. Wystarczy, że niesie jakieś pocieszenie, że jest – jak sam powiedziałeś – piękna. Myślę też, że jest logicznie niesprzeczna, więc może i prawdziwa. Ostatecznie może się kiedyś naocznie o tym przekonamy.

Tak, wtedy, kiedy nas nie będzie!

Kazimierz Świegocki

Dominika Matuła

Nowy porządek i zbrodnia

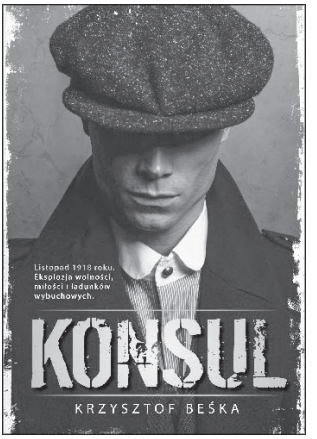
Jesień 1918 roku – jesień 2018 roku. Sto lat dzieli pamiętny dzień odzyskania przez Polskę niepodległości oraz wydanie książki Krzysztofa Beśki, która wprawdzie jest powieścią awanturniczo-detektywistyczną, a nie stricte historyczną, ale osadzona jest idealnie w warszawskich realiach A.D. 1918.

Krzysztof Beśka przyzwyczaił mnie już, że jego proza nasączona jest historią (w tym miejscu nie mogę nie wspomnieć o jego fenomenalnej serii warszawskiej zapoczątkowanej przez *Autoportret z samowarem*) oraz wartką akcją, w którą zaangażowani są barwni bohaterowie. Nie inaczej jest w przypadku najnowszego *Konsula*.

Na potrzeby tej powieści Beśka stworzył postać dwudziestojednoletniego Stanisława Steina, oficera armii niemieckiej, stacjonującej w Warszawie. Wojna dopiero co się zakończyła, w stolicy powiewają biało-czerwone flagi, ale i zapanował organizacyjny chaos, w którym Polak z Polakiem wykłóca się o nowy porządek rzeczy. W zamieszaniu tym dochodzi do zbrodni. W brutalny sposób zamordowany zostaje zagraniczny dyplomata, a w sprawę tę pewnym zrządzeniem losu zostaje zaangażowany wspomniany wyżej Stanisław Stein. Jako rodowity Polak, zwolniony z armii zaborcy oraz człowiek z żyłką detektywistyczną zostaje w Warszawie i podejmuje się rozwiązania sprawy z namaszczenia wcześniejszego radcy kryminalnego niemieckiej policji. Trudno nie polubić Stacha Steina, który z olbrzymią elegancją, wyjątkowo rozwiniętym zmysłem obserwacji (nieco mi tutaj przypomina sławnego Sherlocka Holmesa) i nie lada umiejętnościami negocjacyjnymi potrafi rozwiązać błahe sprawy mieszkańców, jak i przyprzeć do muru między innymi chłopców z ferajny – ówczesnej organizacji przestępczej, trudniącej się kradzieżami. Aż chciałoby się poczytać o dalszych perypetiach Stacha, bo jego talent i praworządna postawa nie mogą zamknąć się w jednym tomie.

Między wierszami intrygi kryminalnej swoje odzwierciedlenie znalazła walka o wpływy w nowej Polsce (także z użyciem gazu bojowego, który zebrał śmiertelne żniwo pod Ypres) oraz polityczne niuanse, niepozbawione rosyjskiej aktywności. *Konsul* to zwarta, naszpikowana akcją i smaczkami z warszawskiej ulicy historia, w której – jak to u Beśki – nie zabrakło

postaci historycznych, chociażby Józefa Piłsudskiego, do którego ma bardzo bliski dostęp jeden z drugoplanowych bohaterów książki, sympatyczny reporter i bawidamek Jan Chyliński. Od dawna wiadomo, że na kartach kryminałów kooperacja detektywistyczno-dziennikarska to nader intrygująca, a co najważniejsze, przynosząca wymierne rezultaty kwestia, dlatego też Jan i Stach mają tę moc.



Krzysztof Beśka *Konsul*
Skarpa Warszawska, Warszawa 2018
ISBN: 978-83-638-4295-6
Stron: 422
Oprawa miękka
Format: 130x200 mm

Jerzy Sikora

Liryczny smak Mazur

Autorka[1] jest nauczycielką polonistką. Mieszka na Mazurach – w urokliwej wsi Malinówka koło Ełku. Na okładce tomiku widnieje brzeg mazurskiego jeziora, szuwary, w oddali horyzont zamknięty ścianą lasu. Zajrzyjmy do wnętrza tej poetyckiej książeczki. Tutaj, w wierszach, odnajdujemy podobną topografię i scenerię – zanurzenie w świat przyrody, z jej mazurskim pięknem. I jakże pozytywne nastawienie do świata! Zamiast wszechobecnego dzisiaj narzekania i biadolenia – cieszenie się życiem, jego smakowanie, a także nostalgiczne zamyślenie, refleksja nad człowieczym losem, zwłaszcza nad przemijaniem.

Jeden z wierszy ma tytuł *Carpe diem*. Ta sentencja pochodząca z pieśni Horacego przyświeca poezji Pieńkowskiej, jest jej dewizą. Chwytaj dzień, każdą chwilę, ciesz się nią, bo rzeczywiście jest piękna:

Rozlana stągiew jeziora
W pozłocie słońca
Nieśmiało marszczy się na deszcz
Jaskółkami cięty ciężar powietrza
Rozedrgany trzmieliną i pszczołą
Ma słodycz lipy
I zapach gorącego siana

Podmiot liryczny widzi, czuje, przeżywa. Jest wtopiony w świat natury: drzew, traw, zwierząt, wschodów i zachodów słońca, jutrzenki i mroku. A ileż w tym mazurskim świecie ptaków! Żuraw, łabędź, bocian, kormoran, szpak, wrona, dzięcioł, wróbel… I zmysłowa zachłanność, nienasycenie – już od zarania dnia: „Spijasz chciwie / Lepkość młodej sosny / Jesteśmy złodziejami / Dźwięków barw / I smaków (*O świcie*). Dnie są wypełnione znojną pracą, chociażby sierpniowymi żniwami – jak w *Żeńcach* Szymonowica – ale zakończone słodką obietnicą wieczoru:

1 Małgorzata Dorota Pieńkowska, *Życie mi smakuje*, Ełk 2018.

Powietrze rozedrgane
Sierpniowym żarem
Pachnie skoszonym chlebem
I ostrym potem mężczyzn
Ich kobiety niosą chłodne dzbany
Kołysaniem bioder obiecując
Wieczorną rozkosz
W śnieżnym chłodzie pościeli
(Zmierzch)

A jeśli jesteśmy w tak zmysłowych, erotycznych klimatach, to przywołajmy erotyk pt. *Do…* Do kogo? Do soli!:

Lubię ciebie dotykać.
Czuć pod dłonią chropowatość,
Kruchość i chłód
Twojego ciała.

[…]

Dotykać delikatnie językiem.
Smakujesz morzem, miłością i domem.

[…]

Warzona, kuchenna, ukochana…

W utworach mamy także czułe przywoływanie bliskich osób, które już odeszły. Ale one żyją, dzięki właśnie wspominaniu: „Idę znowu i idę przez cmentarze / Moi zmarli witają mnie serdecznie / Ich wciąż więcej i więcej i więcej (*Cmentarze*).

Mazurska poetka chętnie przywołuje obrazy z dzieciństwa – na przykład „starego dębu / Na którym była huśtawka / Do samego nieba" (*Poranek*). Apoteoza dzieciństwa i częste jego niezwykle zmysłowe przywoływanie przypomina światoodczucie Marcela Prousta. Chociażby poprzez filiżankę lipowego naparu Marcel Proust w swoim eposie *W poszukiwaniu straconego czasu* niezwykle lirycznie wyprowadza siebie i nas – czytelników – w świat dzieciństwa, w świat i czas, który można jeszcze przynajmniej częściowo

odnaleźć. Dzięki czemu? Dzięki zmysłom. Dzięki ogromnemu pragnieniu, pamięci, intuicji. Także dzięki intelektowi, ale intelekt chyba umieścimy na ostatnim miejscu. On nie zawsze jest nam posłuszny. Meandry myśli mogą nas, i tak nieraz czynią, zaprowadzić w ślepy zaułek, zapętlić, zranić, a nawet zabić. Nie zawsze pomogą prozak czy elektrowstrząsy.

Pieńkowska jest rozsmakowana w teraźniejszości i właśnie w przeszłości. W mniejszym stopniu interesuje ją to, co przyniesie jutro. Podmiot liryczny jej wierszy zdaje się mówić za Goethem: chwilo, jesteś taka piękna – trwaj wiecznie.

Autorka nie goni za literackim eksperymentem. Nie wstydzi się ekspresji własnego „ja", uczuciowości, liryzmu. Jej poezja jest tradycyjna, ale rzetelna, prawdziwa.

Jerzy Sikora

Grzegorz Walczak

Deprawator Macieja Wojtyszki czyli Gombrowicz na wysokościach[1]

Rzadko daję się uwieść teatrowi, tak jak mi się to zdarzyło kilka dni temu w Teatrze Polskim (Scena Kameralna). Deprawatorów miałem dużej klasy, nic dziwnego, że musiałem ulec. Byli nimi (jako przedmiot sztuki) arystokrata polskiej literatury – Witold Gombrowicz, który dawno już uwiódł szerokie kręgi inteligencji humanistycznej, i autor, a zarazem reżyser sztuki – Maciej Wojtyszko. Skutecznie w tej deprawacji pośredniczył arystokrata polskiego teatru – Andrzej Seweryn – wykapany Gombrowicz, który chociaż w kłopotach albo i w biedzie, ale zawsze na wysokościach. Brało w tym udział także kilka innych podejrzanych postaci, nieźle wyszkolonych w podstępnym fachu aktorskim. Ale o nich – później.

Przed laty, zniewolony jeszcze przez pracę etatową na Polonistyce Warszawskiej, poza najpiękniejszą dyscypliną, jaką jest syntaktologia języka polskiego, uprawiałem stylistykę, trawiąc wiele nocy nad istotą groteski, stylistyczną kreacją świata Sławomira Mrożka itp. Rozpocząłem też wielkie dzieło o stylu W. Gombrowicza, które gdzieś w moich przepastnych szufladach zapewne uległo już rozkładowi, chociaż dezintegracji nie uległ jeszcze mój zachwyt nad tym typem literatury, bo jakżeż może nie zachwycać, skoro zachwyca, tak jak i *Deprawator* – dzieło Mistrza Macieja. Kiedyś i ja napisałem naj…naj… dzieło mego życia, powieść *Oazę*, w dużym stopniu Gombrowiczem podszytą, jak dowodziła w swej pracy doktorskiej jedna z ówczesnych naszych doktorantek. Mało tego, od kilkunastu lat przyjaźnie sąsiaduję z panią Katarzyną Herbert, o której też mowa w sztuce. Pomyślałem, że to wszystko razem, jak i moje wieloletnie zmagania z materią dramatu, upoważniają mnie do wypowiedzenia się na temat sztuki, która sama nie będąc wybrykiem literackim ani światopoglądowym, choć wyraźnie swój światopogląd ujawniająca, rzetelnie i z odpowiednio

1 *Deprawator* Macieja Wojtyszki, sztuka w reżyserii Autora – premiera 28 września 2018 r., Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana w Warszawie.

wysmakowanym poczuciem humoru dotyka literackości i groteskowej wizji sławnego pisarza i intelektualisty-prowokatora.

W 1997 r. w Vence pod Niceą, gdzie od czterech lat zamieszkiwał autor *Ferdydurke*, następuje szereg spotkań Zbigniewa Herberta i Czesława Miłosza z Gombrowiczem właśnie. Akcja fabularna jest pretekstowa. Wiadomo jednak, że w prawdziwym dramacie musi być konflikt, choćby intelektualny. Toczy się zatem spór o Polskę, niebanalny, jakże inny od tego, który aktualnie prowadzimy. Literacko i teatralnie dla zainteresowanych jest to smakołyk. Najważniejszy jest w tym sam sposób – bezpretensjonalny a finezyjny – sposób wykreowania przez Wojtyszkę świata trzech wybitnych osobowości naszej literatury.

Lekkość, inteligentne, niuansowe igry dialogowe, ukazujące istotę relacji postaci – to główny atut dzieła. Szukam, do czego by się można przyczepić. Może Maciejowy Miłosz jest bardziej sympatyczny, niż go sobie wyobrażałem. Wydawał mi się bowiem, podobnie jak Herbert, w rzeczywistości zbyt poważny i pryncypialny. Taki mi się w głowie zalągł, zapewne niesprawiedliwy obraz, a wynikał z mojej niewiedzy albo i wiedzy, że jeden i drugi wielkim poetą był. W każdym razie takich mi sugerowała ich twórczość. Podpowiadały mi to też niektóre zbyt arbitralne, jak na mój gust, wypowiedzi Czesława Miłosza, np. mocno krytyczne wobec twórców niegodnie w swej literaturze obnażających sferę własnej intymnej prywatności. W kwestii pryncypialności moralnych osądów tych trzech jakże odmiennych osobistości Wojtyszko pięknie prowadzi błyskotliwy, polemiczny pojedynek między z gruntu zasadniczym Herbertem i bardziej pobłażliwym Miłoszem, broniącym rozpasanego kpiarza – Gombrowicza – uwłaczającego patriotycznej polskości. Hrabia Witold okazał się bezwstydnie swobodny wobec narodowych świętości, na co młody Herbert, który nie przepadał za starym Mistrzem, absolutnie i w żadnym wypadku nie mógł się zgodzić. Okazał się też nieprzejednany wobec Miłosza, który z wyrozumiałością, a nawet aprobatą, odnosił się do specyficznej gry Gombrowiczowskich przeciwstawności. Pan Cogito, choć doceniał kunszt literacki wielkiego ironisty, sam wieloznaczny i wielce krytyczny, nigdy nie zapominał o przelanej krwi powstańców, o bohaterstwie Polaków i gromił tych, co by chcieli Ojczyznę dopełniać jakąś *synczyzną* lub rozpuszczać to, co wielkie w małościach i małostkowościach. Gombrowicz natomiast nie znosił wszelkiego zadęcia, nadpowagi i przewag moralnych dobrodusznych patriotów, ani nadmuchiwania siebie poezją. Radził nawet Herbertowi, by się poezją

mniej posługiwał. Herbert przestrzegał w swym liście Miłosza: „Bardzo mnie niepokoi Twój kontakt duchowy z Gombrowiczem… Strzeż się, proszę, bo to deprawator, acz artysta". Groteskowa wizja świata tkwiąca głęboko w autorze *Transatlantyku*, była konstruktywną cechą jego osobowości i powodowała wiele nieporozumień, nawet towarzyskich. Postawa mistrza Witolda, jego widzenie świata, specyficzna estetyka i filozofia, były źródłem prowokacji do świadomego igrania sobie własną wyjątkowością i egocentryzmem. Przez to, że igra ta była świadoma i autoironiczna, w moim poczuciu, z góry go można było rozgrzeszyć i ułaskawić, gdyż zaopatrzenie go znakiem dystansu, zmuszało do pobłażliwości, a przede wszystkim unieważniało wszelką garbatą dosłowność.

Tak się rodził uroczo bezczelny wdzięk Gombra, który w teatralnej wizji Wojtyszki ogarnia cały ten światek nieraz zabawnych, ale w istocie samotnych luminarzy, z całym ich bagażem, nie tylko „plusów dodatnich", ale i innych cech, czyniących ich prawdziwie ludzkimi, nie papierowymi bohaterami literatury. Teatr Wojtyszki, nie na dynamicznych fabularnych akcjach oparty, lecz na relacjach międzyludzkich, na błyskotliwych wymianach zdań przyjaciół wyrzuconych za polską burtę, to niełatwy, lecz pociągający, inteligentny teatr rozmowy. Aktorzy do swych ról zostali idealnie dobrani i grają znakomicie, bez przerysowań, bez fanfaronady lub sztucznych ozdobników, czy też reżyserskich popisów, nieodpowiadających semantyce sztuki. Tu wszystko jest funkcjonalne, uzasadnione i to bez przynudzenia. Andrzej Seweryn jest absolutnie Gombrowiczem. Wydaje się, że go nie gra, tylko po prostu nim jest, prawdziwie, z całą swą kabotyńską wyniosłością, bezpretensjonalnie, a dowcipnie. Lekkość i dowcip, ten na poziomie, a nie dla rechotu, nadaje całemu spektaklowi stylistycznego smaku. Herbert młodego aktora – Pawła Krucza – jest bardzo przekonujący i wyrazisty. Malajkat totalnie swobodny, energetyczny, momentami rozbrykany, a czasem autentycznie ciepły i empatyczny wobec schorowanego, gasnącego pisarza, trochę, jak dla mnie, za sympatyczny, gra świetnie. Towarzyszące im panie: Grażyna Barszczewska, Magdalena Zawadzka, Anna Cieślak, Katarzyna Skarżanka, każda inna, każda w swoim rodzaju, równie bezbłędnie wypełniają powierzone sobie role. A role postaci o wyrazistej osobowości w tego typu dramaturgi, odwołującej się do starej, dobrej tradycji teatralnej, a jednocześnie spełniającej intelektualne wymagania sztuki współczesnej – to kwintesencja teatru. Estetyka czasu minionego, postaci ze sfer wyższych o „inteligencji wrodzonej", nie tylko

„katolickiej" (opozycja słowna wygrana w tekście sztuki), arystokratyzm ducha głównych bohaterów, mimo ich potocznych, swobodnych zachowań, nadają nietypowy dziś koloryt i styl temu przedstawieniu.

A Polska? … Polska jest w tych rozmowach wciąż żywa i choć są to rozmowy nieodświętne, może jest Ona w nich ważniejsza niż dziś w naszych przemówieniach od święta jubileuszowego.

Grzegorz Walczak

Andrzej Appel

Scherzo

Widzę go często.
Teraz też
kiwa się, przykucnięty,
na krawędzi
stawu. Wierzch
starczej dłoni, zawzięcie
mnącej okruch,
łechcą zmysłowo
wierzbowe cienie.
Skrzek, lśnienie
rozpiętych nad głową
mew. Inni
przychodzą, odchodzą.
On niestrudzenie
powtarza swoje
w przód i w tył, raz i dwa.
Patrzę, nie wierzę;
ten człowiek
to naprawdę ja?

Sztuka

Pokrętne zajęcie,
bardzo niebezpieczne.

Wychodzisz z siebie,
czasu i miejsca, i możesz już
nigdy nie wrócić.

* * *

Jeśli sądzisz,
że coś ci się od życia
należy, pomyliłeś
adresy.

Dla życia
nie znaczysz nic,
nic zupełnie.

Życie to czysta
abstrakcja, a z takimi
– wiadomo –
nie ma żartów.

* * *

Ten pokój jest oceanem,
tutaj żyję, zamknięta,
pośród błękitów, w cieniu zmarszczek.
Kto mnie?
Kto życie moje pamięta?

Pragnęłam przestrzeni,
lecz dzień przynosił gwałt.
Na zewnątrz rządzi siła.
A tu, gdzie nic się nie zmieni,
czy tu jestem bezpieczna?

Zagadka bytu

Zmarszczki wody
poznaczone świetlistymi smugami,
szmer trzcin.

Nasłuchujesz, patrzysz
w porośniętej wilgotnym mchem
rozpadlinie myśli,

aby ująć nieuchwytne,
złapać ulotne. Tymczasem
ktoś na ciebie czeka,

może nawet niejedna osoba,
oni patrzą i nasłuchują, o nic nie prosząc,
o nic nie pytając.

Andrzej Appel

Jerzy Binkowski

A Dieu – żegnaj niezłomny w krajobrazie kości

Między trzecią a szóstą karabin poci się
Smród to stary odór młodego kapitana

Wszystko co nieludzkie jak żal nie jest mu obce
Popiół na wargach i brzuch wyje do księżyca

Głód wypatroszył mu flaki choć jeszcze dyszą
Zdychaj oddechu bo brzytwa brzydzi się szyi

Oto mordy sowieckich owczarków niemieckich
A Dieu – żegnaj wyklęty z krajobrazu kości

Ty nie masz czasu

Żołnierzom Niezłomnym w hołdzie

Między cynglem a muszką czas ucieka jak woda w wodogrzmotach
a ty nie masz czasu spojrzeć w zieleń jak buk piękną

I nie masz czasu gdy biegniesz lub stoisz uciekając wśród gruzów
i nie masz czasu na przyklęknięcie i modlitwę dłuższą niż Ojcze nasz

Modlisz się o Wieczny Odpoczynek racz mu dać Panie a czas ucieka
spiesząc się gdy połykasz kromkę chleba umoczoną we łzach

Czas na ramiona żony to jedynie malarstwo na płótnie we mgle
i zmywasz pospiesznie pierś okrwawioną odpryskiem z serca wroga i brata

Gdy nocą ciemne wskazówki lasu przywierają cię do nicości
chcesz wykrzyczeć swój żal i wycharkniesz lęk skryty w grdyce

Doczekasz czasu na podniesienie gdy umierasz
pamiętając o wzniesionych ramiona kapłana podczas Podniesienia

i nie ma już CZASU

Sylwia Gibaszek

Pamięci Mirona Białoszewskiego

Garwolin

I

na pastwiskach zasypiają konie kopytami odlatują za horyzont
nurogęsi szukają ryb pod lodem
szron zapala zmrok szadzią drzewa otula
bydlęta grzęzną w zaspach
cisza podpala rzekę bobry wstępują w żeremie
przed nadejściem nocy kołują gawrony nad Garwolinem
Jak ptaki z filmu Hitchcocka

II

wilga ma zapach łęgów palonych liści
bobrów skubiących wierzbowe witki
kamieni z pobliskiego nasypu kolejowego
wonieje daleką północą
mazią z pobliskiej fabryki
oczekiwaniem na strażnika z wieży
który codziennie gasi dzień
schodząc do młyna obok doliny

III

jestem wodospadem obok młyna przy fosie
kiedy przychodzisz rozpuszczam spienione włosy
szczupaki krąpie pstrągi wpadają w moje loki
wyplątuję je rzucam wabię Ciebie
byś miał obfity połów
byś był
coraz bliżej

IV

na polach mgła dymi się z okolicznych garbarni
ktoś na rżysku zostawił skórę dzika
w listopadowym słońcu stygła szara szczecina
bielmem zachodziły szczęki
żółte kły w niebo stalą się wtopiły
rozdziobią truchło gawrony

błękit paryski spiralą las otula
szewc ze świeżej skóry cholewkę szyje w starym domu pod wierzbą
po kamieniach stukają obcasy zdziera się skóra z buta obcej kobiety
krew z palca leci sąsiad garbuje bydlęta na palto
płacze dziecko
mkną sarny po łące pokotu się boją
chmary ptaków szykują się do nocy
kto prowadzi swój pług przez kości umarłych

V

Nie zasypiajcie madonny
mgła nad Wilgą
mgławica do zalewu wpada jak do żeliwnej kadzi

niedobra noc madonny
madonny
nie wsiadajcie do bryk sześciokonnych ściokonnych
konie ospałe metaliczna łuna obleka
szadź wisi nad grzywami

niedobra noc madonny
niedobra noc

konie pobiegną przez rzekę do nieba
która w głąb kamieni ucieknie
wyciekają zza światów pijane duchy
skrzypi Zodiak
mróz prześlizguje się przez ciemność

ktoś przysnął pod śniegiem
w drzwiach zaciął się zamek wykluczony
zamiast dzwonu serce bije pod lodem

niedobra noc
Wysiadajcie madonny madonny
Nie wzlatujcie na karuzeli ponad niebo
rozhuśtajcie bryki sześciokonne ściokonne tak mocno
by Człowiek powrócił do Człowieka

Sylwia Gibaszek

Eugeniusz Kasjanowicz

Miasto

Ścieżki dzieciństwa
powrót w pamięć
stukot pociągów
Siedlce
ulica Łukasińskiego – wiecznego więźnia
którego w dzieciństwie
porównywałem z Prometeuszem
Dom Kolejowy – jakie to ciepłe i czyste
miejsce
pomimo wilgotnych ścian
stawałem pełen zachwytu przed Katedrą
szukając Pana Boga w chmurach
naprzeciwko nastawni liczyłem wagony
jak dobrze
że było to na początku lat sześćdziesiątych
udało mi się wiem o tym
Wędrujące sny kołysane stukotem kół
wakacje
słońce było zbawienną suszarką
kiedy wychodziłem z rzeki
o zachodzie cisza skrzek żab
czyste powietrze wdychane bez obawy
otwierałem się wtedy do wnętrza
Dzisiaj ulica Monte Cassino
czasem odległa i bliska
jak włoskie wzgórze
skowyt lasu kiedy budzi się dzień
Siedzę zamknięty na drugim piętrze
przyglądam się z zainteresowaniem
bywa że z niechęcią
ludziom ptakom marzeniom
sąsiad umarł wyjechał

dla wielu jest to bez różnicy
Często myślę o ulicy Łukasińskiego
i wracam na Monte Cassino
jakbym przezwyciężał słabość
wnoszę ciężar dnia na następny stopień

Jestem w tobie żywy
moje miasto
Siedlce

Polonez siedlecki

Jeszcze słychać szelest cienia
księżnej Aleksandry
zegar na wieży ratusza
odmierza jej kroki
które suną coraz dalej
zostawiając ślady
w parku na ulicach W powietrzu unosi się
zapach perfum tajemnicza mgła
Atlas staje się Jackiem
koniuszym Ogińskiej
idę jej śladami
odkrywam że tęsknię za czymś
czego nie przeżyłem
za wyobrażanym sobie światem
nasłuchuję dźwięków
„Pożegnania ojczyzny" Michała Kleofasa
zamykam mocno oczy
aż coś ściska za gardło
jakbym witał
i za chwilę miał się żegnać
z bliską osobą odjeżdżającą w nieznane

Pamięci Ojca

Ach jak się męczyłeś
z braku ulicy Miodowej
która nie spojrzy już tobie
prosto w oczy
Tato
nie zastuka dorożka
tak bliska twojemu wzruszeniu
rodzona
Warszawa
gołębie nie usiądą
na twoich serdecznych rękach
na które mnie brałeś
podrzucając pod obłoki
mama nie znajduje
przyjaznego ramienia
postukuje łzami o samotną ławkę
Wypatrują ciebie sny
przez które przebijają się moje podarte myśli
i znad Wisły
unoszą się urywane dźwięki
twojej rozmowy
z wiatrem
który niespodziewanie przywiał kiedyś ciebie
do miasta
przewiązanego aksamitką Muchawki
i tu zostałeś
z nieruchomymi oczami
które chciały
coś jeszcze powiedzieć

Siedlcom mówię – dobranoc

Dobranoc
nadzieja śpi na kolanie

Dobranoc miasto moje
krzyże katedry głowy ułożyły
na obłokach
Muchawka wtuliła się w trawy
jak żabi skrzek
w parku Ogińskich
łabędzie schowały się w pióra
i wieczór zamknął dziuple wiewiórkom
Czasem cienie przemkną
i latarnia ma oko podbite
od strony Pułaskiego
Na Skwerku Cudów
śpi cicho pod ławką
Król Pik z podeptaną koroną
Dobranoc
już wychodzą zamiatacze gwiazd
i gwiazdy zamiatają
z ulicznych kałuży
Dobranoc
tylko liście błądzą po ulicach
poruszane palcami Ogińskiego

W Tobie – miasto moje

Jesteś moim miastem
bezpiecznym zaułkiem
mojego życia
pomimo wielu klęsk
które chciały wtłoczyć mnie
w szarość
Na ratuszu
drżą wskazówki zegara
jakby lękały się kroku
w ścianę mgły
Moje aleje ulice
domy pałac drzewa
ciągle są przy mnie

jak najwierniejsi przyjaciele
zamykam ich uścisk
w swojej dłoni
wchodząc do katedry
tu samotność jest rozmową
z Bogiem
któremu was polecam
a później taniec serca
uwolnionego od ciężaru dni
w rytm poloneza Ogińskiego
który nawet gdy cichnie
unosi się nad miastem
i patrzy
w dzień – jak słońce
nocą niczym księżyc
a kiedy nadchodzą chmury
spływa kroplami

Biały Dunajec

Marii i Maciejowi Skupieniom

Kiedy zaśpiewa słońca promień
budzący rankiem nasze myśli
górski krajobraz biorę w dłonie
Biały Dunajec mi się przyśni

I wzleci lato tak wysoko
ponad potoki ponad góry
i niech zatrzyma się w przestrzeni
a ja nad brzegiem na kamieniu

Śpiewaj pieśń życia moja rzeko
i nieś mnie w sobie bezustannie
zasypiające słońce prowadź
ukołysz ludzi dobre myśli

Urodzisz jeszcze wiersze piękne
wyrzeźbisz w drewnie ludzkie twarze
chciałbym do ciebie wrócić jeszcze
nad brzegiem rzeko razem marzyć

Przyniosę tobie pocałunek
co się zatrzyma tu w powietrzu
i będę biegł z tobą za rękę
śmiejąc się niczym małe dziecko

A kiedy noc otwiera gwiazdy
i myśli płyną gdzieś daleko
to zawsze moje serce wraca
do ciebie moja wierna rzeko

Eugeniusz Kasjanowicz

Andrzej Książek

Wyścig i trwanie

Iść żeby iść – pędzić
od celu do celu.
Postęp jest lepszy od
od stania w miejscu.
W ten sam sposób.
Do tego samego.

Iść – biec z szybkością
światła reflektora samochodu
złamanego w soczewce oczu
skupiającego to co rzekome a nie
naprawdę jest dobre i piękne.

To chwila decyduje
a nie splot splecionych w supeł
zdarzeń.

To droga
i to co w drodze i na drodze
nieoczekiwanego zaskakującego
co wprawia w zdumienie a może i
w zachwyt.

Wypełnia i spełnia się – chyba przepowiednia

Jestem na drodze….
choć droga jest wyboista
i bieganie w górę.
Łączy niebo i ziemię
stronę prawą i lewą
północ i południe.
Dwa stany tego samego.

Jedynego.
Rzeczywistego.
Pozostałe jest tylko
Pozorem.
Złudzeniem. Może
żartem.

Mniemanie

Kto to wie jak
naprawdę było.
Już pamięć nie ta sama
co kiedyś.
Fakty łączą się z mitami
Tworząc alibi nie do podważenia.

Sen jest przedłużeniem jawy
która zjawia się za każdym razem
w innej postaci.

Trudno doprawdy
ustalić kto z kim i dlaczego.
Nie wiedzą o tym ci którzy
z taką dokładnością ważą mierzą liczą
ileś tam zer po przecinku.
A także jasno– widzowie którzy widzą
w ciemnościach i mroku.
Wróżbici którzy wróżą z lotu ptaków.
Ich lot w kształcie klucza. Ptaki
właśnie odlatują do ciepłych krajów.

Zamiary

Było tak
a jest inaczej.
A może nic się nie zmieniło.

Za każdym razem widzimy
w inny sposób
w innej postaci.
Stąd te niekończące się rozmowy które
zaczynają się wieczorem a kończą nad ranem.
Nieustające próby i ciągłe powracanie.
Zbliżamy się bądź
oddalamy.
Jesteśmy już tak blisko.
Od tego jak jest
jak było naprawdę.

Carpe diem?

…i w życie jak w żyto
wyrośnięte po pas po szyję.
Ciesząc się chwilą momentem szczegółem
namiastką.
A wszelkie przeszkody
to tylko wymysł umysłu.
Zaprogramowanego.
Wyuczonego.
Widzieć rzeczy tak a nie
inaczej

Obliczenia

Wszyscy chcą żyć
nikt nie chce gnić
za wcześnie.
Trzymają się kurczowo.
Tego co widzą słyszą
czują.
Chcą chodzić po ziemi.
Wiedząc o tym że tam za horyzontem.
W miarę dojścia

ciemna linia ciągle się
przesuwa.
Wiedząc o tym że tam w górze
jest przestrzeń która ciągle się
rozszerza.
Wiedząc o tym i mając nadzieję
która jak respirator podtrzymuje
przy życiu

Zaprzeczenie negacji

Negatywne myśli – chmury
które napływają i przepływają.
Płyną i płyną.
Po południu spadł deszcz.
Pod koniec dnia wyszło słońce.
I było tak jak
przepowiadali prorocy w świętych księgach.
Jak śpiewał ptak na gałęzi
drzewa.

Andrzej Książek

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Via trita via tuta

Do Emigrantki

Jak ptak z gniazda niecierpliwie ulatujesz,
potem wracać chcesz, zaglądasz, nie znajdujesz.

Dziś tu, jutro tam. Uciekasz, drżysz, siebie okłamujesz…
Wspomnień nie wyglądaj! Nie ukoją, usnąć nie pozwolą.

Gdy poznania owoc znajdziesz w szklanej dżungli bez powrotu,
nie daj czekać, powiedz słowo!

Miarkę piasku z morskiej lub wiślanej plaży weź ze sobą.
Łez wylanych słony smak z błyskiem oczu zmieszaj roześmianych,
tchnij w nie duszę, wziąć się daj w ramiona orła.

Niech Cię niesie, niech Cię pieści ptak skrzydlaty, lśniący, obłąkany...

Jerzy Marciniak

dla rzeźbiarza

pamięci Bogdana Jareckiego,
artysty z Kalisza,
za którym płaczą jego rzeźby

słyszę

słowa rzeki
i
legendy naszej ulicy
tworzone o świcie
cichnące wieczorem
odchodzące

brzozowych postaci szept
daleki

słowa rzeźbione przez wiatr
milczące
i
jęk konarów w ogrodzie
gdzie
zostawiałaś swój śmiech

tęsknię
za mrokiem nad stawem
i
odbiciami naszych twarzy
na ciemnej wodzie
gdzie była nasza
radość

za
nurtem rzeki

rwącym
na którym rzeźbiłem twoją jasną
nagość

naszym dawnym śpiewem
gorącym
i
twoim zamkniętym w figurkach
spojrzeniem

u schyłku nocy krańcem ulicy
odchodzącym
w stronę naszego lasu
gdzie
na polanach cietrzewie miały toki

gdzie
stałaś w trawie
jasna jak antyczna nić jedwabna
piękna i cicha
powabna
a o wierzchołki drzew zahaczały
zgrzytliwie
przypatrujące się nam zazdrosne obłoki

tęsknię

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Panu Naszemu

Jestem tak ciemny
jak wielka Jasność
kiedy w nią wejdę
a blednąca Ziemia
wciągnie ze mnie kości
przesuwając godzinę
z Zieleni na Błękit

Oczy zachodzą mgłą

Oczy zachodzą mgłą
i widzą to co każe dziennikarz w gazecie
uszy zachodzą szumem księżyca i słyszą
tylko to co mówią głośniki o groźnym zamiarze
wrogów którzy nie chcą abyśmy słyszeli
co innego bo ktoś mógłby przestać się bać

Wrogów też nie ma mówi papier gazety
ty jesteś tylko przypadkowo ale i ciebie
nie będzie a wtedy my będziemy wszędzie
w fotelach bogów
mówią czarne obrazki liter

Jestem zdziwiony

Jestem bardzo zdziwiony
tym że niektórzy nie czytają
napisów na rogach ulic
i idą tam dokąd dawniej nigdy by nawet
nie ruszyli stopą a jednak walą

całymi gromadami nie czytają
numerów domów i nie liczą ich
a dziwią się że w jednym
jak wiemy wciąż mieszka gość
na nich nadający ongiś władzy
że ci idący jej nienawidzą
i zamiast iść powinni siedzieć

Sprzątaczka

W moim domu sprzątaczka
strąciła stertę książek
spomiędzy których wypadła kartka
z zapiskami po tamtej nocy po tej
która zakończyła jeden świat
kosztem drugiego
do dzisiaj nie wiadomo który lepszy
który jest który
który którego byłby zwycięzcą
który z którego pobiera odciski palców
by je bezwzględnie uznać za swoje

Spojrzała i odłożyła
ale wiedziona tajemną siłą poezji
której ja też nie pojmuję
podniosła i przeczytała
nie wiedząc jak ważne słowa
jak ważne znaczenia
przechodzą przez jej umysł
i wypadają z drugiej strony
przez uszy oczy pory w skórze
nietknięte żadną refleksją

Piotr Müldner-Nieckowski

Alicja Patey-Grabowska

Narodziny wiersza

Kiedy tyle zamków
kłódek
krat

Nawet
krajobraz snu
otoczony drutem

Jak trudno wydobyć
kilka celnych słów
na szerokie wody

Czasem ze szczeliny
mysi pysk
czasem mrówki
torują drogę

Z głębi rozpadlin
najtajniejszych myśli

Nienasycenie

Nienasycenie
chociaż jest się sytym

I ciągle głodnym
chociaż najedzonym

I wciąż spragnionym
choć ze źródła woda

Zdanie niezamknięte
choć zwieńczone kropką

I cisza głośna
choć to niemożliwe
aby się stało
to co nie do stania

12 VIII 2018

Poeta i Historia

Spadają pomniki
Zmieniane imiona ulic
Politycy unoszą się ku niebu
skróceni o głowy

Tylko poeta
niezmiennie piszący o miłości
spowity w cień –
Bezpieczny kokon
w tajfunie
Historii

Alicja Patey-Grabowska

Baśka eR

* * *

Żegnaj Moje Miasto
Żegnaj Święta Częstochowo
Już czas milczenia nadszedł dla twej szlachetności
Więc odchodzę potajemnie bez bólu
Zapominana w głębi artystycznej duszy
Obolała niczym przebita nożem
Wciąż krwawiąca samolubna
Już nie płaczę już chowam pięść w kieszeni dziecka
Drwię z waszych postanowień
I modlę się o rychłą zagładę mych aluzji mima
Bo tutaj już nic nie mogę uczynić
Przeciwko sobie? By wypłynąć?

Krzysztof Saturnin Schreyer

Gwiezdne znaki

dla A.P.G.S.

Na pustym krześle obok mnie
nie siadaj, bowiem któż to wie,
czy tych słów parę, dość banalnych
nie może skutków nieść fatalnych?

Przypadek wiele ma obliczy,
ale nie każde z nich się liczy.
A jakie teraz będzie dla nas? –
głupstwo, pomyłka, czy wygrana?

Lecz to od szczęścia nie zależy.
Los? Jemu też nie warto wierzyć.
Ja ufam sercu i mądrości,
smętnych w kosmosie samotności.

Zaś serce cicho podpowiada,
że jeśli Ona obok siada,
z uśmiechem, gestem, elegancją
i pachnie pięknie, jakby Francją
i jeszcze słowem lotnym włada,
coś musi znaczyć, że tu siada.

Niezwykła sprawa się zaczyna –
czyja zasługa, czyja wina?
Kosmiczny ruch to elementów,
które nie wiodą do zamętu,
lecz w rytmach żywych, naturalnych,
do kontredansu ciał astralnych –
dusz naszych, które według znaków
bliskie są w życiu i w Zodiaku.

Boję się pisać, by nie spłoszyć
tego, co kosmos, któż to wie?,
wśród gwiezdnych pyłów chce rozproszyć?
Ja zaś stanowczo mówię nie!
Cóż, astronoma będąc synem,
na siebie biorę całą winę
za wielki upór wyobraźni,
marzącej barwnie o przyjaźni.
Co dalej? Raczej będę cicho,
aby złośliwe uśpić licho.
Lecz ruszam w drogę z celem trwałym,
by nasze szlaki się splątały.

30 XII 2017

Królewna

Królewna zalotników umizgi odpiera
czym szybko niejednego zraża kawalera,
lecz jest taki, którego chłód jej nie zniechęca,
lecz, jak się dzisiaj powiada, tym bardziej nakręca.
Cieszy się jej mądrością, wdziękiem i urokiem,
na przyjęciach bez przerwy wodzi za nią wzrokiem.
O jej wiotkiej kibici każdej nocy marzy,
ale łaskawych gestów żądać się nie waży.
Choć o jej względy bardzo nieśmiało zabiega,
Królewna bystrym okiem wreszcie go dostrzega
i czuje satysfakcję, gdy on w szranki staje
z jej imieniem na szarfie, więc podwiązkę daje,
a on ją na kolanach z wielką czcią przyjmuje,
w sercu radość ogromną i moc w członkach czuje.
I oto dylemat ma poeta teraz,
jaką drogą prowadzić swego bohatera?
Schematów mamy wiele – radosne, ponure,
nijakie też bywają, który weźmie górę?
Poeta też ma jedną, do której wciąż wzdycha
i gdy nocą nadzieja ogarnia go cicha,
pisze o swym rycerzu, że wygrał turnieje,

że królewna z balkonu do niego się śmieje,
potem liścik i kluczyk przynoszą mu gońce
i czeka niecierpliwie, kiedy zajdzie słońce.
Lecz dziewczyna poetę rzuca bezlitośnie,
w nim gorycz, złość, cierpienie wielką falą rośnie,
więc królewna na ganku o tren się potyka,
coś tam łamie i biedna wzywa wojownika,
ale on odwet biorąc za swoje cierpienia,
wsiada na koń i chustką macha do widzenia.
My wiemy, że poetę sumienia wyrzuty
dręczą za to, co szczerej winne jest pokuty –
te karesy z sąsiadką! Karesy to mało,
przy winie to i owo przypadkiem się stało.
Jego rycerz znów w walce dzielnie się uwija,
lecz koń zrzuca go z siodła i miecz go przebija,
więc cierpi zasłużenie, zastępczo, rzec można.
Poetę nadal wena unosi przemożna:
Królewna łezki roni, padł rycerz, niestety…
To przykład, że pisanie ma swoje zalety.

20/21 II 2018

Wyposażenie

Dziecięctwa czas to jest ufność,
bo cóż się złego stać może?
Przy matce – uśmiech i czułość,
przy ojcu żadnych zagrożeń.

Ten świat jest pełen wciąż nowych
zachwytów: gdy rwiemy kaczeńce,
westchnień przy dziwach lodowych,
bo sopli tworzą się wieńce

na krzewach, gdy mrozem skute
nad taflą lśnią rozlewiska.
Nogi są ciepło obute,
a postać ojca tak bliska!

Starości czas, cóż, powiecie,
że gorzkie rozczarowanie,
te walki w niepewnym świecie,
burzenie i budowanie…

Więc skąd nadzieja, skąd siła,
choć umysł sceptyczny, chłodny,
marzenia łatwe zabija –
wszak człowiek taki zawodny!

To proste! Gdy czas dziecięctwa
ufność na zawsze zaszczepił,
nie trzeba siły ni męstwa,
bo serce wie to najlepiej,

że będzie dobrze i basta,
mnie się nic złego nie stanie,
a kiedy Sprawa wyrasta,
należy podjąć wyzwanie.

Dziękuje ci Ojcze za cuda,
którymi serce rozgrzałeś,
za pewność, że musi się udać!

Ale też mówić umiałeś,
jak mądrze żyć i zabiegać
o praw poznanie natury,
co to są sople i chmury…
i fałsz, i jak go dostrzegać.

25 I 2018

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Seipp

Z cyklu „Młoda dziewczyna śpi”

Sześć jest grzechów przeciwko Duchowi Świętemu[1]

„Zaprawdę powiadam wam: wszystkie grzechy i bluźnierstwa, których by się ludzie dopuścili, będą im odpuszczone.

Kto by jednak zbluźnił przeciw Duchowi Świętemu, nigdy nie otrzyma odpuszczenia, lecz winien jest grzechu wiecznego”. (Mk 3, 28n)

Grzech I. O łasce Bożej rozpaczać

[*„Dziwny to był człowiek; oficer legionów, komunista nie należący do partii, najbardziej polski poeta, jakiego można sobie wyśnić – a komunizm potrzebny mu był tylko z jednego powodu: ponieważ on, Broniewski, najbardziej lubił pisać o komunizmie”*]

młoda dziewczyna śpi – a ja
siedzę w łóżku o piątej rano
dotykam jej ciepłego ciała
piję zimne piwo
patrzę na biblioteczne półki
myślę o poecie który zapił się
bo mu umarła córka

mam mnóstwo zalet, które znacie
mam też kilka pojedynczych wad
jedną z nich jest twierdzenie: kobiety wódki nie piją
młodą dziewczynę doprowadza to do białej gorączki
uważa, że jeśli zechce też może być Wielkim Pijakiem
większym ode mnie

1 Wszystkie epigrafy do kolejnych części poematu pochodzą z książki Marka Hłaski *Piękni dwudziestoletni*.

PO CO?

dawno temu w Anglii
w pałacu pełnym młodocianych właścicieli świata
żądna wrażeń gospodyni zarządziła:
panowie piją po równo, ostatni wygrywa

wzruszyłem ramionami
jeżeli chłopaki całe życie pili drinki
nie mieli szans z czystą wódką na czas
poszedłem w to, bo panny były ładne
a nie, żeby cokolwiek udowadniać

PO CO?

po co ktokolwiek chce być taki jak ja?
co mam zrobić ze straceńczą ambicją młodej dziewczyny?
też jestem bezkompromisową feministką, ale
kobiety wódki nie piją i już

dzisiejszą niedzielę młoda dziewczyna spędza na kolanach
nie, nie w kościele przed ołtarzem
rzyga do kibla
– Zostaw mnie! Nie patrz!

tak, tak, dobrze się domyślacie
wytarłem jej buzię mokrym ręcznikiem
a potem całowałem do utraty tchu

Grzech II. Przeciwko miłosierdziu Bożemu zuchwale grzeszyć

[*„Był zadziornym szlachciurą. Bierut zaprosił go kiedyś do Belwederu, wziąwszy pod ramię poszedł z nim do ogrodu i powiedział: »Towarzyszu Broniewski! Już najwyższy czas, abyście napisali nowy Hymn Narodowy«. Broniewski wysłał go do wszystkich diabłów, po czym napisał wiersz, że kłania się rewolucji radzieckiej po polsku, czapką do ziemi"*]

prezentowałem niedawno scenariusz parze trzydziestolatków
rządzących jedną z redakcji w stacji telewizyjnej
pani nagle krzyczy obrażona:
„pan mi tu nie wyjeżdżaj z jakimś Dostojewskim
bo ja się nie dam na to nabrać!"

kazałem jej przyznać, że jest niedouczoną idiotką
dostała szału
jej kolega odprowadził mnie aż na ulicę
niby przepraszał
ale tak naprawdę zgadzał się z szefową

szedł ze mną, żeby wypalić papierosa
zapytałem: a pan czytał „Białe noce"?
o romantyku, który nie zauważył miłości?
Broniewski pięknie to przetłumaczył

roześmiał się: „oczywiście, że nie!
dla pana jesteśmy głupi, ale to pan szuka pracy, nie ja
szczęście w nieszczęściu, że ona o panu nie słyszała
przekręcę trochę nazwisko
bo jeżeli się uprze
to żadna sekretarka nie wpuści pana więcej za próg
ja wiem, pan zrobił »Animację«
ale mnie wtedy nawet nie było na świecie"

tak zleciało moje życie

młoda dziewczyna czytała Dostojewskiego
w dodatku z racji wieku nie ma moich problemów:
uwielbia Leszka Millera, Palikota, Biedronia, Grodzką
i koniecznie chce mnie namówić na seks gejowski, którym jest
[zafascynowana
– Zostaw moją dupę w spokoju!
– Ale jeżeli tego nie znasz, to nie wiesz, czy to lubisz, czy nie.
– Chuj i pizda, to moja ojczyzna!

wiem, wiem, tak to się mówiło w Ursusie na podwórku 50 lat temu

Grzech III. Uznanej prawdzie chrześcijańskiej się sprzeciwiać

[*„Broniewski nie miał pojęcia o marksizmie, dialektyzmie, ekonomii i polityce. Komunizm urzekał go stroną malarską – pędzące nań w roku 20. hordy Tuchaczewskiego, piece Magnitogorska, elektrownie na Wołdze – to był komunizm. Wybaczył im nawet swój pobyt w więzieniu, ponieważ mógł pisać o tym wiersze"*]

młoda dziewczyna przepłakała ostatnią noc pomagając mi oddychać
a ja znowu kupuję dwa razy zero siedem

kara musi być
wróciłem do domu i ogarnęła mnie noc Brahmy:
młoda dziewczyna odeszła

wpatrywałem się we flaszkę na stole jak w telewizor przez
[dwie-trzy godziny
w końcu schowałem ją nietkniętą do lodówki
postanowiłem iść za ciosem i zrobić sobie przerwę wiedząc
że bezpieczniej będzie rozpaczać na trzeźwo
niż rozklejać się po litrze i zdejmować lampę z haka w suficie
postanowiłem urządzić sobie szkołę przetrwania

nie jest to wcale proste
wódka już tak trwale zniszczyła mi mózg
że jeszcze wczoraj – na trzeci dzień! – byłem przekonany
że zniknięcie młodej dziewczyny sobie ubzdurałem i ona
[drzemie na kanapie
– okazało się to oszukaństwem zmysłów
ale nie minęło parę godzin i przekonanie o jej obecności wróciło
a potem jeszcze raz

w nocy obudziłem się od własnego krzyku
czując fizycznie bicie pałami przez
bliżej nieokreślonych fanatyków religijnych

dzisiaj ze strachu
najpierw serce stanęło mi na widok wielkiego cienia butelki z wodą

potem o mało nie zemdlałem kiedy przechodziłem koło okna
i poruszyła się za mną firanka

życie mnie nie oszczędza

Grzech IV. Bliźniemu łaski Bożej zazdrościć

[*„Po roku 1956 ten stary i chory już człowiek miał na tyle odwagi, że do mnie, pętaka, podszedł i powiedział, iż prosi o przebaczenie. Nie, że przeprasza, ale że prosi o przebaczenie. Zrobiło mi się nieprzyjemnie; poszliśmy znów na wódkę i znów Broniewski mnie korygował aż do chwili, kiedy wspólnie straciliśmy przytomność usnąwszy na jednym łóżku, przy czym ja spałem przytulony do niego, jak szczenię do suki"*]

jest coś wabiącego w samotnym piciu –
nawet znalazłem na to słowo:
n i e u n i k n i o n e

bo jak inaczej to nazwać?
wcale nie chcę umierać
muszę wstać! wyjść! biec! lecieć! szukać! szukać! szukać!
ale piję, piję, piję
nie da się tego zatrzymać

dziś, dziś, dziś, dana, dana:

– Panie Jurku, może kupi pan coś do jedzenia?
– Proszę się o mnie nie martwić.
– Ale niech pan nie kupuje kartonu!
– A co to panią obchodzi ile wódki kupuję?
– Wszystkich nas tu obchodzi! Ona wyjechała, a pan się zapija.
[Niech pan weźmie połówkę.

ot, codzienny dialog w wiejskim sklepiku

Grzech V. Na zbawienne napomnienia zatwardziałe mieć serce

[*„Nie potrafię o nim myśleć inaczej jak dobrze – jestem takim samym Polakiem jak i on. Nie potrafię przestać czytać jego wierszy; i nie potrafię przestać ich kochać. Ten bolszewik zdobywający order za dzielność w walce przeciw innym bolszewikom; ten więzień Stalina, który chciał uwięzić innego człowieka za to, iż obraził jego oprawcę; ten wielki, nieszczęśliwy poeta i dobry człowiek – gdzie on teraz jest?”*]

jestem poetą –
mam wrażliwość kobiety
na wrażliwego każda poleci

– Zdajesz sobie sprawę, że jeżeli ona cię kocha, to oznacza, że jest
[nienormalna!

zaprawdę powiadam wam
kiedy znowu na kolanach z płaczem
będziecie błagać o litość naszego rozrywkowego Ojca zsyłającego
wojny, zbiorowe gwałty, śmiertelne wypadki
samobójstwo dziecka –
jedynym, który stanie bez strachu
odwróci się
i krzyknie: „co Ty znowu wyprawiasz?”
będzie właśnie poeta

dlatego mnie kocha

żadnej innej roli dla siebie nie widzę

– Nie wstyd ci tak się obnażać?

sztuka performance to „sytuacja artystyczna
w której artysta jest zarówno twórcą jak i materią sztuki”

uczestniczyłem w takich wydarzeniach kilka razy w życiu
za każdym razem
artystka lub artysta

w którymś momencie rozbierali się do naga

to tak jak ja
mózg nie zna wstydu
sztuka jest procesem nieustannym

młoda dziewczyna chciała być ze mną do końca, tylko żebym –
planowała brać ze mną ślub, tylko żebym –

Broniewskiego zamknęli na odwyku siłą i podstępem
w sumie
dlaczego nie?
przecież nawet rzygi młodej dziewczyny mi smakują

masz chamie złoty róg
oby nie ostał ci się ino sznur

Grzech VI. Rozmyślnie trwać w niepokucie

„A kiedy będę umierać, skoro umierać mam
ty nie bądź przy tym i nie radź: już ja potrafię sam"

to oczywiście prawdziwy mężczyzna Władysław Broniewski
ja, kompatybilista, pewnie będę się mazgaił

2014-2018

Jerzy Seipp

Jerzy Śleszyński

Profesor i stolarz

Łatwo jest stracić spokój i równowagę, które pierzchają jak spłoszone konie. Bezradnie i w osłupieniu patrzy się na swoje istnienie ograniczone czasem i siłami natury…

Annemarie Schwarzenbach

Coś wsącza się w komórkę
coś blokuje i coś pompuje
głęboko poniżej skóry cały czas dzieje się nieświadome życie

iskra w fałdach szarych komórek
przerabia nową informację na język zrozumiały dla człowieka
wynik badania krwi i flagi wszędzie flagi

IQ i zdobyta wiedza i cały bagaż doświadczenia nie uspokajają
profesor i teolog i listonosz i stolarz
wszyscy spotykają się w niepokoju

dziwne i nie dziwne że jest jakoś inaczej i teraz wszystko leci z rąk
trudno przypomnieć sobie co tam było zapisane na dole kartki
dżingiel telefonu wstrząsa ciałem i podrywa na równe nogi

codzienne i niecodzienne czynności czekają i nie odpuszczą
ktoś szepce sobie w samotności „muszę to jakoś ogarnąć"
ktoś pociesza się jedenastym drinkiem w samo południe

wystarcza jeden malutki sygnał
albo niepewna diagnoza
przypuszczenie

wystarcza pyłek
żeby przewrócić wszystko
do góry nogami opadającymi bezradnie

Pewnego razu w listopadzie

Są takie dni, kiedy całe narody są głupie jak jeden człowiek

Guy de Maupassant

Sklepy zamknięte
komunikacja prawie nie działa
urzędy nie funkcjonują
w powietrzu lekki odór spalenizny
tysiące ludzie idą donikąd

wielu z chorągwiami
niektórzy z pochodniami
słychać nerwowe okrzyki
ktoś głośno przeklina
tysiące ludzi idą donikąd

co chwila wybuchają race
tłum wylewa się z wąskich ulic
na szerokich nie przejdziesz bokiem
jezdnia i chodniki dla wybranych
tysiące ludzi idą donikąd

ktoś komuś obiecuje wpierdol
dziecko tuli się do ojca
ucieka w niebo czerwony balonik
ciasno ramię w ramię
tysiące ludzi idą donikąd

Masse und Macht w realu
nie usłyszysz głosu z telefonu
nie ujdziesz chyłkiem do domu
nie przeciśniesz się
tysiące ludzi idą donikąd

podobno tak powstaje historia
tak strąca się z tronu władców
tak rewolucje ostrzą swoje noże
dyktatorzy dochodzą do władzy
bo tysiące ludzi idą donikąd

Jerzy Śleszyński

Małgorzata Strękowska-Zaremba

rozstanie

nie zależeć od ciała podziurawionego oddechem
nie czuć bólu
lęku pod paznokciami
mdłości
nie oganiać się od komarów
ciężkostrawnych potraw
niezidentyfikowanych guzów
nadwrażliwych dziąseł
suchych zębodołów
paraliżu kończyn
tak bym chciała

mięśnie i kości woda i sól nabłonek
pozostawić na pastwę
wyrwać się
pominąć
przepoczwarzyć się w „ja"
– słowo niedookreślone jak wyjęte z ciała pisklę

banały

pobłażamy sobie jedząc ciastko i czerwone mięso
solimy bez umiaru
unikamy ruchu
zapominamy o śniadaniu
nie szczepimy się przeciw grypie
oddychamy nawet w smogu
nadużywamy leków
śpimy za krótko
pracujemy za dużo
za często umieramy

Kazimierz Świegocki

Medytacje nad życiem i śmiercią muchy domowej

Zrodzona w szparach szafy lub w śmietniku
nie z brzucha matki, ale z obojętnej
skorupki jajka – mucha – domowa – dość niemiły insekt
ma w swoim życiu nie lada zadanie.
Bo nikt jej przecież nie chroni od głodu,
w gąszczu powietrza nie wskazuje drogi.
A jednak mucha nigdy nie zabłądzi
wierna swym skrzydłom i owadzim oczom.

Brzęczenie muchy na lep ułowionej
czy głosem skargi jest, czy euforią,
żaden sylogizm ludzki nie dowiedzie,
chociaż o gwiazdach niezbicie orzeka,
że gdy spadają, to z serca człowieka,
a kiedy świecą, nad losem mu świecą.

I któż by świeczkę zapalił nad muchą,
lub kto ją uczci, kiedy w miodzie zdycha?

A gdy rozważać o podróżach kwestie,
czym rejs Kolumba wobec lotu muchy?
Czy tak jak ona jeden raz na zawsze
wyruszył z jajka zginąć w miodomorzu?

Jest piękną pieśnią życie małej muchy,
co tak w istnienie się własne pogrąża,
że całe wieki zamienia się w godziny,
nie czuje śmierci, tylko zapach miodu.

Kto z nas tak trafnie wypełnia swe życie
treścią przeznaczeń, a więc boską treścią?

Bo nam żyć w czasie, a jej w wielkim micie,
gdzie czas jest karłem, a bogiem jest życie.

1966

Człowiek i ważka

Nam dano przestrzeń na kołyskę ciała
i duszę, aby ciało kolebała.
Jej Bóg odmówił duszy nieśmiertelnej,
lecz dał jej skrzydła tak mądrości pełne,
tak wiedzą świata napełnione oczy,
że się nad wodą jak duch wznosi Boży.

Ani się światła lęka ni ciemności,
nie czuje czasu, nie wie o wieczności.
I widzi wodę, a w wodzie odbicie,
w odbiciu siebie, w sobie wieczne życie.

A nasza dusza nad wodą zastygła,
czas jej i przestrzeń odejmują skrzydła.
Patrzy żałośnie przez ciało na morze,
gdzie lecą ważki, te księżniczki stworzeń.

7 lipca 1996

Kazimierz Świegocki

Krzysztof Beśka

Tymek i tajemnicza szkatułka

(*fragmenty*)

Pudełko zrobiono z ciemnego drewna, miało też srebrne okucia. Takie, jakie zwykle posiadają eleganckie szkatułki, w których trzymane są rodzinne precjoza. A raczej to, co z nich zostało, bo w czasie wojenny płaciło się często za chleb i słoninę kosztownościami. Wielkością przypominało pudełko do butów. Metalowa była też dziurka do kluczyka po jednej stronie i zawiasy, na których poruszało się wieczko po drugiej.

– Klucza nie ma – zauważył Janek, wpatrując się w przedmiot takim wzrokiem, jakby już widać było, co jest w środku. I że to coś, to nie są stare listy.

– Ano nie ma – zgodził się Tymek Czyż.

Siedzieli w niewielkim fabrycznym pomieszczeniu pachnącym smarami i benzyną, co nie dziwiło, bowiem znajdowało się ono niedaleko garaży.

Jak się tam znaleźli? Przewińmy kilka klatek tego cudownego fotoplastikonu, by i to stało się jasne. Janek Amsel, widząc cierpiętniczą minę szofera, którego w fabryce czekała z pewnością ostra reprymenda – i to nie tylko z powodu zimnych już dwojaków z obiadem dla inżyniera – zgodził się pojechać z nim i próbować załagodzić sprawę.

Udało się zadziwiająco łatwo. To, że syn inżyniera prowadził samochód i potrącił swego rówieśnika w pobliżu Dworca Wiedeńskiego, sumiennie i zgodnie przemilczano. A obiad został po prostu wrzucony do garnków i odgrzany. Było tego tyle, że podjedli również chłopcy. Dopiero kiedy rozszedł się smakowity zapach, Tymek zdał sobie sprawę, jak bardzo był głodny...

I pewnie na tym by się skończyło, gdyby nie tajemnicze zawiniątko, z którym się nie rozstawał. Janek już podczas jazdy na ulicę Prostą zauważył, że przy węzłach ściskających szary worek niczym baleron, majstrowano. A kiedy zapytał Tymka wprost, co jest w środku, ten odrzekł, tak samo wprost, że pojęcia nie ma…

Po czym opowiedział o incydencie, do którego doszło na zatłoczonym dworcu, o niemieckim oficerze, który stał pod zegarem i który najprawdopodobniej został raniony przez osobnika w czarnym płaszczu i ciemnych okularach. Tymek opowiadał, a Janek słuchał z coraz bardziej rozdziawioną buzią. A na końcu przełknął głośno ślinę, jakby to była gorąca kluska.

Kiedy zaproponował, żeby zajrzeli do środka, Tymek zgodził się, choć po chwili wahania. Wtedy zabrali się do rozplątywania węzłów. Co prawda Janek na początku chciał sznurki po prostu przeciąć, opowiadając przy tym o jakimś Aleksandrze Macedońskim, Tymek był sceptyczny. W końcu zaczęli dłubać cierpliwie w węzłach i już po kilku chwilach trzymali w rękach pachnącą lakierem, ciemnobrązową szkatułkę.

– Może nożem? – zaproponował Tymek.

Tym razem to skrzypek spojrzał z wyrzutem na nowego kolegę. Nie mogło to dziwić, bowiem skrzyneczka – i to od pierwsze chwili! – skojarzyła mu się z jakże przecież delikatnymi skrzypcami. Mimo to postanowił dać jeszcze Tymkowi szansę i zapytał:

– Co dokładnie masz na myśli?

– Kiedyś widziałem, jak jeden… kolega – chrząknięciem zamaskował zakłopotanie. – Jak jeden otworzył nożem drzwi piwnicy, bo sąsiadka zgubiła klucz.

Amsel nic nie powiedział. Tymek spojrzał na niego spod oka.

Pewnie ma mnie, myślał, za pospolitego złodziejaszka, a może nawet żałuje, że kazał szoferowi śledzić automobil, do którego wsiadłem. Ale on też ma swoje za uszami. Niby z dobrego domu, ale zdarza mu się z niego wymykać, by puszczać z chłopakami w rynsztoku łódki wystrugane z kory. Nie wspominając już o prowadzeniu automobilu!

– Nie mamy noża. – Janek rozłożył szeroko ręce.

Na to Tymek roześmiał się głośno i rozejrzał się dookoła: owszem, noża może i nie było, za to wszędzie, jak to w warsztacie, jak to w fabryce, walały się inne narzędzia: od młotków i szczypiec, aż po ogromną piłę, którą musiało obsługiwać dwóch ludzi. To właśnie na niej wzrok zatrzymał na dłuższą chwilę.

Młody skrzypek nie mógł tego nie zauważyć. I znów aż się wzdrygnął na myśl, że stalowe zęby kroją delikatne drewno, aż wióry lecą.

– Co się właściwie wydarzyło w tym szpitalu? – zmienił nagle temat.

Teraz to Tymek zadrżał, jakby go nagle na mróz wystawili. A potem potarł ręką czoło, choć to nie tam miała się wbić igła strzykawki. Wreszcie w kilku zdaniach opowiedział, co mu się przytrafiło.

– Nawet nie wiem, co mi chcieli zaaplikować – westchną boleśnie na koniec.

– A ja się chyba domyślam – rzekł tajemniczo Janek.

Czyż powoli odłożył na miejsce śrubokręt z pociemniałą ze starości rękojeścią, który miał zamiar wetknąć do dziurki szkatułki zamiast klucza.

– To znaczy? – zapytał cicho.

– Podsłuchałem rozmowę dwóch lekarzy. Mówili o jakiejś nowej szczepionce, którą mają podawać wszystkim chłopakom od dziesiątego roku życia wzwyż.

– Na co ta szczepionka? Na grypę hiszpankę?

– Nie, na… głupotę.

Tymek przewrócił oczami, pokręcił głową.

– Śmiejesz się, a ja naprawdę się bałem, że chcą mi coś zrobić. I pewnie by zrobili, gdybym nie dał stamtąd drapaka. Do tej chwili nie wiem, jak mi się to udało…

– Jak widać, nie wszystko ci się udało. – Janek był bezlitosny. – Ci, którzy cię wieźli, nie wyglądali mi na pastuszków.

– Dobrze, już! – uciął Tymek, spojrzawszy ciężko na nowego kolegę. – Pośmialiśmy się, powiedzieliśmy, co mieliśmy do powiedzenia.

– I?

– Może zajmiemy się tą szkatułką, dobrze?

Janek skinął głową. Pochylili się nad skrzynką niczym archeolodzy nad wykopanym właśnie z ziemi reliktem. Tymek sięgnął ponownie po śrubokręt, ale nieco mniejszy.

W tym samym momencie do pomieszczenia wszedł pan Olaf Amsel. Było za późno, by próbować ukryć szkatułkę ani nawet nakryć ją woreczkiem, w którym wcześniej była schowana.

Ale inżynier zdawał się jej nie widzieć.

– Co ty tu jeszcze robisz, synu? – zapytał srogo i nie czekając na odpowiedź, która pewnie i tak byłaby wykrętna, polecił: – Wracaj natychmiast do domu. Mama dzwoniła przed chwilą. Wydawała się spokojna, ale jak ją znam, to odchodzi od zmysłów…

*

Matek, które odchodziły od zmysłów, było w tym momencie i tego dnia dużo więcej. Część z nich, jak widzieliśmy, czekała pod drzwiami szpitala dziecięcego przy Kopernika, dokąd mogli trafić ich synowie. Inne siedziały

cierpliwie w domach, modląc się ze wszystkich sił, by najmilszy wrócił. Niechby i obdarty, zapłakany, ale w jednym kawałku. A z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej…

Mama Tymka wciąż przekładała fajerki na kuchni. Dużo bardziej drżącą ręką niż jeszcze godzinę temu, ale trudno było zauważyć różnicę, bo wykonując tę prostą czynność, zawsze robiła wiele hałasu. Rano nie musiała nawet pochylać się nad każdym ze swych dzieci z osobna, aby je obudzić do szkoły. Wystarczyło, że zaczęła przygotowywać herbatę.

– Cukier się skończył – powiedziała, bo teraz również planowała ją zaparzyć.

– Nie szkodzi. I tak nie słodzę – odparł mężczyzna.

Odetchnęła. A z tym cukrem to skłamała, bo już od tygodnia z hakiem nie słodzili.

– Już podaję…

Ulga była jednak chwilowa, Tymka wciąż bowiem nie było w domu, za to był jego tornister i ten nieznajomy mężczyzna, który go przyniósł. Skąd w ogóle wiedział, gdzie mieszka właściciel, a właśnie takie pytanie Maria zadała jako pierwsze. Chociaż nie, to było drugie, bo pierwsze brzmiało przecież: „skąd pan to ma?". Odpowiedź była prosta: w tornistrze znajdowały się zeszyty, podręczniki, a także dzienniczek ucznia, w którym skwapliwie wpisano adres.

– Dziękuję. – Gość przyłożył obie dłonie do kubeczka, zupełnie jakby jeszcze przed chwilą przebywał na mrozie, a przecież siedział już tutaj czas jakiś.

Był to pan około trzydziestki, wysoki i szczupły, ubrany schludnie, choć skromnie. Wyglądał na urzędnika, ale raczej niższego szczebla. Mama Tymka zauważyła także, że ma lekkiego zeza. Gdyby nie ta drobna niedoskonałość, nawet by się jej podobał.

– A z tym tornistrem to, powiadam pani, naprawdę dziwna sprawa – podjął mężczyzna po chwili, uśmiechając się krótko.

– To znaczy?

Maria Czyż od dłuższego czasu usiłowała sobie wyobrazić, jak jej syn wciska go w szczelinę między ścianą kamienicy a murem szkoły. A może zrobił to ktoś zupełnie inny, kto na przykład znalazł tornister leżący na ulicy? Dlaczego w takim razie nie odniósł zguby? Pytań było coraz więcej, a biedne matczyne serce biło coraz bardziej niespokojnie…

Szczęknął zamek w drzwiach. Kobieta poderwała się z kuchennego taboretu jak oparzona, omal go nie przewracając.

– Tymek!

Ale to była Helenka. Mama klapnęła ciężko z powrotem.

– Przyniosłam węgiel, jak kazałaś. – Dziewczyna postawiła wiaderko obok kuchni.

– Tak, dziękuję ci, dziecko.

Z tego wszystkiego zupełnie o tym zapomniała. Jak mogło się to stać? Ech, żeby tak było znów lato. Wtedy wszystko jest inne. Nawet święta Bożego Narodzenia, które zbliżały się wielkimi krokami, już jej nie cieszyły…

Zauważyła, że córka z zaciekawieniem przygląda się gościowi.

– Ten pan coś wie o Tymku – wyjaśniła. – Przyniósł jego tornister.

W chwili, gdy wypowiedziała te dwa krótkie zdania, uświadomiła sobie, że ich kolejność powinna być odwrotna. Albo wręcz te pierwsze nie powinno w ogóle wybrzmieć. Choć z drugiej strony przecież właśnie na to czekała! Na wieści…

– Czy pan wie, gdzie jest mój syn? – wyrzuciła z siebie.

– Nie. Ale znam kogoś, kto może wiedzieć – odrzekł nieznajomy, po czym powoli odstawił kubek z herbatą na blat kuchennego stołu.

*

Choć już po raz trzeci tego dnia Tymek Czyż podróżował po Warszawie w dość niecodzienny jak dla siebie sposób, czyli automobilem, wciąż znajdował w tym nową radość. Zaczynało się robić ciemno, na ulicach zapalono część latarni, wystarczyło więc lekko przymrużyć oczy i uruchomić nieco wyobraźnię, by znaleźć w… zupełnie innym mieście. Chłopak – czy to idąc piechotą, czy to jadąc tramwajem – nieraz przenosił się w ten sposób o setki, a nawet tysiące kilometrów od domu. Raz był w Paryżu, kiedy indziej jeszcze dalej, bo aż w Londynie, a nawet, mimo że dzieliło ich ocean, w Nowym Jorku!

– Chyba się trochę uspokoiło, co? – mruknął szofer, a jako że żaden z pasażerów z jakiegoś powodu mu nie odpowiedział, zaczął gadać sam do siebie. – Ciekawe, na co im wszystkim te karabiny, co? Idę o zakład, że w większość z nich ojcowie jeszcze dziś, a najpóźniej jutro rano odniosą na policję…

– Jeśli jest jeszcze jakaś policja – wtrącił przytomnie Janek Amsel.

– To, że się żaden nie napatoczył, kiedy… – mężczyzna się zawahał i aby pokryć zakłopotanie, kilka razy odchrząknął, po czym zmienił bieg na niższy, zbliżali się bowiem do skrzyżowania.

Ten krótki dialog sprawił, że Tymek w jednej chwili „wrócił" z dalekiej Europy i Ameryki i znów był w swoim rodzinnym mieście. I nie było to miłe. Trochę bał się powrotu do domu oraz awantury, która go prawdopodobnie czekała. Mama puszczała płazem wiele jego wybryków, ale czuł, że teraz będzie inaczej. Może gdyby Zygmuś Karpiuk wczoraj tak nie nabałaganił…

A jakby ten szofer, skoro i tak ma go odwieźć do domu, tak jak mu kazał inżynier Amsel, poszedł z nim na górę i wytłumaczył, że Tymek miał do wykonania jakąś niezwykle ważną misję? Zajmie mu to przecież zaledwie kilka chwil – zastanawiał się chłopak.

Już miał o to zapytać, gdy nagle mężczyzna gwałtownie nacisnął na hamulec, aż siedzący na tylnej kanapie Tymek uderzył nosem w fotel.

– Co tam się znowu dzieje, do kroćset?! – rzucił przez zaciśnięte zęby, po czym wyskoczył na ulicę.

Jak się miało zaraz okazać, był to niewybaczalny błąd. Zresztą nie pierwszy tego dnia, bo gdyby człowiek ten nie uległ prośbom syna swego pryncypała, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej i kto wie, może już siedziałby w domowych pieleszach i pił herbatę z narzeczoną…

Wszystko zaczęło się dziać w błyskawicznym tempie. Byli chyba gdzieś na granicy Woli i Śródmieścia. Rosły mężczyzna w szarym wojskowym szynelu, który stanął im na drodze i zmusił do zatrzymania się, teraz zaczął dziwnie wymachiwać rękami, zupełnie jakby kogoś wzywał, a jednocześnie kogo innego odpędzał.

– Wysiadać! – zawołał ktoś, otworzywszy gwałtownie drzwiczki od strony pasażera.

– Ale to jest automobil z fabryki Norblina i mój tata… – próbował protestować Janek Amsel, ale ten ktoś zaraz mu przerwał:

– Może być nawet króla chińskiego, a teraz zabierze rannych do szpitala.

– Fora, paniczyki, ale już – odezwał się ktoś inny i splunął w bok.

Trudno było dojrzeć twarze intruzów, bo pojazd zatrzymał się akurat w takim miejscu, którego nie oświetlała zbyt dobrze żadna uliczna latarnia. W pewnym momencie Tymek pomyślał sobie nawet, że może to być napad i że żadnych rannych nie ma. I jeszcze że to uchroni go przed gniewem mamy, bo będzie na kogo zwalić winę.

– Chyba jednak musimy wysiąść – westchnął Janek.

Po chwili stali na chodniku. Rozległy się podniesione głosy i szum wielu par podeszew na chodniku. Chłopcy ujrzeli kilku ludzi, którzy na jakiejś płachcie nieśli innego. Wrócił szofer i jął się z powrotem sadowić

za kierownicą. W ogóle nie zwracał uwagi na swoich pasażerów, jakby zupełnie o nich zapomniał.

– Ostrożnie, tylko ostrożnie – powtarzał ktoś, podczas gdy ranny głucho jęczał.

Nie bez trudu ułożono go tam, gdzie jeszcze przed chwilą siedział sobie wygodnie Tymek, a obok niego leżała tajemnicza, wciąż nieotwarta szkatułka, którą na czas podróży z powrotem włożyli do woreczka, choć już nie okręcili sznurkiem.

Teraz chłopak tulił ją do piersi niczym największy skarb, jednocześnie bacznie śledząc to, co działo się obok. Jakoś nie przyjrzał się bliżej rannemu, więc nie wiedział, czy to ktoś młody, czy starszy, a co za tym idzie, do jakiego szpitala będzie zawieziony. Bo jeśli do dziecięcego przy Kopernika, to…

– Co teraz? – rozmyślania przerwał mu głos nowego kolegi, wzmocniony uderzeniem łokciem z żebra.

– A nic. Będą pakować jeszcze jednego. – Tymek ruchem głowy wskazał na automobil, do którego zbliżali się kolejni dźwigający. – Tym razem na twoje miejsce.

– Biedaczek. Chyba pożegna się z ręką… – chłopcy usłyszeli za plecami głos starszej kobiety.

– Co tu się właściwie wydarzyło? – chciał wiedzieć skrzypek.

W odpowiedzi kobiecina machnęła prawicą, by po chwili dotknąć nią oczu, pewnie żeby obetrzeć łzy. Potem westchnęła ciężko, by wreszcie zacząć mówić:

– A szło kilku takich w mundurach, nawet zadowoleni. Pewnie dobrze wiedzieli, co się święci, bo kiedy zobaczyli naszych, od razu zaczęli zdejmować te swoje flinty. Nasi aż byli zaskoczeni, bo przecież nie wszędzie oddawali po dobroci. Pewnie słyszeliście, jakie walki były w Śródmieściu…

Obaj potwierdzili niemo i zgodnie, mimo że pierwsze słyszeli.

– I co się stało? – zapytał po krótkiej chwili Amsel.

– A no już było ugadane, Niemcy chcą iść, a tu nagle jak nie huknie! Podjechał jakiś dziwny stwór na wielu kołach, jak taki wielki żuk gnojarz. Wyskoczyło z niego kilku w takich samych mundurach jak tamci, w tych ich hełmach z rogami. Nawet o nic nie pytali, tylko od razu zaatakowali. I po paru chwilach nasi chłopcy leżeli na ziemi…

Tymek i Janek spojrzeli po sobie, ten drugi wzruszył ramionami, pierwszy zaś jeszcze mocniej przycisnął do boku szkatułkę.

– Co teraz? – powtórzył pytanie sprzed kilku chwil syn inżyniera,

Tymek nie mógł już wymigać się od odpowiedzi. Automobil z rannymi odjechał bowiem, a ludzie zaczęli się powoli rozchodzić. Kobiecina, która dokładnie zdała im relację z wypadków, również podreptała ulicą, nawet się nie pożegnawszy.

– Nie wiem – odparł wreszcie. – Chyba trzeba iść do domu.

Skrzypek z zakłopotaniem potarł ręką policzek.

– Kurczę, mogłem się jakoś umówić z szoferem. Przecież pojechał tylko do szpitala, nie?

– No to może poczekamy? – zaproponował nieśmiało Tymek.

Coraz bardziej był bowiem przekonany, że taki ktoś jak Janek nieczęsto samodzielnie chadza po ulicach Warszawy, a już na pewno nie po Woli. Wystarczyło raz spojrzeć, by się przekonać, że to chłopiec z eleganckiego, dobrego domu. Do tego rozpuszczony jak dziadowski bicz, no bo kto pozwala smarkaczowi, by sam prowadził automobil – w dodatku po ulicach wielkiego miasta, w biały dzień!

– Możemy poczekać – odpowiedział Janek.

I choć wypadło jakoś tak bez przekonania, Tymek przyjął tę decyzję z zadowoleniem. Bo to oznaczało, że uda mu się zrealizować swój plan wciągnięcia szofera do mieszkania, żeby wytłumaczył przed mamą wielogodzinne spóźnienie do domu. Może i Janek by poszedł, zawsze to jeden głos więcej. Tylko najpierw musieliby się umówić, co i jak, żeby nie było hecy. Ale zaraz przyszła refleksja i pytanie: a jak długo będą tu siedzieć? Robiło się coraz ciemniej, coraz zimniej i coraz mniej przyjemnie…

– Pić mi się chce – mruknął Czyż.

– Chyba widziałem szyld jakiegoś szynku, jak jechaliśmy – odpowiedział na to Janek.

Ruszyli w kierunku, z którego nadjechali. Rzeczywiście, po kilkunastu metrach w nikłym świetle ulicznej latarni zamajaczył kołyszący się na wietrze, niewielki szyldzik, który przedstawiał uśmiechniętego, wąsatego jegomościa w wielkiej, futrzanej czapie.

– *U Zagłoby* – przeczytał Tymek.

– Znasz?

– Lokal czy postać?

Ale tamten albo nie dosłyszał, albo był za bardzo zaaferowany tym, co się działo: oto bowiem za chwilę mieli przekroczyć próg miejsca, do którego wcześniej wstępu nie mieli. A przynajmniej Tymek, bo ten ananas to nie wiadomo, skoro rozbijał się po mieście automobilem. Teraz jednak zmieniało się wszystko – i to w zastraszającym tempie. Ktoś, kto jeszcze

wczoraj kopał szmaciankę na podwórku pod śmietnikiem, dziś czyścił z zapałem zdobyczną broń i liczył patrony. Choć tak naprawdę nie miał pojęcia, w czyim kierunku je wystrzeli.

Ale chyba nie wszyscy myśleli podobnie. Ledwo bowiem za chłopcami zamknęły się drzwi, zza szynkwasu dobiegło co najmniej nieprzyjazne, w dodatku wzmocnione uderzeniem ścierki o drewnianą powierzchnię:

– Czego tu?!

Pewnie większość na miejscu Tymka i Janka wykonałaby natychmiastowe w tył zwrot. Właściwie to ten pierwszy już to zaczął robić, ale poczuł, jak na jego lewym łokciu zaciska się kurczowo pięć palców.

– Pytam, czego tu szukacie? – nie odpuszczał oberżysta, choć jego twarzy nie widzieli; w ogóle niewiele tu było widać, gdyż pod sufitem paliła się tylko jedna lampka, w dodatku w niemytym chyba od czasu ostatniego rozbioru Polski kloszu.

Ale Amsel nie dał się zbić z pantałyku.

– Szukam wujka Zygfryda – rzekł dobitnie.

– Nie znam. Wynocha – fuknął człowiek za kontuarem, tym razem bez pomocy ścierki, może już czekała, by oćwiczyć intruzów?

– Ale ja znam – dobiegło nagle z głębi lokalu.

*

W całym trzynastoletnim życiu Tymka burz było niewiele. Największa, rzecz jasna, to wyjście ojca na front, na początku wojny. Cała reszta, kiedy to czasami z rozpaczy, a czasami dlatego, że w jego wieku nie da rady inaczej – łobuzował, była tak naprawdę igraszką. Choćby gdy porównać jego niechlubne dokonania z tym, co wyczyniali inni.

Ale tego dnia wszelkie statystyki i tak traciły na ważności: wzorowy uczeń nagle stawał się rozkrzyczanym ulicznikiem, a ten, który zawsze słuchał rodziców, zaczynał wykonywać ślepo polecenia starszego kolegi z tej samej ulicy tylko dlatego, że ten już miał swój karabin, a najlepiej to rewolwer, bo broń krótką noszą przecież oficerowie…

I w tym przypadku trudno było wpasować Tymka w ramy. Nie zdobył przecież dla siebie broni z zapasem amunicji, nie biegał po Warszawie z biało-czerwoną chorągwią, wrzeszcząc przy tym wniebogłosy. Owszem, widział to wszystko na własne oczy, z bliska, nawet z bardzo bliska, więc gdy go jutro i za pół wieku zapytają, co robił jedenastego listopada, odpowie bez mrugnięcia okiem: byłem tam!

I pewnie skwapliwie przemilczy nasz bohater, że bywał też w wielu innych miejscach. W niektórych, jak szynk *U Zagłoby*, pierwszy raz w życiu. Przemierzając kolejne metry podłogi, do której przyklejały się podeszwy Tymkowych trzewików, modlił się, żeby to jednocześnie było po raz ostatni, bowiem miejsce to w ogóle mu się nie podobało. Poza tym nie miał przy duszy ani grosza, by zapłacić za poczęstunek, a przecież wciąż dokuczało mu pragnienie. W tym względzie tak naprawdę liczył na nowego kolegę. Zresztą nie po raz pierwszy…

– Szukamy wujka Zygfryda – powtórzył cienkim głosem Janek Amsel, tym razem był to komunikat także od jego towarzysza, choć ten wcale nie chciał poznać żadnego wujka.

– Śmiało, śmiało – zachęcał ten sam głos. – Nie gryzę.

Z półmroku zaczął się wyłaniać zarys sylwetki, jeszcze kilka kroków i chłopcy mogli ujrzeć twarz mężczyzny. Była nieogolona, zaczerwieniona tu i ówdzie i w największym skrócie – nie wzbudzała zaufania. Ale przecież nic w tym miejscu nie mogło go wzbudzić.

Czy to właśnie Zygfryd? I na co im właściwie ten Zygfryd? – w głowie Tymka jedna myśl uciekała przed kolejną.

Osobnik ten siedział przy stoliku, na którym stała opróżniona w połowie, brudna butelka bez etykiety, tudzież dwa kieliszki i talerzyk z poszczerbionym brzeżkiem, na którym leżał samotnie kiszony ogóreczek.

– Co tam masz? – zapytał nieznajomy, wskazując szpiczastą, pokrytą siwiejącą szczeciną brodą zawiniątko, które Tymek trzymał pod pachą.

– Nic takiego – odpowiedział ten bez namysłu.

– Pewnie buchnąłeś jakiemuś Niemiaszkowi, co?

Chłopak gorliwie pokręcił głową, choć przecież ten dziwny facet strzelił w przysłowiową dziesiątkę, z tą poprawką, że najpierw niemieckiemu żołnierzowi zabrał to ktoś inny.

– Siadajcie – zachęcił mężczyzna, choć wolne krzesło było tylko jedno, a i to przez jego oparcie przewieszono płaszcz.

– Spieszymy się – odrzekł Janek Amsel i przestąpił z nogi na nogę.

– Rozumiem. W takim razie chodźmy – stęknął niegolony mężczyzna, po czym sięgnął po ogórka, włożył go do ust i ciężko dźwignął się z krzesła.

– Dokąd? – wyrwało się Tymkowi.

– A kogo szukacie? Chyba nie rosyjskiego cara! – prychnął tamten i pokręcił głową z politowaniem. – Poczekajcie chwilę, muszę za potrzebą.

Kiedy zniknął w krótkim korytarzyku, Tymek szarpnął Janka za ramię i rzucił do niego zduszonym szeptem:

– Coś ty w ogóle wymyślił?!

Amsel tylko niewinnie wzruszył ramionami, podniósł wysoko brwi.

– Przecież chciało ci się pić…

– I nadal mi się chce.

Kiedy Janek spojrzał znacząco na stolik, od którego przed chwilą wstał gość szynku, Tymek aż się wzdrygnął. Tego by jeszcze brakowało! Trzeba było szybko zmienić temat…

– A kto to jest ten wujek Zygfryd? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

– To po co w ogóle o nim wspomniałeś?

– Bo to zawsze działa. Inaczej by nas stąd od razu wyrzucili…

Tymek czuł, że za chwilę albo wyjdzie z siebie (zawsze się zastanawiał, dlaczego dorośli tak mówią, gdy coś ich bardzo zdenerwuje), albo da mu po uchu. Za bardzo jednak nie wiedział, jak się wychodzi z siebie i czy to aby nie boli, a przed oćwiczeniem Janka powstrzymywało go to, że miał przy sobie ważny pakunek. Czuł, że nie może go wypuścić z rąk choćby na chwilę. A już na pewno nie w takim miejscu…

– Nic już z tego nie rozumiem – sapnął z rezygnacją i po raz pierwszy od chwil, kiedy wyszedł ze szkoły, zachciało mu się najzwyczajniej w świecie płakać.

Nie jestem żaden chojrak. Chcę do domu – pomyślał z rozpaczą, po czym zrobił to, co jeszcze przed chwilą wydawało mu się niedopuszczalne: położył zawiniątko ze szkatułką na blacie stolika. Zrobił to tak zamaszyście, że mało nie przewrócił butelki. Janek zdołał ją chwycić w ostatniej chwili.

– Uważaj! – syknął.

– Co?! – fuknął gniewnie chłopak.

– Wylałbyś…

– No i co? Mam to w nosie!

W tym momencie stało się coś bardzo dziwnego: butelka, którą skrzypek postawił bardzo ostrożnie z powrotem na stoliku, tak że dotykała jednej ze szklanek, zaczęła drżeć, dzięki czemu oba szklane naczynia dzwoniły. Z początku cicho, potem coraz głośniej.

– Co to? Trzęsienie ziemi? – Janek zaśmiał się, ale równie szybko spoważniał.

Tymek przypomniał sobie o dziwnym pojeździe na wielu kołach, przypominającym wielkiego żuka gnojarza, o którym opowiadała tamta kobieta. Nie widział go, ale przypuszczał, że jeśli to coś przejeżdża ulicą,

wszystko wokół się trzęsie. Obejrzał się, bo chciał zobaczyć reakcję gburowatego oberżysty, którego stąd było widać lepiej niż od strony drzwi. Ten jednak jakby nigdy nic przecierał ścierką naczynia, co raz tylko spozierając spode łba na intruzów.

Tymczasem wrócił tamten mężczyzna. Jeszcze zapinał guziki przy spodniach, ale jego wzrok już padł na stolik. Tymek odruchowo chwycił za zawiniątko i podniósł je. W tym momencie dzwonienie ustało. Chłopcy spojrzeli po sobie.

– Co wy tam macie? – warknął mężczyzna, zaciskając dłonie w pięści.

– Nic – odpowiedział Janek dziwnie wysokim głosem.

– Nic? A mnie się widzi co innego.

– Ale my tylko… – zaczął Tymek, ale głos uwiązł mu w gardle.

– Kto was przysłał?! – tubalny głos człowieka, który znał nieistniejącego wujka Zygfryda, odbił się od niskiego sufitu i niemal namacalnie spadł im na głowy.

– Nikt nas nie przysyłał, pro… proszę pana – wydukał rozpaczliwie Amsel.

Mężczyzna ani na chwilę nie spuszczał z nich ciężkiego jak ołów spojrzenia. Powoli wsunął prawą rękę za pazuchę.

– Zapytam jeszcze raz: kto kazał wam to tutaj zostawić?

Zaskrzypiała za nimi podłoga. To zbliżał się oberżysta. Nie grzeszył co prawda wzrostem ani posturą, za to trzymał w rękach solidną drewnianą lagę. Widać obaj byli w niezłej komitywie.

– Odpowiadaj, jak grzecznie pytają – ponaglił.

Nagle Tymka olśniło. Zrozumiał, czego obawiają się ci dwaj podejrzani osobnicy. I sam również zaczął mieć pietra. Czuł, że jeszcze chwila, a nie będzie mógł stać na nogach. Zawiniątko co prawda nie drgało już, odkąd znów wziął je do rąk, ale nie oznaczało to, że wszyscy są bezpieczni. Nie bez powodu stare przysłowie mówiło o ciszy przed burzą.

– To pomyłka, proszę pana… – rzekł powoli, zupełnie jakby był w tej chwili w szkole, pod tablicą i odpowiadał na pytanie zadane przez profesora-piłę. – Weszliśmy tu przypadkiem i będzie lepiej dla wszystkich, jeśli stąd za chwilę wyjdziemy.

– Mamy was teraz puścić wolno? – prychnął mężczyzna.

Chyba zrobił to z przyzwyczajenia, zapomniał na chwilę, że im dalej znajdą się ci dwaj smarkaci intruzi, a wraz z nimi ten dziwny pakunek, tym lepiej.

– Tak – Janek przyszedł w sukurs koledze.

Czyżby on również zrozumiał, z czym mają do czynienia?

– Mechanizm uruchomił się przypadkowo – Tymek, choć serce biło mu jak oszalałe i każde słowo przychodziło mu z trudem, coraz bardziej brnął w kłamstwo. – Jesteśmy z nowej organizacji wojskowej, a ta przesyłka ma trafić do niemieckiego sztabu. Taki dostaliśmy rozkaz od naszego dowódcy.

– I? – Mężczyzna podniósł w górę lewą brew.

– W tej chwili trzymam palec na zapalniku, więc nikomu nic się nie stanie… – odrzekł ze spokojem Tymek.

Przez dobrych kilka chwili wnętrze oberży *U Zagłoby* na warszawskiej Woli wypełniały tylko ciężkie oddechy.

Krzysztof Beśka

Teresa Bochwic

Czy żyliśmy w Ubekistanie?

Reportaż z rzeczywistości

Nasza rodzina na pewno.

Latem 1963 roku właściwie nic się nie działo w polityce. Matka już dawno wyszła z więzienia, dokąd trafiła na dziesięć miesięcy za próbne tłumaczenia „na zlecenie Giedroycia" dostępnej w polskich bibliotekach uniwersyteckich politologicznej książki Feliksa Grossa.

W latach 60., 70. i do końca 80. trochę półżartem, trochę z lękiem, mówiło się u nas w domu, że „ściany mają uszy", wymownie przesuwając po nich wzrokiem, ściszało się głos, unikało wymieniania nazwisk, szczególnie „politycznych". Wysyłało się listy za granicę w dwóch kopertach – zewnętrzna, zgodnie z instrukcją Radia Wolna Europa, na nikomu nieznany, jak się zdawało, adres, a właściwy list był wewnątrz, zapakowany w drugą. Nie było w tym raczej prawdziwej konspiracji, choć dość gadatliwa Mama, zaangażowana w różne przedsięwzięcia opozycyjne, jak Klub Krzywego Koła, Klub Inteligencji Katolickiej, KOR czy kontakty z „Kulturą" paryską, potrafiła w wielu sprawach zachować tajemnicę aż po grób. Jej serdeczny przyjaciel, Wojtek Ziembiński, zaprzyjaźniony opozycjonista i wytrwały niepodległościowiec, odradzał nawet rozmawianie przez telefon: „zadzwoń, umów się i dosyć" – mawiał.

Oddawało to dobrze ówczesne poczucie permanentnej opresji, którą się najczęściej raczej czuło niż dostrzegało. Choć czasem się dostrzegało to i owo. W autobusie ktoś widziany dziś znowu po raz piąty, wypytywanie przez dozorcę, akurat nagle zainteresowanego sprawami, które do tej pory obchodziły go tyle co zeszłoroczny śnieg, uchylone drzwi od sąsiadów, nienormalnie intensywny „podkład" szumów w telefonie. W większości sprawy wytłumaczalne w sposób naturalny – ot, tyle się tym zajmowaliśmy, żeby nie zwariować i nie popaść w paranoję, ale i nie zamykać całkiem oczu na rzeczywistość.

Inwigilacja

Jednakże to, co znalazłam na kilkunastu tysiącach stron, udostępnionych mi w IPN, przeszło moje najśmielsze wyobrażenia.

Były okresy, na przykład w czasie sprawy sądowej lub KOR-u, że śledzono każdy krok mojej Matki, nagrywano i spisywano każdą rozmowę w naszym mieszkaniu, opisywano każdy zakup i każdy wrzucony list. Nie list otrzymany, ale list wrzucony do skrzynki! „List przejęto", „List przejęto" – piszą oficerowie SB na marginesach protokołów z obserwacji Mamy, a potem załączają fotokopie oryginału. A ileż to musiało kosztować, tylu ludzi, tyle przepisywania, fotografowania, nie było wtedy kserówek, tylko musieli robić prawdziwe fotografie na błonie celuloidowej!

W raportach Mamę nazywano „figurantką", nadano jej kryptonimy „Liza" i „Ruda", widocznie od nazwiska (Anna Rudzińska). Jako „Ruda" występuje również na podpisach na zdjęciach operacyjnych.

Figurantka zmieniła zamki

W 2000 roku, w osiem lat po śmierci Matki robiłam w jej mieszkaniu na Marszałkowskiej ogromny remont. Rozmontowano starą szafę. Wyciągnęłam z dziurki w podłodze około trzydziestu metrów kabla o niewiadomym przeznaczeniu. Dokądś prowadził. Dokąd? Był to zapewne tak zwany PP – Podsłuch Pokojowy czy też Podsłuch w Pomieszczeniu. Pamiątka po PRL.

Oficerowie i obserwatorzy z SB prowadzili na ten temat obszerną korespondencję. PP założono prawdopodobnie tuż przed aresztowaniem Matki we wrześniu 1961 r., wtedy też dorobili sobie sześć kompletów kluczy do naszego mieszkania. Co pewien czas występowali na piśmie o jakieś poprawki, bo było źle słychać. Nagle pojawia się notatka oficera z prośbą o demontaż podsłuchu z powodu… remontu, podjętego przez „figurantkę"; chodziło o to, żeby go przy okazji nie zdemaskowała. Po remoncie wniosek o powtórne zamontowanie, z prośbą o wydanie „kluczy zapasowych" do naszego mieszkania. I pilny szyfrogram: klucze nie pasują, „figurantka" zmieniła zamki! Wniosek z 22.03.1963 o PP i PDF (nie wiem, co to mogło być, wtedy jeszcze nie było plików komputerowych) podpisał wicedyrektor dep. III płk T. Pełech. A częste zmiany zamków były czymś w rodzaju manii

u mojej Mamy. Teraz wiem, że robiła to nie bez przyczyny. Była pewna, że ktoś wchodzi i bobruje w mieszkaniu, pewnie znajdowała dowody na to.

Poczułam się odarta kompletnie z intymności sprzed lat czterdziestu czy trzydziestu.

Podsłuch Pokojowy i Telefoniczny znowu pojawia się w drugiej połowie lat 70., znowu zaczęły się obserwacje i ściślejsza kontrola korespondencji.

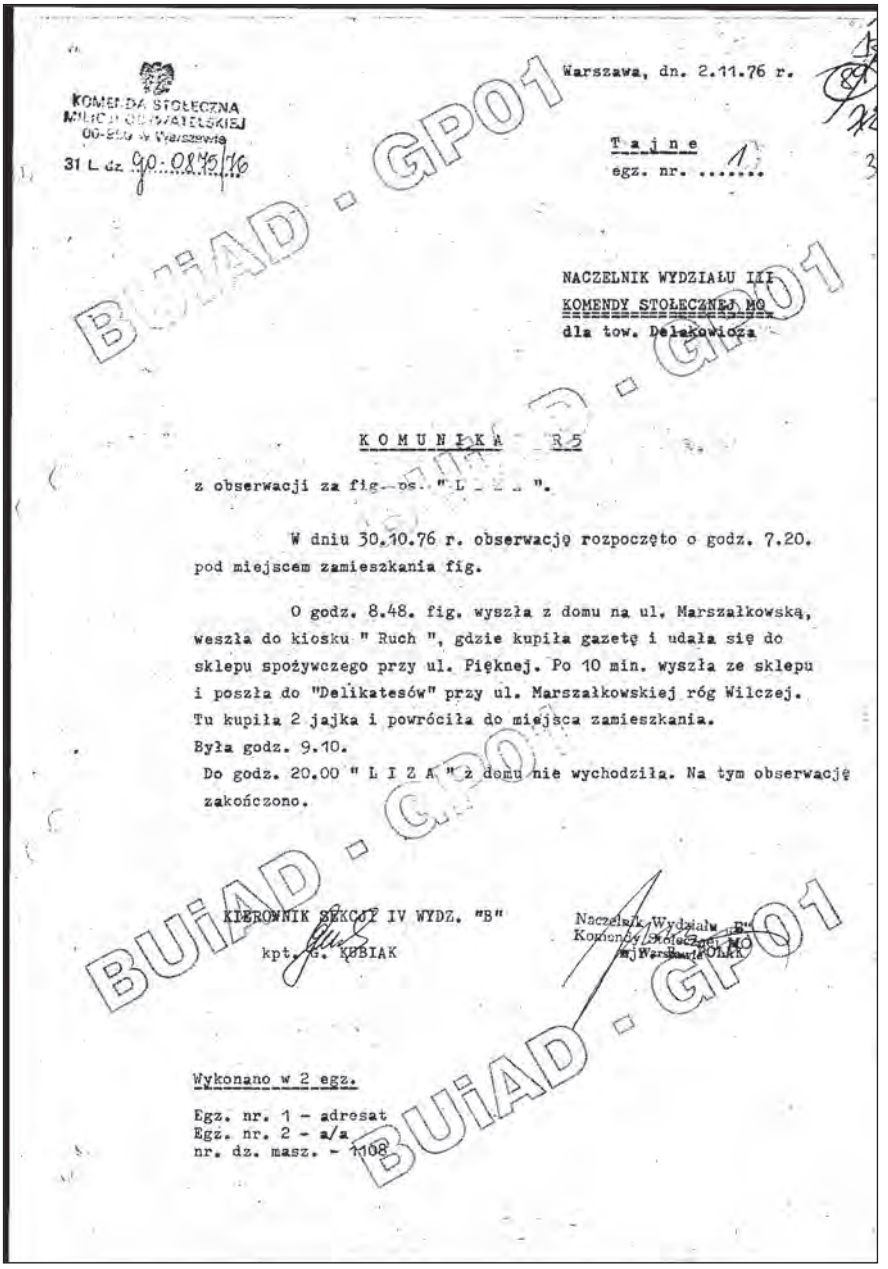
Podsłuch Telefoniczny

Taśmy gdzieś leżą albo są zniszczone; zachowały się stenogramy. Ze stenogramów SB sporządzała streszczenia rozmów. Jest tego paręset stron. W stylu: „Pani Hania dzwoni do pani Niny i pyta, czy może wpaść. Pani Nina pyta, czy tekst już jest przepisany. Pani Hania mówi, że tekst prawie gotowy i po południu zawiezie go do Stefana. Pani Nina pyta, czy angielskie fragmenty nie sprawiły jej trudności. Pani Hania mówi… Dalej rozmowa dotyczy spraw towarzyskich i kuchennych", itd., itp. Prawdopodobnie Matka przepisywała książkę swego promotora i przyjaciela, Stefana Nowaka, późniejszego szefa Zakładu Metodologii na Wydziale Socjologii UW. No cóż, w ustroju, który potrafił uwięzić za zamiar przetłumaczenia książki, nic nie dziwi. Również nie dziwi, że w PRL nie było bezrobocia, tylko system zawalił się ekonomicznie.

Z 1965 roku zachował się zabawny stenogram – urządzam wieczorem prywatkę i sąsiedzi z dołu co pewien czas dzwonią, prosząc o przyciszenie muzyki, o trzeciej rano błagają, żeby nie tupać tak strasznie w podłogę. Wszystko czarno na białym, ktoś odsłuchał, ktoś przepisał na maszynie, ktoś potem streścił, ktoś podsumował.

Listy – akcja „W"

Kontrola korespondencji. W czasach, gdy nikomu nie śniło się o komputerach, a na pewno o poczcie elektronicznej, listy i kartki pocztowe były powszechnym sposobem porozumiewania się, nawet w jednym mieście, bo przecież telefony prywatne także były rzadkością, czekało się na ich założenie po dziesięć lat. Moja babcia i ciotki niemal codziennie pisywały do siebie liściki w stylu „jak będziesz jechała, kup mi jeszcze kilo jabłek". Kontrolowano więc dokładnie nadchodzące na nasz adres listy. Co więcej, kontroli podlegały w niektórych okresach również listy wysyłane, zapewne nie wszystkie, przejmowano je jednak stale w okresach inwigilacji



KOMENDA STOŁECZNA
MILICJI OBYWATELSKIEJ
00-915 Warszawa
31 L dz. GO-0845/76

Warszawa, dn. 2.11.76 r.

T a j n e
egz. nr. 1

NACZELNIK WYDZIAŁU III
KOMENDY STOŁECZNEJ MO
dla tow. Delakowicza

K O M U N I K A T 5

z obserwacji za fig. ps. " L I Z A ".

W dniu 30.10.76 r. obserwację rozpoczęto o godz. 7.20. pod miejscem zamieszkania fig.

O godz. 8.48. fig. wyszła z domu na ul. Marszałkowską, weszła do kiosku " Ruch ", gdzie kupiła gazetę i udała się do sklepu spożywczego przy ul. Pięknej. Po 10 min. wyszła ze sklepu i poszła do "Delikatesów" przy ul. Marszałkowskiej róg Wilczej. Tu kupiła 2 jajka i powróciła do miejsca zamieszkania.
Była godz. 9.10.
Do godz. 20.00 " L I Z A " z domu nie wychodziła. Na tym obserwację zakończono.

KIEROWNIK SEKCJI IV WYDZ. "B"
kpt. G. KUBIAK

Naczelnik Wydziału "B"
Komendy Stołecznej MO
w Warszawie

Wykonano w 2 egz.

Egz. nr. 1 - adresat
Egz. nr. 2 - a/a
nr. dz. masz. - 1108

BUiAD - GP01

bezpośredniej Matki. Wychodziła z domu i wrzucała list do czerwonej skrzynki obok, a oni go wyjmowali. W dniu aresztowania, wychodząc z domu, zauważyła na półpiętrze dwóch charakterystycznych smutnych panów. Czuła, co się święci. Zeszła do kiosku, kupiła kopertę i znaczki, włożyła kalendarzyk z adresami, łakomy kąsek dla służb, i wysłała do Cioci Zosi pod Warszawą. Dziś wiem z dokumentów, że planując aresztowanie, lekkomyślnie dzień wcześniej „zdjęli" obserwację Mamy. Kalendarzyk przechował się u ciotki i nie wpadł w ręce SB.

Nic też dziwnego, że w PRL listy chodziły po dwa, trzy tygodnie.

Przeszłość staje w oczach. Moje karteczki gryzmolone do Mamy z wakacji, kolorowe pocztówki od Ojca, listy przyjaciół. Dowody przestępstwa Matki: „Wysłała na adres «Kultury» paryskiej notatkę biograficzną o Brücknerze".

Tamtego roku w Kazimierzu

Rok 1963. To rok szczególnie bogaty w zachowane materiały. Czy był jakoś szczególny? To raczej był zwykły, spokojny rok okresu tak zwanej małej stabilizacji gomułkowskiej.

Do Kazimierza Dolnego wyjechałam na wakacje z Mamą, braciszkiem i Babcią, potem dojechał Dziadek, wpadli na parę dni wujostwo. Kąpaliśmy się w Wiśle, chodziliśmy na dalekie spacery, robiliśmy wycieczki po okolicy. W albumie rodzinnym parę grupowych zdjęć na tle ruin, na spacerze.

Obserwację zlecił dyrektor Biura „T" MSW St. Kończewicz. Zdjęcia operacyjne, robione „z biodra" czy z półotwartej teczki. Młody wujek Bronisław Wojciechowski, na zdjęciach opisany kryptonimem „Jakub", z kolegą „Jurkiem" niosą Mamie (na odwrocie zdjęć kryptonim „Ruda") i Babci (kryptonim „Klara") plecaki i tobołki na dworzec, machamy im ze staroświeckiego pociągu. Na takie wakacje trzeba było zabrać nawet pościel i garnki, gospodarze zapewniali tylko łóżka i goły stół. Babcia jak żywa, w swojej wiecznej kochanej letniej sukience z żorżety, Mama zmęczona, za rękę prowadzi braciszka. Różne ujęcia.

Jesteśmy już w Kazimierzu. Tam pogotowie w puławskiej milicji. Po paru dniach raport: przyjechał „mężczyzna w średnim wieku, szpakowaty, zabrał jedno dziecko i wyjechał". Zdjęcie, na zdjęciu mój Ojciec, co za bałagan, też kryptonim „Jakub". Mylili go z wujkiem? To mnie zabrał na resztę wakacji. Kolejny alarm na MO w Puławach, przyjechał kolejny

szpakowaty, ale znacznie starszy mężczyzna. Ze zdjęcia ja wiem od razu, że to mój Dziadek, Bronisław Wojciechowski senior, ale milicja namęczy się parę dni, zanim to ustali.

Od czegóż jednak sąsiedzi i gospodarze letniska. Wszyscy, jak się okazuje przesłuchani, pouczeni, mieszkańcy całej dwukilometrowej trasy, którą z Dziadkami przemierzaliśmy w codziennej drodze na tak zwany domowy obiad u jakiejś pani; gotowała wczasowiczom za pieniądze, a więc spekulantka, wystarczający powód do szantażowania przez SB.

Sprawdzić wszystkich

Sąsiedzi to osobny temat.

Nasi sąsiedzi warszawscy byli rozpracowani przez SB szczegółowo we wszystkich chyba okresach PRL. Wiem już, kto donosił, mało kto zresztą, choć pod koniec lat 50. poza dwiema osobami wszyscy z sąsiednich pięter byli zapisani jako „kontakty MSW", cokolwiek to znaczyło. Donosił na całego TW „Jan", częsty pseudonim, ten już regularny współpracownik, sąsiad na piętrze, z pięknego ogromnego mieszkania (nam przydzielono trzydzieści jeden metrów kwadratowych na cztery osoby). Miał za zadanie zapisywać, kiedy Matka wychodzi i wraca do domu; musiał się zdrowo namęczyć, czatując przy wizjerze.

Jedni mieli kłopoty z bezpieką, innych prześladowano za drobny handel, „kontakty z wywiadem", jeden miał nie taką rodzinę, kto inny kiedyś siedział. Przeważnie dawno już nie żyją. Rozrysowane piętra, mieszkania na piętrach, plany domu, plan naszej kawalerki. Około dwustu stron maszynopisu obejmuje kilkaset osób. Nie tylko sąsiedzi z klatki, również z czterech klatek w podwórzu, obsługa kina, sąsiedni dom, dozorca, sklepowe. Ich małżonkowie, rodzeństwo, dzieci, rodzice, małżonkowie rodzeństwa, ich rodzice, co robią dzieci, ich małżonkowie, rodzice małżonków. Jeszcze ze dwa obroty i zarejestrowano by pół Polski.

Zapytania oficerów prowadzących sprawę do Biura „C", czyli archiwum MSW: czy są jakieś materiały, za co dałoby się pocisnąć, pociągnąć za język?…

Wstrząsająca wiadomość z Biura „C" – jedna z sąsiadek „miała kontakty zagranicą", co w PRL kompromitowało bezpowrotnie, ostatecznie w ZSRR niejeden siedział latami w łagrze za pocztówkę od znajomego z Belgii czy USA. Była trzy razy za granicą – raz przed wojną w jakimś Paryżu czy

innym kurorcie, raz w 1958 roku w Bułgarii na urlopie i – uwaga! „w latach 1941-1943 przebywała w Ravensbrück". Oto ci zagranica, oto ci wywczasy, kontakty przestępcze, co ona w tym Ravensbrück robiła, z kim się niepotrzebnie dla władzy ludowej zadawała!

Maszynopisy

Setki wniosków o analizy pisma maszynowego w szczególności w okresie działania KOR (1976-1980), czy to aby nie Matka przepisywała te „wywrotowe" pisemka i teksty? Moim zdaniem przeważnie ona, choć przecież w latach 70. było wiele ofiarnych osób, przeważnie kobiet, nocami przepisujących przez dziesięć kalek różne teksty „samizdatowe". Maszynę Mamy stwierdzono nie więcej niż dwa-trzy razy. Przeważnie specjaliści z Biura „T" narzekają na jakość kopii, trudność w określeniu marki maszyny, „skoku wózka", cech charakterystycznych czcionek. Co pewien czas podsumowanie dokonań Biura „T", analiza. Generał brygady Władysław Pożoga przekazuje zbiorczą analizę do generała brygady Adama Krzysztoporskiego. Mieli co robić generałowie, mieli zasługi… A w Biurze „T" może kogoś należałoby dziś odznaczyć za sabotowanie esbeckiego szaleństwa?

Troje przyjaciół

I

Doniesienie. Przekazuje TW „Jan" (ale to inny „Jan"), spisane w lokalu operacyjnym „Balaton" 11 stycznia 1965:

„Dnia 2 stycznia 1965 r. miała miejsce kolacja proszona u Hanny [właśc. Anny – przyp. T.B.] Rudzińskiej z tym, że goście przynosili alkohol a gospodyni przygotowała jedynie jedzenie. Na kolację proszeni byli poza mną: J. Olszewski, A. Podgórecki, A. Steinsbergowa, J.J. Lipski, Maruta Lipska, Marta Miklaszewska, Zygmunt Skórzyński, żona Skórzyńskiego [Zofia – przyp. T.B.], Paweł Jasienica, J. Szpotański.

[Aniela] Steinsbergowa opowiadała o szopce politycznej w telewizji „Szopka Wielokropka", zauważyła, że zakończenie „Szopki" zostało puszczone jedynie przez nieuwagę cenzury, gdyż scena: Gomułka wśród

ministrów i słowa: „Już dosyć szopki tej" może mieć podwójne i metaforyczne znaczenie".

„Jana" IPN nie zidentyfikował, zbyt wielu TW o tym pseudonimie działało w tym czasie. Ale dla mnie jego postać jest oczywista. Wielki – zdawało się – przyjaciel mojej Matki, człowiek, który w latach 60. obdarzał ją na co dzień wielką uczynnością i serdecznością; z akt wyłania się obraz osoby bardzo interesownej. Zawoził mojego brata na wakacje pod Koluszki, woził lekarstwa do Babci i ciasto od Babci. W tym samym czasie w donosach uświadamiał SB o naszych intymnych sprawach rodzinnych, unosił się nad niesłychaną ponoć brzydotą mojej Matki i snuł freudowskie rozważania na temat jej działalności, ujawniał plany kontaktów z przyjaciółmi i rodziną z zagranicy, bredził o „rasowych" przyczynach ucieczki mojego Ojca z Matką z Wilna w 1942 roku. Jako jedna z nielicznych osób z otoczenia „Jan" dostawał paszport zagraniczny. Wszystkie prośby mojej Matki – o zaproszenie do Francji dla mnie, o przesłanie wiadomości do Feliksa Grossa, za którego książkę siedziała, a który w przeciwieństwie do Giedroycia interesował się jej losem po procesie – natychmiast przekazywał do SB.

Pamięć „Jana" była wprost zadziwiająca, wziąwszy pod uwagę, że nie dysponował magnetofonem (nie było jeszcze małych kasetowców). Czasem jednak nie dawał rady.

„Nie podaję w tym miejscu kto mówił, bo rozmowa miała taki charakter, że brali w niej udział wszyscy – poza [Adamem] Podgóreckim (który w ogóle nie odezwał się przez cały wieczór) i poza [Martą] Miklaszewską, [poza] żoną [Zygmunta] Skórzyńskiego i Rudzińską. (…) Po kolacji [Janusz] Szpotański śpiewał swoje arie. Były wśród nich nowe arie o silniejszych akcentach politycznych. Jest rzeczą niemożliwą zapamiętanie i powtórzenie wszystkich ponieważ odśpiewanie ich wszystkich zajmuje więcej niż 1 i ½ godziny. Załączam arię o «amorku» (Hannie Rudzińskiej)".

„Jan" także urządzał kolacje.

„Dnia 6 stycznia 1965 r. miała miejsce kolacja u mnie. Udział wzięli: J. Munkowa, adw. J. Turski, T. Kozanecki, Sylwester Zawadzki, W. Stankiewicz, E. Hołoń, J. Strzelecki – z UW. (…) Przyjęcie kosztowało 1200 zł, stronę gospodarczą przyjęcia urządziła (…) Munkowa". I tym razem „Jan" szczegółowo doniósł, co kto z jego gości mówił, co kto sądzi, co prorokuje, z czego się śmieje (cytat ze słów jednego z gości: „Będzie robota dla MSW").

Z doniesienia opracowanego przez oficera wynikały zadania dla TW:

„Zadanie. W toku spotkania omówiłem z «Janem» prowadzenie dalszej obserwacji rozwoju sytuacji w środowisku b. czł. KKK [Klubu Krzywego Koła], lansowanych poglądów politycznych i ewent. przedsięwzięć w odniesieniu do kształtowanej polityki partii i rządu. Zaleciłem «Janowi» zwrócenie wnikliwszej uwagi na podejmowane kroki i postępowanie J.J. Lipskiego. St. Oficer Oper, Wydz. III /-/ ppor. Krzysztof Majchrowski". Majchrowski, wieloletni dyrektor w MSW, dochrapał się w wolnej Polsce szarży generała brygady; w 2000 roku popełnił samobójstwo.

II

Halinkę, którą pamiętam z dzieciństwa jako prześliczną kobietę o cudownie długich, polakierowanych na czerwono paznokciach, przedwcześnie zmarłą w 1959 roku, Mama latami wspominała z tęsknotą. Halinka, o której Mama wiedziała, że jest oficerem bezpieki, ale ufała, że po 1956 roku ma już to za sobą, przekonywana przez nią, że w latach stalinowskich nic nie wiedziała o zbrodniach, Halinka więc z każdego spotkania w naszym domu pisała raport.

III

„Zastosować kombinację operacyjną w celu kompromitacji i skłócenia i izolowania figurantki w środowiskach opozycyjnych. M.in. przesłać do kilku kontaktów figurantki anonimy powiadamiające je o rzekomej współpracy Rudzińskiej z SB". Plan napisze i wykona ppor. B. Niedziński – zadecydowano 20 lutego 1976. Podobny tekst powtarza się w ciągu lat kilkakrotnie. Między innymi w styczniu 1976, gdy Matka podpisała z trzema osobami petycję do sejmu przeciwko zmianom w konstytucji PRL (kierownicza rola PZPR i przyjaźń z ZSRR).

Zacytowany tekst powstał konkretnie w październiku 1976 roku, zaraz po powołaniu KOR-u; znowu wnioskowano o założenie u nas Podsłuchu Pokojowego (PP). Czy TW „R" pojawił się już wówczas w naszym domu? Nie, raczej nieco później, gdy wiosną 1977 powstał Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO).

Więc trzeci przyjaciel, TW „R", również serdeczny i uczynny, pojawił się w późnych latach 70. IPN nie umiał znaleźć rozwiązania tego kryptonimu. Żeby nie było wątpliwości – nie był to nikt z otaczających Matkę polityków, opozycjonistów, pisarzy, socjologów, dziennikarzy, artystów.

Współpracował ponad 10 lat. To nie byle TW, oficerowie słuchali uważnie jego rad, a on wskazywał im strategię postępowania i „neutralizowania" Matki.

Jednocześnie wielokrotnie ofiarnie jej pomógł w ważnych życiowych sprawach, przed śmiercią naprawdę się nią zajmował; Matka i Stefan Nowak wprost go kochali jako przyjaciela i mieli podstawy sądzić, że wzajemnie. Można powiedzieć, że im bardziej „neutralizował", tym ofiarniej pomagał. Paręset stron raportów, często „tajnych specjalnego znaczenia" opisuje, jak planował i doradzał, jak „neutralizować" Matkę w związku z jej działalnością w środowiskach narodowych i niepodległościowych, z tak zwanymi „Hazardzistami" (ROPCiO). Jej współpraca z KOR czy lewicowym Lipskim mu nie przeszkadzała. Co go skłoniło do współpracy? Wrażliwość lewicowa? Zalęknienie widmem „polskiego nacjonalizmu"?

Sama nie mogę w to uwierzyć.

A moja Matka? No cóż, sama sobie winna. Zachciało się jej wolnej Polski.

Pisane 02.06.2010

Dyrygent

W 16. rocznicę śmierci Henryka Czyża (1923–2003)

W Roku Stanisława Moniuszki

– Proszę, żeby pani do mnie przyszła – ledwie rozpoznawałam słowa, mówił jak człowiek ciężko chory, dyszał. – Napisałem teraz naprawdę dobrą książkę, bez pani – zachichotał – chcę ją pani podarować.

Złapał mnie na komórkę u koleżanki. Trzy lata temu widziałam go ostatni raz, na koncercie promocyjnym, gdy zredagowałam jego książkę autobiograficzną, jak zwykle zachwycając się oryginalnością jego dzieła. Było mi wtedy nieprzyjemnie, jakby pokpiwał, jakby trochę lekceważył.

Nie miałam już ochoty widywać go często. Kiedyś dzwonił, czy zajęłabym się listami Horzycy do niego, ale nie miałam czasu.

– Wyjeżdżam teraz na wieś, w przyszłym tygodniu…

– Dziś. Zabierze ją pani ze sobą na wieś.

Piękne wysokie mieszkanie na Moliera z widokiem na Teatr Wielki zmienił na Jaworzyńską. Trzy mniej okazałe niż tam pokoiki w kółko, ogromne jak na warszawskie mieszkanie korytarze, garderoba. Balkony wychodzące na śliczne ogródki za oknem. Było mu za wysoko chodzić na drugie piętro, za gorąco od południa. Stracił widok na Papieża.

Dawne meble; wszędzie figurki z brązu, obrazy, bibeloty, nagrody, dyplomy, świadectwa dawnej wielkości i sławy. On sam wyglądał jak grupa Laokoona, pokręcony, wychudły, zbolały; patyki nóg obciągnięte nogawicami w prążki, ruchliwe, pokrzywione palce dłoni. Szarobłękitne oczy w zeschniętej twarzy, pełne inteligencji i humoru, jak zwykle.

Wręczył mi książkę z gotową dedykacją z grą słów – rebusem, zrobionym z mojego imienia: „ [HC] w dobrze pojętym interesie własnym, ofiaruje z przyjaźnią" i zakrętas podpisu. Data – 9 lipca 1999. Powiedziałam, że dziś jest 7 lipca. Zdziwił się, myślał, że raczej ósmego. Przeprawił na siódemkę, postawił parafkę.

– Będzie jak w urzędzie.

Siedliśmy. Mówił o swojej chorobie, rozważał niemoc w ruchu, mówieniu. Nie widzi sensu, żeby żyć, szkoda, że nie wolno eutanazji, sam by to załatwił, jedynie prawdziwie godnie wobec Boga. Gdyby miał pewność. Znajomy lekarz nie chciał, pastylki też niedobre, bo można nie umrzeć, tylko skończyć bezwładem. Co miałam powiedzieć?

– Ciągle, od lat, krąży pan wokół tego tematu.

– Tak, krążę, bo ona też wokół mnie krąży.

– Ale jednak nie przychodzi.

Przypomniałam mu scenę z książki, którą redagowałam. Jak przed koncertem przegląda się przed lustrem w wiedeńskim hotelu, za nim zjawia się piękna kobieta, a to właśnie ona. Wtedy sobie poszła, skończyło się na szpitalu.

– Czy ma pan dzieci?

– …

– W każdym razie nie ma pan takich dzieci, żeby z nimi porozmawiać o życiu i śmierci?

– Nie, takich nie.

Nie chciałam herbaty.

– Napisałem tryptyk muzyczny, do mojego wiersza sprzed trzydziestu lat, bo go znalazłem, i do tekstu *Ave Maria*. Nawet nie mogę go teraz przeczytać na głos.

Podał mi parę kartek. List do jakiegoś José.

– Zna pani tego José? Studiował w Polsce.

– Tego José z Kuby?

– Nie, tego z Brazylii.

Pod listem kartka z wierszem o życiu i przemijaniu, obok nuty *Tryptyku*.

– Nagrał to już Katlewicz, a zaśpiewała taka młoda śpiewaczka, Urszula. Za wolno! Za wolno nagrał, nie chcę takiego wykonania. To ma być w kościele grane, podczas… tego obrządku. Mnie już będzie wszystko jedno, ale wykonanie powinno być szybsze. Zaśpiewała to kiedyś Ewa Podleś, ale ona jest na to za ładna.

Nie umiem czytać z nut.

– Czy może mi pan to zagrać?

Podszedł do pianina. Fortepian sprzedał.

– Bo się tu nie mieścił w żadnym pokoju.

Poczułam powiew świętokradztwa.

Palce szły mu lekko, zagrał prawie wesołą, prawie skoczną muzyczkę, jak zwykle u niego muśniętą geniuszem. Towarzyszył muzyce *recitativem*. Muzyka szła pewnie, słowa bełkotliwie, niezrozumiale, ale coraz lepiej. Najpierw wiersz, potem *Ave Maria*, potem znowu ostatnia zwrotka wiersza, kończąca się słowami „I życia kres".

– To lepsze niż *Ave Maria* Gounoda, prawda?

Zamknął klawiaturę z głuchym odgłosem.

– A całość powinna się kończyć chórkiem, który zaśpiewa: „O, yes, o yes, zdechł pies!".

Zebrał nuty. Przez chwilę milczał, patrzył na mnie, jakby ważąc słowa, których nie wypowiadał.

Cisza trwała coraz dłużej.

– Wyobraża pan sobie…? kościół, smutny obrządek, puszczają nagranie, a potem ja wstaję i moim fałszywym głosem śpiewam „o, yes, zdechł pies"? Nie, nie mogę panu obiecać, że to zrobię, wsadziliby mnie do domu wariatów.

Roześmiał się już zupełnie swobodnie, wesoło.

– Pani ma ten sam rodzaj poczucia humoru, co ja.

– Poproszę o kopię tego wiersza. Przecież tego nigdzie nie wydali, Bóg raczy wiedzieć, czy i kiedy wydadzą, a ja bym to miała.

– Ale musiałbym znaleźć w papierach.

– A wydrukować z komputera? Na pewno tam pan to ma.

– Z papierów będzie prościej.

Poszliśmy do gabineciku– sypialni.

Szukaliśmy; teczki, zszywki, koszulki plastykowe.

– Nie ma.

– No to może jednak w komputerze.

– No dobrze, jak pani chce. Ale pani jest skuteczna!

– Niestety, nie we wszystkim.

Pokurczone palce nie były w stanie manewrować myszką, dyktował mi, gdzie mam szukać pliku. Używał prymitywnego programu Write, myszkę miał przełączoną na prawy klawisz, dla mańkuta.

Jest. Strona 21.

– Ale trzeba napisać na drukowaniu, że 22. Na początku zawsze mi drukowało nie to, co chciałem, potem na to wpadłem, że to zawsze drukuje się o stronę dalej, niż na ekranie.

– Chyba o stronę bliżej.

Ta sama stara drukarka, zwój papieru z dziurkami. Usiedliśmy znowu w dużym gabinecie z pianinem.

– A teraz niech pan mi tu na dole dopisze, że chór i ten zdechł pies.

Zachichotał, dopisał. Postawił znowu datę 7 lipca, podpisał się.

– Wie pani, wtedy… jakoś tak mi głupio, chyba to wtedy niedobrze wyszło… W ogóle byłem w niedobrym okresie życia.

Opowiadał o Bierdiajewie, Zaku, muzykach, których znał, o Szeligowskim. Ich zdjęcia z dedykacjami wisiały na ścianach. O Moniuszce, że nasz, wielki, może większy od Szopena nawet, bo namiętny i bliższy ludziom. Sokorski proponował mu objęcie „Mazowsza" po Sygietyńskim, Sygietyński nawet zgodził się.

– Ale tam tyle tych kukaweczek, ja nie lubię za dużo kukania. Co to, to nie.

Zachwyca się Szymborską – tyle tam humoru, gier słów. Dziś woli PRL od III RP – wydawali go, zamawiali, grali w radiu muzykę, mógł wyjeżdżać za granicę. Kto dziś gra jego? Kto gra Lutosławskiego? Owszem, studio imienia Lutosławskiego jest, ale jego muzyki nie grają.

– No i ta muzyka amerykańska na stadionach, te tysiące ogłupionych. Tyle perkusji! Koszmar. Furcewa i Żdanow to tylko ręczna robota, to było nic w porównaniu ze zniszczeniami zrobionymi przez Amerykanów.

– Nie ma wojny, jakoś ta młodzież musi oszołomić się i wyżyć.

– Tak, to straszne, ale czasem dochodzę do wniosku, że wojny są właściwie koniecznie potrzebne.

– Albo takie ogłupianie zbiorowe, zamiast wojny.

Pisze muzykę nasłuchując, to zawsze przychodzi jakoś z zewnątrz. Jakby Ktoś mu dyktował.

Żegnając mnie mówił już prawie bez wysiłku, wyraźnie. Tekst wiersza włożyłam do książki.

– Ale pani skuteczna! Co chciała to dostała.

Na ulicy przez okno w kiosku spojrzałam na datę na gazecie. Był czwartek, ósmego lipca 1999 roku.

Na jedenaście dni przed wieszczonym przez Nostradamusa końcem świata.

Napisane 16 stycznia 2003 w Warszawie
Podane do druku 12 marca 2019

Teresa Bochwic

Tamara Bołdak-Janowska

Krótki dialog położniczy Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka

o facecie zwanym Spornym

Tamara BeJot: Żyje nasza międzynarodowa Grupa 68plus czy nie? Żyje? Pamiętasz nasz krótki manifest? Brzmiał następująco: Piszemy tekst, a nie produkt. Tekst! A 68plus oznaczało: po ostatnim buncie młodych w 68' mamy albo nie mamy dalszego ciągu oporu wobec tego, co się zużyło, na przykład kłamstwo, przemoc, a mimo to trwa, i co więcej – trwa triumfalnie, bo media głoszą postprawdy, produkują fejki, a politycy robią wojny w imię zysku. Uznaliśmy się za plus w tym sensie, że mamy odwagę oporu i będziemy ją mieć.

Tolo: Ależ pamiętam. Grupa żyje. Publikujemy. A Rainer Strobelt z naszej grupy napisał dwie minimalistyczne prozy, pierwsza pt. „Strittig" i druga „Strittig wieder". Wymyślił bohatera Strittiga. Mam kłopot: jak to przetłumaczyć? Strittig znaczy: sporny, kontrowersyjny, nieoczywisty.

BeJot: Były już nieoczywistości w tytułach. „Kontrowersyjny" to za długie. Niech będzie „Sporny". Dobre książki?

Tolo: Książki przeleżały kilka miesięcy nieczytane, i kiedy zacząłem je czytać, nagle odkryłem, że te miniaturki są bardzo interesujące. Pan Strittig, to jest Sporny (jak sobie życzysz), w jakiś sposób pokrewny jest memu bohaterowi, Tolowi Szaleńczykowi vel Blademu Koniowi. Tylko że to miniaturki. Mamy tu podobieństwo składu losowego: ten sam wiek, ten sam zawód, wzrok podzielony równo ku wnętrzu i na zewnątrz.

BeJot: Przeczytaj kilka, tłumacz rybką.

Tolo: Dobrze, czytam, z dwóch książek, a biorę to, co się otworzy, i nie po kolei: „Pewnego razu Sporny wyruszył na wojnę. Zanim się dobrze obejrzał, już siedział w jakimś bezzałogowym dronie".

Jeszcze: „Sporny obmacuje kontury swojej czaszki. Jakaż ona mała! Posłużyłaby jamnikowi".

Następny kawałek: „Puszcza Sporny globus w obroty, runda w rundę, bojaźliwie wypatruje Przylądka Dobrej Nadziei".

Takie miniaturki, niby nic, a wciągają.



„Ojciec Spornego zapewnia, że nie oddał ani jednego strzału. To przyjemne pomyśleć, że synowie mogą być tacy właśnie".

„Jak mrówki okazują Spornemu swoją tłumioną sympatię? A tak, że jeszcze bardziej się mrowią".

„Czy to już wszystko, co potraficie? – pyta Sporny linoskoczków, którzy przeżyli".

BeJot: Czyli Sporny esemesuje filozoficznie.

Tolo: Jeszcze kilka kawałków: „Sporny sądzi, że rozumie: każdy jeszcze łączy odpowiedź z pytaniem, a więc nadzieja pozostaje żywa".

„O podróżowaniu ponoć już mówią, jak o przyroście. Zapytajmy o zdanie podeszwę, radzi Sporny".

„Potem mówią do niego: Z tobą to nigdy nic nie wiadomo. Czy Sporny już słyszał pochwałę słodszą?".

„Sporny tytułuje swoje selfie: Portret zbiorowy z dalszymi wymyślonymi".

„Sporny zdecydował, że dalej będzie siedzieć na molo: niech prom odpływa bez nas, kiedyś przecież morze musi ustąpić".

„Jakże źle, poduszka za twarda! Potem myśli Sporny o smołowaniu, o piórach".

BeJot: Piotr Siwecki z naszej Grupy 68plus w swojej książce pt. „Bios" proponował pisanie nowymi formami, esemesami, piercingami, tatuażami. I tak pisał, zresztą wybornie. A potem przestał. Szkoda. Miał swój styl z delikatnym humorem. Dziś duzi wydawcy ujednolicają styl wszystkim

równo. Wychodzą z tego same margaryny z postawą imponującą bestsellerowego masła. A ja też w „Tfu z ludźmi. Szkice małe i miniaturowe" zastosowałam piercingi, tatuaże i esemesy filozoficzności, z gęstym dowcipem. Justyna Artym opowiadała mi, że pewien chłopiec pożyczył od niej to „Tfu" i za nic nie chce oddać. Bardzo się do tej książki przywiązał. Jak miło. Miło, bardzo miło, że tak żyją moje książki, którym wydawcy nie robili żadnej promocji. A Michalina Janyszek chce napisać opowiadania, które składają się ze stu słów, to znaczy każde opowiadanie to sto słów. Taki reżym. Aż tak się skracać nie mogę, ale często wykorzystuję reżym miniaturowy, kiedy chodzi mi o dowcip i myśl filozoficzną. Najtrudniej napisać długi tekst, w którym co zdanie, to istotna miniaturka. Dla mnie nic nie znaczy gruba książka, rozciągnięta przez autora jak guma, aby tylko była gruba. Guma, guma. Woda, woda. Nie przebrnęłam przez „Ostatnie rozdanie". Sorry, autorze.

Tolo: Z zadowoleniem przyjąłem, że Rainer odszedł od niektórych ostatnich eksperymentów, tak charakterystycznych dla „nowoczesnych" poetów niemieckich, od tej zabawy w słowa dla samej zabawy, z powierzchownym spojrzeniem na rzeczywistość, a raczej w ucieczce od wszelkich palących trudnych spraw. I tak mam małą uwagę: a gdzie kobieta?

BeJot: Może ten bohater to taki mężczyzna, który obywa się bez rozmów z kobietą na tematy szersze, niż domowe? Teraz przeczytaj mi coś swego. Masz?

Tolo: Mam.

BeJot: Przeczytaj mi swoją bajkę. Lubię twoje bajki. Żeby tak po śmierci znaleźć się w dobrej bajce, a nie w fizyce i chemii, i pod ścieżkami zwierząt, i w powietrzu deszczem i śniegiem, podmuchem wiatru.

Tolo: Przeczytam bajkę „ŻÓŁTY KOT PODWÓJNY". Słuchaj, to opowiada Tolo Szaleńczyk:

Najlepiej opisać to jako sen, bo nikt w to nie uwierzy. Dostaliśmy ogromne mieszkanie, przypominające hangar. Bogaty mecenas wyposażył je we wszystko, co żółte. Na podłodze były bardzo grube puszyste żółte dywany. I na ścianach były takie same, grube, puszyste i żółte. I podarował nam przypisanego do tego pomieszczenia żółtego kota. Kot był podwójny z jedną głową. I były tam nasze matki. Tosina w żółtym kubraku, Tolowa w żółtej spódnicy. One też były jakby jedną matką podwójną, choć pozostawały rozdzielne. Wszystko robiły razem i jednocześnie. I nagle kot zaczął swój lament ludzkim głosem: Nie, nie, chcę, chcę, być, być, podwójny, podwójny, ani, ani, żółty, żółty… Matki wzięły go w ramiona i przytuliły



do piersi-piersi, aż głowa kota znalazła się pomiędzy piersiami matek, w miejscu najcieplejszym, a że był podwójny, to jedna i druga matka miała go w całości. I zaśpiewały: Ach, ach, kocie, kocie, cóżeś, cóżeś, ty, ty, nam, nam, zrobił, zrobił. Żeś, żeś, się, się, urodził, urodził. Cóż, cóż… A pieśń matek brzmiała jak połączony protestancko-katolicko-prawosławny śpiew. Śpiewały dalej: Cóżeś, cóżeś, nam, nam zrobił, zrobił, że, że, nie, nie, możesz, możesz, żyć, żyć, beze, beze, mnie, mnie", a pod słowa „beze, beze, mnie, mnie" obie przytulały dwa tułowia kota, każda swoją część tak mocno, z taką zatrwożoną miłością, że kot przestał lamentować, i zamruczał w sposób podwójny, jakby to była trudna sprawa, która się uspokoiła, która zrobiła się taka miła!

BeJot: Czytaj kolejną bajkę, jeśli masz nową. Łagodzą ból kości.

Tolo: No mam. Słuchaj, a znowu opowiada ją mój Sporny facet, Tolo Szaleńczyk, a bajkom tym daję tytuł: BAJKI ROZWOJOWE:

MÓJ PRZYJACIEL PYK**:**

Każdy myśli, że jak sen, to już musi być COŚ. Albo ostatnia bałamuta. Tak myślisz, a natkniesz się na delikates crème brûlée, mlaśniesz i znowu zaśniesz.

Od niepamiętnych czasów (najstarsi ludzie wymarli, a po nich najstarsi nie pamiętają), od niepamiętnych siedzą w mieście, w mieście się siedzi, no to sen postanowił ich rozruszać i w nocy z niedzieli z 10 na 11 marca wywiódł ich na wieś. Według Tosi Sza były tam dwie miejskie wyperfumowane pipy z POZMINROZ (POZIOME MINISTERSTWO ROZWOJU),

które uganiały się po wsiach i perfumowanymi nosami sprawdzały, czy w kurnikach nie śmierdzi, i czy tam w każdym położono dywan (dywany w kurnikach!), i na miejscu sporządzały donosy, w których opipiały wieś spokojną, a Tola Szaleńczyka sen rzucił w ten sam rozwojowy żywioł promiennej prowincji. Pośrodku drogi energiczna, bo jakże, funkcjonariuszka, stojąc w tym samym miejscu, operowała geodezyjnym teodolitem i łatą. Tolo pomyślał z uznaniem: prosto z Dnia Kobiet w wielofunkcyjność! I aż podszedł, aż zapytał ze wschodniosłowiańską ufnością: Prostitie, a wy sobstwienno kto takaja?

– Ja pożarnaja (strażaczka).

Sen widocznie czuł, że nie powalił i wypuścił na wizję FACETA, KTÓRY DALEKO WIDZIAŁ I JEGO WIDZIELI Z DALEKA. Oczy miał nad-ewolucyjne na długich wystających słupkach, wyglądających na bardzo duże, wbite w oczodoły gwoździe (łepek gwoździa był soczewką), takie mu się wykształciło spojrzenie – sięgające! I on był sięgająco widziany z daleka. Taki w nocy płynąć może tylko na plecach, a wtedy z daleka widoczne są jego dwa supergwoździe. I nagle Tola olśniło: Przecież to „MÓJ PRZYJACIEL PYK" z Tosinego rysunku, tylko bez gwoździ, więc sen się o swoje upomniał, i Tosia SZA szybko zrobiła nowy rysunek ze spojrzeniem gwoździowym.

Słuchasz? Śpisz? Żyjesz?

BeJot: Żyję. Słucham. Coś jeszcze ze Strittiga Rainera przeczytaj.

Tolo: „Sporny pyta dziś swego nauczyciela fechtunku: floret czy szabla przeciw głupocie?".

„Energicznym krokiem wkracza Sporny w szarą strefę. A więc tę przewagę w kierunku jasności już ma".

„Akurat teraz? – nie ustępuje Sporny, jeszcze mierząc czas słowem „teraz" w sytuacji, gdy wszystkie zegary oddano do naprawy".

„A, to tylko cień. Sporny kroi za nim wyrozumiały grymas".

„W nocy Spornemu śni się to i tamto. Czuje się bezgranicznie wzbogacony. Wygłasza stanowisko technika pomiarowego".

Dialog i rysunki Tamara Bołdak-Janowska

Krzysztof Choiński

Ulica Widok 1918

(*fragment powieści* Polski los)

W ponury, rozchlapany dzień listopadowy Bronisław siedział w Kancelarii „B" i usiłował zlikwidować bałagan, jaki zostawił po sobie jego poprzednik. Nie ponumerowane dokumenty, brak adnotacji o zakończeniu spraw, które już dawno zostały zamknięte, chaos w datowaniu albo zupełna nieobecność dat – wszystko to wprawiało go w irytację. Powodem było nie tylko wrodzone upodobanie do porządku, lecz i poczucie, że zajmuje się rzeczami w ogromnej mierze mało ważnymi. Legionista X, poszukiwany listem gończym za dezercję, potrafił nagle wrócić do jednostki i z rozbrajająca szczerością zeznać, że po prostu wyjechał na tydzień, bo mu się nudziło. Ułan Y, oskarżony o uprowadzenie (czyli o kradzież) służbowego wierzchowca, przyprowadzał go od… kowala, do którego pojechał, nie odmeldowując się u dowódcy. A że przy okazji zdarzyło się wesele, na które został zaproszony… I tak dalej, i dalej.

W kancelarii było pusto, sennie i chłodno. Bronisław zawiesił pióro nad kolejnym dokumentem i pomyślał o żonie. Jak Marysia daje sobie radę w tym biurze werbunkowym, zagrożona zwolnieniem, z mizerną pensyjką, do której on nie jest w stanie dosłać zbyt wiele? I ta ciąża, tak źle przez nią znoszona…

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do kancelarii wpadł Witelski.

– Masz, czytaj – rzucił na stół sporej wielkości druk.

Był to dwujęzyczny list gończy, zredagowany po niemiecku w typowym stylu biurokratycznym i w kiepskiej polszczyźnie. Ze zdjęcia patrzyła twarz krótko ostrzyżonego blondyna w mundurze legionowym, bez dystynkcji na naramiennikach.

– Czekaj, czekaj. – Korowski zmarszczył czoło. – Ja go chyba znam. Tylko gdzie myśmy się? …Aha, już wiem. Ułan od Beliny, prawda?

– Tak. Zbiegł ze Szczypiorna.

– Widzę. Powinien chyba siedzieć w Beniaminowie, bo go pamiętam jako porucznika.

– No właśnie. To jeden z tych, co ukryli swoją szarżę i poszli za druty wspierać chłopaków, żeby nie czuli się opuszczeni. Niestety, komenda

obozu wykryła oszustwo, miał pójść pod sąd, ale im bryknął i jeszcze zabrał ze sobą wartownika Ślązaka.

– Trzeba go przechować?

– Na razie ma prowizoryczną melinę. Powinien jak najszybciej wyjechać z okupacji niemieckiej.

– O to będzie trudno. Węszą wszędzie.

Witelski zaczął spacerować po biurze, rzucając okiem na upstrzone przez muchy ogłoszenia, które ciasno wypełniały drewnianą tablicę. Nagle zatrzymał się i spytał:

– Ty chyba kiedyś wspomniałeś, że znasz się na fotografii?

– Znam się, to za dużo powiedziane. Mam pewne przygotowanie i niewielką praktykę.

– Zostaniesz nadwornym fotografem ekspozytury.

– Czyś ty z byka… – zaczął Korowski, ale Bogusław położył mu dłoń na ramieniu.

– Poczekaj. Musi to być ktoś zaufany, a poza tobą nikogo tu nie mam. Na dodatek większość bractwa widziała aparat tylko przy okazji ślubu czy chrzcin. Poza tym…

Usiadł naprzeciwko rozmówcy i dodał półgłosem:

– Dostałem rozkaz. Mamy więcej takich uciekinierów albo tych, co do obozu w ogóle nie poszli. Na gwałt potrzebne są dokumenty. Będziesz je fabrykował.

– No nie, tego już za wiele! – Korowski odsunął się gwałtownie z krzesłem. – Gdzie, ja?! Nie mam o tym pojęcia!

– Ja trochę wiem o tej robocie, powiem ci, co i jak, a dalej sam się nauczysz.

– I zaryzykujemy, że pierwszy patrol rozpozna nieudolne fałszerstwo? A formularze, a podpisy?

– Wszystko będzie. Mamy swojego człowieka w milicji miejskiej. Sympatyk, deklarował akces do POW, od dwóch tygodni jest zaprzysiężony.

– Toś ty już wszystko załatwił? – wykrztusił osłupiały Bronisław. – A skąd wiedziałeś, że się zgodzę?

– Po pierwsze, znam cię wystarczająco. A po drugie, to rozkaz i kwita.

Tego samego dnia rzeczy Bronisława zostały przewiezione pod wskazany przez Witelskiego adres. Otworzyła im właścicielka mieszkania i śpiewnie powiedziała:

– Dobry dzień. Czekam panów.

Zamknąwszy starannie drzwi pokoju, Korowski zapytał przyjaciela:

– Rosjanka? Czy nie za duże ryzyko?

Witelski wyjrzał przez okno, wsadził nos we wszystkie kąty i na zakończenie inspekcji powiedział:

– Marusia jest wdową po polskim adwokacie. Niemcy sprawdzili ją gruntownie i wiedzą, że jej rodzina wyginęła w Petersburgu, więc nienawidzi bolszewików jak cholery.

Ulica Widok była wąska i ciemna, słońce pojawiało się tu na krótko rankiem, a potem dopiero pod wieczór. Wysokie kamienice – mieściły w sobie wszelkie kategorie mieszkańców, przeważało jednak warszawskie drobnomieszczaństwo. W suterenach, gdzie należało schodzić ostrożnie, bo kamienne stopnie, wydeptane przez całe pokolenia klientów, gromadziły w zagłębieniach wodę, a zimą pokrywały się lodem, ludzie zarabiali na życie w najrozmaitszy sposób. Obok warsztatu szewskiego mieścił się sklepik z warzywami, słodyczami i wodą sodową, nieco dalej szklarz wabił przechodniów wystawianym na dzień owalnym lustrem. Ktoś sprzedawał sznury i sznurki, naprzeciwko numeru piątego, gdzie mieszkała Marusia, widniał szyld przedstawiający rower, co oznaczało, że można tam naprawić dwukołowy wehikuł, a także kupić dętkę, łańcuch i inne części zamienne. Po prawej od bramy miał swoją siedzibę ślusarz. Dwie sutereny były zamieszkałe, w małych okienkach wisiały niebieskie, spłowiałe zasłonki, a schodki zaopatrzono w prowizoryczne poręcze z drewna. To z kolei było zapewne dziełem stolarza, który miał swój warsztat pod numerem siódmym. Rano ulica i podwórka-studnie rozbrzmiewały okrzykami handlarzy starzyzną „Kupujeee! Stare ubrania, stare obuwie, kupujeee!", albo dźwiękami harmonii i śpiewem zachrypniętych grajków ulicznych. Wszędzie kręciły się dzieci. Starsi chłopcy, ośmio- czy dziesięcioletni, w zbyt obszernych kapotach i zdartych buciorach ze starszego brata, wystawali pod bramami, w oczekiwaniu na okazję, która pozwoliłaby im zaproponować swoje usługi przy wnoszeniu do kamienicy bagażu, albo po prostu pokazać komuś drogę. Na rogu Marszałkowskiej stał posłaniec miejski w czerwonej czapce, obdarzony przez naturę obowiązkowymi, sumiastymi wąsami. Lokatorzy, ubrani przeważnie dość skromnie, przechodzili przez bramy, omijając kałuże i lawirując wśród stałych rezydentów ulicznych.

Starszy żandarm Korowski bardzo szybko zawarł uprzejme, choć niezobowiązujące znajomości ze sklepikarzami i rzemieślnikami, wyglądającymi z suteren w nadziei na zwabienie jakiegoś klienta, a także z andrusami w czapkach spadających na uszy, którzy zaczepiali go od czasu do czasu:

– Panie wojskowy, pan da zarobić piątaka! Może coś zanieść na górę?

– Nie ma pan cukierka dla biednych dzieci?

– Potrzebuje pan kogoś do sprzątania? Moja siostra tanio weźmie!

Opędzał się dobrodusznie, czasem dawał im na odczepnego drobną monetę, choć w kieszeni było chudo. I myślał o bezmiarze biedy, panującej w kraju bez przerwy przez kogoś podbijanym i okradanym.

Łącznik z milicji miejskiej okazał się barczystym mężczyzną pod trzydziestkę, który – wymieniwszy hasło i odzew – przedstawił się bez wahania imieniem i nazwiskiem:

– Bolesław Kaliński.

Bronisław uśmiechnął się.

– To jak kolegi mama z domu?

Tamten pokiwał głową.

– No właśnie. Jak mi powiedzieli, do kogo mam się zgłosić, od razu pomyślałem, że to może być mój kuzyn. Jestem synem Anny Łabęckiej.

– Góra z górą… – uścisnęli sobie dłonie. – Wiedziałem, że syn ciotki mieszka w Warszawie, ale nic poza tym. Siadajże, siadaj!

– Zanim zaczniemy sobie opowiadać nasze curriculum vitae, załatwmy sprawy służbowe. – Bolesław wyjął zza pazuchy plik papierów. – Tu masz czyste formularze, jest tego na razie sześć. A tu na wzór dokumenty, podpisane przez naszych władców.

Korowski przejrzał papiery i spojrzał na rozmówcę surowo:

– Ale zdajesz sobie sprawę, że za to kulka w łeb?

– O wa! – roześmiał się Bolesław. – Czasu wojny za byle co można stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Przynajmniej robimy coś pożytecznego.

– Dobra. – Bronisław schował papiery i wsparł brodę na dłoni. – Swoją drogą, aleś ty młody! Który rocznik?

– Dziewięćdziesiąty.

– No tak, twoja matka a moja ciotka urodziła się z drugiego małżeństwa dziadka Łabęckiego.

– Jak ojciec ożenił się po raz drugi, macocha powiedziała, że nie chce cudzego dziecka w domu.

– I gdzieś się chował?

– Trochę u dziadków Kalińskich, potem u ciotki w Warszawie. Chodziłem do gimnazjum realnego, ale mnie wywalili w dziewięćset piątym. Zarabiałem na życie w firmie handlowej u znajomych ciotki. W końcu Mochów wywiało z Warszawy, to i zaciągnąłem się do milicji. Ot i wszystko.

– W sumie, to miałeś szczęście. – Bronisław posmutniał.

Wstał i podszedł do okna.

– Mnie wyrzucili z wilczym biletem, kiedy ty miałeś siedem lat – kontynuował, patrząc na dzieci, które bawiły się w berka na podwórzu. – To były straszne czasy.

– Podobno siedziałeś? Babka mówiła o tym ze zgrozą i podawała ciebie jako przykład, do czego prowadzi nielojalność wobec cara. – Kaliński roześmiał się. – A ja to wypuszczałem drugim uchem! Podziwiałem cię. Później dochodziły jakieś strzępy wiadomości, że jesteś w Legionach, co też się mojej arcylojalnej rodzinie nie podobało.

– Widujesz się z ojcem?

– Od strajku szkolnego wcale. No, słuchaj, jak ci się skończą formularze, zadzwoń pod ten numer. – Podał mu kartkę z nagryzmolonymi cyframi. – Absolutnie pewne miejsce, powiesz tylko, że masz dla Bolka papierosy, o które prosił.

Bronisław urządził sobie prawdziwe laboratorium, którego istnienie uzasadniała jego oficjalna funkcja. Marusia patrzyła na niego z nabożnym podziwem, bo fotografika była dla niej czymś z pogranicza alchemii. Oczywiście to, co najważniejsze robił pod nieobecność gospodyni, która pracowała w sklepie na drugim końcu Śródmieścia i w dni powszednie zostawiała lokatorowi mieszkanie na długie godziny. W łazience suszyły się wtedy zdjęcia poszukiwanych przez sądy wojenne dezerterów i zbiegów z obozów, a pokój udekorowany był stosami papieru fotograficznego i wywołanych klisz. Na gotowe dokumenty Bronisław skonstruował skrytkę pod podłogą pokoju, do czego przydały mu się umiejętności stolarskie zdobyte w więzieniu. Przed powrotem Marusi porządkował i chował wszystko, co miało charakter kompromitujący. Zestawy paszportów i przepustek pakował w niewielkie paczki, starannie i ciasno owiązywał je sznurkiem, po czym na zaszyfrowany sygnał telefoniczny zjawiali się łącznicy. Stanowili oni przekrój warszawskiej społeczności, a przychodzili pod najrozmaitszymi pretekstami. Marusią wstrząsnął dorożkarz, który zażądał od jej lokatora uiszczenia opłaty za przejazd, pono nie uregulowanej w pośpiechu przy wysiadaniu. Był i posłaniec miejski, o dziwo, ten sam, który tkwił na rogu, innym razem młody człowiek w wyszarzanym paltocie i czapce studenckiej, zdarzyła się nawet elegancka panna, która rzekomo pomyliła adres podany w ogłoszeniu. Każde z nich miało przygotowany sposób wyniesienia ładunku, pod połą płaszcza, w torebce, teczce czy wręcz w worku. Wszystkich pobił ów student, który oficjalnie szukał korepetycji: rozpiął palto i ukazał dużą kieszeń, przyszytą od wewnętrznej strony okrycia.

– Dawajcie te szpargały! – powiedział wesoło. – Oby tylko ktoś znajomy nie zwrócił uwagi, że nagle przytyłem.

Bronisław zdołał po pewnym czasie, dzięki pomocy Witelskiego, wyjechać na krótko i odwieźć Marię do rodziców, bo w końcu została zwolniona z pracy, a po powrocie utonął znowu w podwójnych zajęciach, oficjalnych i nieoficjalnych. Zima pokryła miasto płaszczem śniegu, ozdobionego cętkami sadzy, zachmurzone niebo przygnębiało i sprzyjało ponurym myślom.

Pewnego dnia Witelski powiedział:

– Tak dalej być nie może. Komendant w mamrze, a tu wszystko zaczyna się rozłazić. Dostałem rozkaz, który i ciebie dotyczy.

Następnego dnia, ubrani po cywilnemu, pojechali wieczorem na Grochów. Gospodarz niewielkiego domku, urzędnik kolejowy o wyglądzie zasuszonego badyla, przyjął ich serdecznie. Jego żona nakrywała właśnie stół kwiecistym obrusem. Z fotela wstał na widok przybyszów mężczyzna bardzo młody, wyglądający na dwadzieścia parę lat.

– Oto jest Bronek Korowski, obywatelu majorze. – przedstawił Witelski. – Tak jak mówiłem…

– Wichura. – przedstawił się tamten, ściskając dłoń Bronisława. – Sporo o was słyszałem, same dobre rzeczy.

Zasiedli do herbaty, podanej przez gospodynię z ciastem domowego wypieku. Zamiast cukiernicy pojawił się talerzyk z pastylkami sacharyny, której Bronisław nie lubił, pociągnął więc łyk gorzkiego płynu pachnącego ziołami i słuchał.

Major wyłuszczył sprawę w kilku zdaniach, które sprawiły, że Korowski omal nie otworzył ust ze zdziwienia. Do Kijowa? Coś podobnego! Milczał jednak, nie ujawniając swoich wątpliwości.

– Nikt was tam nie zna, za to władacie biegle rosyjskim. – mówił dalej Wichura. – A my potrzebujemy tego człowieka. Zna się na rzeczy, brał udział w uwolnieniu „Dziesięciu z Pawiaka".

Zapadło milczenie. Obaj rozmówcy patrzyli wyczekująco na Bronisława, który poczuł, że znalazł się w punkcie krytycznym. Gdyby powiedział, co o tym myśli, mogliby go uznać za dekownika i człowieka o wątpliwej wierności. Tymczasem zgodzić się, wbrew logice obecnej sytuacji?

– Czy mógłbym rozważyć sprawę… powiedzmy, w ciągu dwóch dni?

Major potrząsnął głową.

– Czas nagli.

– Dobrze – rzekł Bronisław..

Wyraźnie odetchnęli z ulgą.

W mieszkaniu przy ulicy Widok 5 zaspana Marusia wyjrzała ze swego pokoju i wetknęła Korowskiemu blankiet telegraficzny.

– Listonosz przyniósł, ledwie pan wyszedł.

Litery skakały mu przed oczami, ale zdołał w końcu odczytać tekst depeszy: „masz syna stop matka i dziecko zdrowi stop slabiszewski".

Wszedłszy do siebie, poczuł, że ma nogi miękkie jak z waty. Runął na kanapę i bezmyślnie wgapił się w sufit.

Krzysztof Choiński

Jan P. Grabowski

Agistri[1]

czyli opowiadanie z melodyjnym, fletowym gwizdaniem wilgi w tle[2]

Motto:
C'est encore ce qui m'étonne dans la vie
Moi qui suis à l'automne de ma vie
On oublie tant de soirs de tristesse
Mais jamais un matin de tendresse![3]

Jean Gabin: *Maintenant je sais*

I

Bolesław Ambroży – dwojga imion dystyngowany pan w średnim wieku – jak w każdy powszedni dzień szedł do pracy. A ponieważ nie był to ranek lecz wczesne przedpołudnie – pracę zaczynał o dziesiątej – zaskoczył go już z daleka nie tyle tłum ludzi na przystanku autobusowym, lecz to, że ich oczy były zwrócone w jednym kierunku.

Otóż i te młode dziewczęta ubrane, mimo zapowiadającego się upału, od stóp do głów na czarno, i te modnisie w powyrywanych na kolanach spodniach, i ci kostropaci wytatuowani młodzieńcy, i brzuchaci panowie z obowiązkowymi opadającymi skarpetami w rozklapanych sandałach, i te grube jejmoście, także z wyraźną przewagą koloru czarnego w ubiorach, słowem, wszyscy pasażerowie mającego niebawem nadjechać autobusu, porzuciwszy wpatrywanie się w maleńkie ekraniki swoich telefonów komórkowych, nie mogli oderwać oczu od… piękności siedzącej na ławce.

1 Grecka wyspa położona na zachód od Eginy, wchodząca w skład Wysp Saronskich.

2 Opowiadanie to otrzymało wyróżnienie w X edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego na najpiękniejszy romans, zorganizowanego przez redakcję „Tygodnika Zamojskiego" w Zamościu.

3 *I jeszcze mnie tylko w życiu dziwi / Mnie, który jestem w jesieni mego życia / Nie pamięta się smutnych wieczorów / Ale zawsze czułe poranki.*

Bo zaiste była to piękność. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to jej lekko uśmiechnięta twarz i delikatnie urożowione usta. Była najzwyczajniej uśmiechnięta, co ją już na pierwszy rzut oka odróżniało od ponurego, zakutego w czerń, byle jak ubranego tłumu.

Bolesław Ambroży, chociaż wiedział, kiedy nadjedzie autobus, skierował swoje kroki do rozkładu jazdy, by, podchodząc, nieco dłużej zatrzymać wzrok na twarzy nieznajomej. Nie na tyle jednak długo, by zwrócić jej uwagę.

– Cóż z tego, że jestem taka ładna – zdawał się wyrażać jej uśmiech. – Moglibyście równie dobrze podziwiać piękną pogodę, zachwycać się słonecznym lipcem, wdychać woń nieopodal kwitnących kwiatów. Moglibyście wyglądać lub przynajmniej nasłuchiwać gwizdu kosa. O, tak, ten ptak jest do podziwiania. Albo zamiast patrzeć na mnie, w dalszym ciągu szukajcie na ekranikach swoich telefonów komórkowych tego, czego nie znajdziecie.

Piękna nieznajoma siedziała na ławce sama, chociaż nieopodal niej stało kilka osób w starszym wieku. Nie zajmowali jednak miejsca, jakby onieśmieleni urodą dziewczyny, a zapewne stojąc, może chcieli w ten sposób przyśpieszyć przyjazd autobusu.

Przyjechał rzeczywiście po kilku minutach, ale nikt nie kwapił się z wsiadaniem. Wszyscy czekali, chcieli obejrzeć, jak do autobusu wchodzi nieznajoma.

Była średniego wzrostu, więcej niż sto sześćdziesiąt centymetrów, a mniej niż sto sześćdziesiąt pięć, czyli akurat tyle, ile mierzą najpiękniejsze kobiety. Jej czarne, lśniące, miękko układające się włosy sięgały do połowy pleców. Szarozielono-żółtawa bluzeczka z delikatnym dekoltem podkreślała duże dziewczęce piersi. Jej skóra o jasnej karnacji była lekko opalona. Miała na sobie oliwkowozielone szorty, wyraźnie opinające jędrne, smukłe biodra. Na stopach lekkie niebieskoszare sandałki na niewielkim koturnie. W ręku jakąś torbę. Kolorystycznie przypominała młodą wilgę. Zapewne dobór kolorów: ubrania, i różowy pomadki, nie był przypadkowy.

Jechała trzy przystanki, akurat tyle, ile Bolesław Ambroży. Szedł za nią jeszcze kilkadziesiąt kroków, podziwiając jej postać powoli oddalającą się w kierunku niedawno otwartego centrum handlowego. Postał jeszcze chwilę, widząc, jak wszyscy mężczyźni, których mijała, także przystawali i patrzyli na nią.

– Tak, nowo otwarte centrum handlowe z wieloma sklepami, kuszące przecenami „do", to jest miejsce dla takiej piękności – pomyśl Bolesław Ambroży i poszedł w swoją stronę.

II

Skręcił do swojego miejsca pracy, którym było muzeum. Zazwyczaj od miejsca zamieszkania do muzeum chodził piechotą. Dzisiaj podjechał autobusem.

Podobne piękności, co nieznajoma z autobusu, spotykał niegdyś na ekranie filmowym, a najczęściej na obrazach starych mistrzów.

– Wszystkie kobiety są piękne, ale najczęściej zaniedbane. Zwłaszcza młode dziewczęta oszpecają się tatuażami, niszczą sobie włosy bezmyślnym farbowaniem, gustują w doklejonych szponach, zamiast paznokci. A ta ich całoroczna czerń w ubiorach: zupełnie jakby za chwilę miały położyć się w trumnach i zatrzasnąć za sobą wieko. Tyle wokół jest przecież najwspanialszych kolorów – pomyślał Bolesław Ambroży, patrząc na bezchmurne, fiołkowego koloru niebo – skąd zatem to upodobanie do trumiennej czerni?

Uwielbiał zapach muzealnych wnętrz i tę ciszę, a także półmrok, z którego wyłaniały się najwspanialsze barwy obrazów. Szedł do swojego zaciszne gabinetu. Był już na emeryturze, więc przychodził do pracy na dogodnych dla siebie, ustalonych z dyrektorem godzinach.

Nigdzie mu się nie śpieszyło. Mógł przebywać w muzeum nawet do późnych godzin, co mu się zdarzało bardzo często. Przez cały najbliższy miesiąc był sam. Żona wyjechała do sanatorium. Za żadne skarby nie dał się namówić na sanatoryjny wyjazd. Co by tam zresztą robił bez swoich obrazów, za to w bezustannym hałasie i zamęcie.

Na tabliczce drzwi wejściowych zawierających jego funkcję i tytuł w muzeum, znowu ktoś po imionach dodał wykrzyknik. Zamiast „B.A. Adamski" widniało teraz „BA! Adamski". – Wciąż bawią się jak dzieci – pomyślał i wszedł do swego gabinetu. Otworzył jedno z dwóch okien, które wychodziły na stare lipy. Nawet podczas największych upałów w jego gabinecie trwał zawsze przyjemny chłód. Nie przeszkadzały mu nawet wpadające od czasu do czasu na biurko kwiaty przekwitających lip. Co jakiś czas słyszał szelesty i szamotaninę wśród gałęzi jakichś ptaków. A najbardziej lubił, gdy odzywał się na jednej z najwyższych gałęzi gwizd kosa. Gdyby tak jeszcze kiedyś usłyszeć pogwizdywanie wilgi – westchnął z tęsknotą.

Park okalający muzeum to chyba nie było miejsce dla wilg. Zresztą było stanowczo za sucho jak na te ptaki. Od dwóch miesięcy nie spadł deszcz. Ochłody nie dawały nawet wyjazdy nad zatokę. – O gdyby tak wyjechać nad otwarte morze z czystą wodą i orzeźwiającym wiatrem – pomyślał.

Połączył się jak zawsze o tej porze z wnukami. To był jego codzienny przedpołudniowy rytuał. Stwierdził, że już równie biegle mówią po angielsku, jak po polsku.

Jego rozmowę z wnukami przerwało natarczywe, głośne pukanie do drzwi. Przez chwilę wahał się, czy odpowiedzieć, niech pomyślą, że gdzieś wyszedł, zakończył jednak rozmowę przez Skypa i odezwał się głośno:

– Proszę. Proszę wejść – powtórzył, chociaż jak zawsze po swojemu w myślach dodał „ki diabeł jakieś licho znowu niesie". Chciał być w ten dzień sam, nigdzie nie wychodzić i skupić się na studiowaniu ulubionych amerykańskich luministów.

– Panie profesorze… – wszedł do pokoju dyrektor muzeum Wiesław Kajetanowicz – panie profesorze, prowadzę do pana umówionego gościa…

Bolesław Ambroży nie znosił, gdy tytułowano go profesorem. Wprawdzie zrobił habilitację, ale „kompletnie", jak zawsze podkreślał, nie zależało mu na tytule profesorskim. Znał zresztą kilku, co najmniej, profesorów, o których mówiono, że są „profesorami jednej książki". Albo jednego obrazu.

Umówionym gościem okazała się młoda dziewczyna przygotowująca pracę magisterską na temat malarstwa. Może i byłaby ładna, gdyby nie to, że od stóp do głów skrywała ją głęboka czerń. – Po co jej te ciężkie, czarne buciory na taki upał – lustrował jej postać. Za czarnym niby habitem, jakby salopą, tłukły się obficie duże piersi. Ciemna, prawie czarna szminka podkreślała bladość, bez śladu słońca, twarzy. A kiedy otworzyła usta i błysnęła bielą zębów, Bolesław Ambroży dostrzegł na jej języku jakiś błyszczący przedmiot, coś jakby srebrną kulkę, przez co mówiła niewyraźnie. Odezwała się, niemal sepleniąc:

– Panie profesorze – zaczęła jednak pewnie, połyskując srebrną kulką na języku – piszę pracę magisterską na temat pejzaży miejskich we wczesnej twórczości Bartholomeusa Johannesa van Hove, holenderskiego malarza okresu romantyzmu, który żył w latach 1790-1880. Szczególnie zafascynował mnie obraz, który jest w zbiorach tutejszego muzeum pt. *Rybacy w pobliżu brzegu rzeki*… – kontynuowała magistranta, a Bolesław Ambroży nie tyle przysłuchiwał się temu, co mówi, gdyż mówiła z sensem i do rzeczy, jak nie bez satysfakcji stwierdził, lecz temu jak mówi, a zwłaszcza przypatrywał owej srebrnej kulce na środku języka. A poza tym te jej wielkie, zapewne bez stanika, piersi za zwojami krepy. Zupełnie jakby schowała za pazuchą dwa niespokojne króliki.

Przypominał sobie delikatną i niecodzienną urodę dziewczyny z autobusu. Tamta zapewne była ekspedientką nowo otwartego centrum handlowego, a ta, co prawda spowita w trumienną czerń, jest magistrantką.

– Dziękuję pani, to mi wystarczy, napiszę oczywiście recenzję pani pracy. Zapraszam teraz panią do obrazu van Hove, który pani zapewne widziała już nie raz.

Nad obrazem *Rybacy w pobliżu rzeki* spędzili czas aż do prawie piętnastej. Pożegnali się i Bolesław Ambroży wrócił do swego gabinetu. Zabierał się właśnie do spóźnionego drugiego śniadania, gdy znowu rozległo się pukanie do drzwi. Nie zdążył nawet pomyśleć swojego „ki diabeł kogoś znowu niesie", gdy do gabinetu wszedł Wiesław, dyrektor muzeum.

– No i jak ci się podoba magistrantka? – zapytał z szerokim uśmiechem.

– Mówiła całkiem do rzeczy, widać w tym, co mówi, pasję… – nagle zreflektował się – czyżbyś ty coś miał z nią wspólnego?

– Znamy się… od jakiegoś czasu – oparł Wiesław. – Dlatego też moje plany urlopowe musiały ulec zmianie. Miałbym, w związku z tym do ciebie prośbę.

– Jeśli chodzi o zastępstwo, nie ma sprawy, siedzę na miejscu i tak nigdzie nie wyjeżdżam.

– Właśnie chodziłoby o wyjazd. Ktoś musiałby na tę konferencję do Aten koniecznie pojechać, przynajmniej pokazać się…

– Nie! Nie! Nie! – gwałtowanie, wstając, zaprotestował Bolesław Ambroży – żadnych wyjazdów, zwłaszcza w wakacje, tłuc się samolotem…

– Klasa biznesowa, najlepszy hotel – nie ustępował dyrektor – oraz inne atrakcje… Spa w Jeziorze Zatopionym[4], snorkeling i co jeszcze tylko chcesz.

– Mowy nie ma, wiesz dobrze, jak cenię sobie ciszę i spokój. A wszelkich konferencji nie znoszę.

– Ale za to lubisz latać samolotami, za czym ja nie przepadam – kontynuował dyrektor.

– Brożek, proszę cię, to dla mnie takie ważne.

– Wiesiu, nie podchodź mnie z tym „Brożkiem", wiesz dobrze jak nie lubię zdrobnień. Jeśli już, to toleruję byś i ty mówił… Ambros.

– Panie profesorze, a gdybym wydał panu polecenie służbowe… – Wiesław już nie zwracał uwagi na owo Ambros.

4 Vouliagmeni Lake, jezioro termalne, 20 km na południe od Aten.

– Wiesiek, proszę cię, przestań. Wiesz dobrze, że żadna siła nie zmusi mnie do tłuczenia się samolotami w wakacje. Konferencja, w Atenach, też wymyślił sobie. Wyślij kogoś innego, młodszego.

– Nikt nie zna się na dziewiętnastowiecznym malarstwie tak jak ty. Zwłaszcza że będzie też dyskusja na temat luminizmu.

– Nie pojadę. Nie pojechałem nawet z żoną do sanatorium.

– Przemyśl to jeszcze – dodał na pożegnanie Wiesław, po czym opuścił pokój.

Bolesław Ambroży był wściekły. Nie dosyć, że Wiesław podsunął mu swoją kochankę, aby napisał jak najlepszą recenzje jej pracy, to na domiar złego wymyślił te Ateny.

– Też coś, Ateny latem!

Musi gdzieś się przejść. Może do tego nowo otwartego centrum handlowego. Są tam ponoć przyjemne, klimatyzowane, sale kinowe. Jedna o nazwie „dream" oferuje obraz w rozdzielczości 4K i dźwięk Dolby Atmos.

Bolesław Ambroży nie za bardzo ufał tym wszystkim technicznym kinowym nowinkom. Cóż z tego, że dźwięk będzie dobiegał ze wszystkich możliwych stron, a obraz będzie ostry „jak żyletka", jeśli znowu treść filmu będzie byle jaka.

Sprawdził, co grają. *Na głęboką wodę*[5] z Colinem Firthem. Lubił tego aktora. Seans jest o dwudziestej. Przejdzie się po tym nowym centrum, może coś przyzwoitego uda się zjeść. A potem kino. Od razu poprawił mu się humor.

Zadzwonił do żony, zdał relację z całego dnia. Wspomniał o konferencji w Atenach. Żona była za tym, aby „w końcu gdzieś się przewietrzył".

– Boleś, mógłbyś się wybrać, to tylko kilka dni. My tutaj też planujemy wycieczki na Słowację i Węgry.

Jak nie Brożek, to znowu Boleś – kto mi dał takie imiona – westchnął. Niech wreszcie i autor tego opowiadania przestanie nazywać mnie dwojgiem imion i nazwie Ambrosem.

III

W nowo otwartym centrum handlowym, tak jak się spodziewał, nie było nic ciekawego. Prawie te same sklepy co wszędzie. Kuszono za to – zapewne na otwarcie – przecenami „do" siedemdziesięciu procent,

5 *Na głęboką wodę* (*The Mercy* – 2018), reż. James Marsh, w roli Donalda Crowhursta – Colin Firth.

na, oczywiście, „wybrane" towary. – Stare oszustwo dla frajerów – pomyślał Bolesław Ambroży, tj. Ambros, i wszedł do jednego ze sklepów, gdyż dostrzegł na wystawie koszulkę polo w ulubionym przez niego kolorze.

Stał przy, szukając swojego rozmiaru, gdy usłyszał za sobą czyjś glos.

– W czym mogę panu pomóc?

Nie znosił owego „w czym mogę panu pomóc". Zawsze chciał odpowiedzieć: – „A czyż ja oczekuję pomocy?" – odwrócił się i ujrzał uśmiechniętą nieznajomą z przystanku autobusowego, lecz jakże odmienioną. Już nie była podobna do młodej wilgi, lecz jej zgrabne ciało opinała… czerń. Trumienna czerń.

– Czy coś się stało? W czym mogę panu pomóc? – powtórzyła.

Gdyby nie jej zaróżowione usta i uśmiech, pewnie burknąłby znowu „a czyż ja oczekuję pomocy?" i wyszedłby z butiku.

– Szukam dla siebie koszulki polo, widziałem taką na wystawie. Nie wiem tylko, czy kolor…

– Mamy wiele odcieni szarości i błękitu. A który by pana interesował?

– Jasnopopielaty – odparł – ten na wystawie, zdaje się, go przypomina.

– W sztucznym świetle rzeczywiście wygląda jak jasnopopielaty, podczas gdy jest to kolor „gołębi" – mówiąc to, wyszła z nim na zewnątrz butiku, gdzie z przeszkolonego sufitu dobiegało naturalne światło. – Proszę podać rozmiar, a do jutra sprowadzę panu jasnopopielate polo. – Czy jeszcze w czymś mogę panu pomoc? – zapytała, widząc zaciekawienie w jego oczach.

– Tak. Proszę mi powiedzieć skąd ta dominująca czerń w ubiorach młodych ludzi?

– Ta czerń, to jest akurat mój strój służbowy. Wszystkie tak się w tym butiku ubieramy. Tak zażyczyła sobie szefowa. A poza tym czerń jest…

– Elegancka? – rzucił od niechcenia Ambros.

– Nade wszystko praktyczna… niebrudząca się – dodała, wtrącając się do rozmowy pani w średnim wieku nazwana szefową.

– Panie pozwolą, że jeszcze obejrzę to i owo.

– Bardzo prosimy – odparła pani w średnim wieku, szefowa butiku.

Ambros bez zaciekawienia zaczął przeglądać koszulki polo. Z niewielkiego oddalenia dobiegła go ściszona rozmowa.

– Ciociu, jakże chciałbym na chwilę usiąść. No i w końcu zdjąć te czernie. Nawet pan zauważył, że wyglądamy w nich ponuro.

– Weronisiu, co ty opowiadasz. Czerń jest bardzo elegancka. Wytrzymaj jeszcze te dwie godziny. Chyba już się wysiedziałaś przy książkach.

Wytrzymasz i te kilka dni. Ach, jakże i ja chciałabym wyjechać na Agistri. Ale to dopiero we wrześniu, we wrześniu.

Ambros, opuściwszy butik z koszulkami polo, zaszedł do „amerykańskiej" z nazwy restauracji. Danie, które zamówił było jednak niesmaczne i bardzo drogie. – Nie ma to jednak jak domowe obiady – pomyślał, dopijając jeszcze jedną coca-colę. Nie lubił kawy, nie przepadał za herbatą. Jedyny napój, który uważał, to była coca-cola, albo, gdy coli nie było, zwykła woda.

Weronisia, więc chyba Weronika, książki i jeszcze ta miejscowość brzmiąca z grecka… Agistri – zaciekawiła go nieznajoma z porannego autobusu.

Kinowa sala „dream" niczym go nie zaskoczyła. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego musi być tak bardzo głośno. Wytrzymał jednak do końca seansu. Wychodził jako jeden z pierwszych widzów, jeszcze na tle muzyki na zakończenie i napisów końcowych.

Nieźle ogłuszony przez kinowe głośniki, usłyszał jednak obok siebie głos:

– Jak się panu podobał film?

– A pani? – zapytał, nie bez zdumienia widząc obok siebie nieznajomą z autobusu.

– Nareszcie mogłam usiąść – odparła. – Praca w butiku to nie dla mnie. Cały dzień na nogach, przy sztucznym świetle. A swoją drogą spotykamy się już dzisiaj trzeci raz. Ach, jakże chciałabym gdzieś usiąść i napić się czegoś zimnego.

– Jest pani zmęczona po całym dniu – bardziej stwierdził niż zapytał.

– A pan? W końcu jest pan „na nogach" tyle samo, co ja. A poza tym…

– Ja przesiedziałem cały dzień w muzeum.

– Od razu zwróciłam na pana uwagę, jak pan podchodził do przystanku autobusowego. Te dobrane szarości, doskonale skrojone spodnie, jasnobrązowe buty… Ja nie mogę patrzeć na tych nieogolonych facetów w opadających dżinsach i rozciągniętych podkoszulkach. Rozstałam się właśnie z takim.

– Mam kolegę, doskonałego krawca, który mnie „odmładza"… – nie dokończył, a może nie usłyszała, co powiedział, bo ujęła go pod ramię i prowadziła tylko w znanym sobie kierunku. – Niedaleko stąd, nad wodą, jest miejsce, gdzie można wypić coś zimnego.

Trwały jeszcze pogodne, ciepłe „białe noce", więc siedzieli prawie do północy. Nieznajoma zaproponowała mu, by przeszli na „ty".

– Weronika. Weronika Wrońska – dodała.

– B.A. Adamski – przedstawił się Bolesław Ambroży.

– Dlaczego tak oficjalnie? „B.A." to oczywiście pana… – twoje – poprawiła się – imiona. – Jak mam się do ciebie zwracać… „bea"? – wybuchnęła śmiechem.

– Jestem dwojga imion…

– Usłyszę je dzisiaj? – zaciekawiona, śmiała się coraz bardziej.

– Bolesław… Ambroży!

– Cóż ty chcesz, jedno piękniejsze od drugiego. Zwłaszcza to drugie: Ambroży, Ambrósios, czyli boski, nieśmiertelny… – mogłabym ci zatem mówić… Ambros, Brożek.

– Lepsze to niż Bolko, albo Boleś.

– Brożek, bardzo mi się podoba. Mogłoby tak zostać?

Zgodził się i zaczęli rozmawiać o imionach. Nie sądził, że zwykła, tyle że piękna ekspedientka z nowo otwartego centrum handlowego może powiedzieć tyle o imionach. Słuchając, uśmiechnął się, przypominając sobie, co Clint Eastwood powiedział na temat młodych dziewcząt: „Z dwudziestolatkami się nie umawiam. Nie ma o czym z nimi rozmawiać".

A oni rozmawiali już dwie godziny. Ileż mogła mieć lat – zastanawiał się – gdy, jakby wyczuwając go intuicyjnie, zaczęła opowiadać, że pojawił się w dobrym momencie, bo potrzebowała rozmowy z „ciepłym, spokojnym" mężczyzną. Opowiadała mu o wieloletniej znajomości z niewiele od niej starszym Łukaszem.

– Świetnie zarabiał, jako programista, a może informatyk. Już sama nie wiem, czym się zajmował. Ciągle by tylko siedział przed komputerem. Gdybyś widział jego minę, jak mu się w końcu oświadczyłam. Nawet wtedy patrzył w ekran komputera. – Masz już po trzydziestce na karku, mógłbyś się w końcu zdecydować – któregoś dnia wykrzyczałam. Wiesz, co mi odmruknął znad swoich ekranów? – „Czy po to, aby napić się piwa, musiałbym prowadzić cały browar?". W końcu miałam tego dość, rozstaliśmy się, widziałam go któregoś dnia, jak przechodził w centrum handlowym. Na pewno mnie nie zauważył. Widocznie był spragniony tego „piwa", bo szedł objęty z jakąś wyższą od niego blondynką – uśmiechnęła się smutno.

– Wyjdę na chwilę rozprostować nogi – w pewnej chwili odezwał się Ambros. – Zaraz wracam.

– Tak, będziemy już szli, zrobiło się późno.

– Zaraz wracam – dodał.

W pewnym momencie usłyszał obok siebie:

– Ma pan piękną żonę!

Powiedział to któryś z dwóch mężczyzn pochylonych nad piwem.

– Wnuczka – oparł. – Wnuczka!

– A nie córka? – dopytywał się drugi z piwoszy.

– Może być córka – kątem oka dostrzegł zdziwienie malujące się na ich twarzach.

IV

Dobrze po północy wracali piechotą na osiedle, gdzie mieszkał Bolesław Ambroży i ciotka Weroniki. Okazało się, że tą samą drogą wracały też inne pary i inni spóźnieni albo może już przedporanni przechodnie, tym bardziej że trwała kilkudniowa naprawa wiaduktu, tak że nocne autobusy nie kursowały.

Niebo było jasne, niewiele można było na nim dostrzec gwiazd. W pewnej chwili Ambros przystanął i spojrzał w kierunku północnym.

– Czego tam wyglądasz? – zapytała.

– Srebrzystych obłoków – odparł.

– Pod naszą szerokością geograficzną pojawiają się o tej porze roku. Kiedyś chciałam Łukasza wyciągnąć gdzieś nad zatokę, abyśmy mogli je wypatrywać, ale wiesz, co mi powiedział? Że srebrzyste obłoki najlepiej wyglądają w komputerze i w time-lapse.

– Czy dobrze zrobiłaś, że rozstałaś się z Łukaszem? – zapytał.

– Nie wiem, czy dobrze. Nie chciał się żenić. Ileż mieliśmy tak żyć.

Wtem odezwał się jakiś spóźniony, a może już rozbudzony ptak. Przystanęli. Weronika chwilę słuchała, a potem zaczęła z wolna recytować:

There is a singer everyone has heard,
Loud, a mid-summer and a mid-wood bird,
Who makes the solid tree trunks sound again.
He says that leaves are old and that for flowers
Mid-summer is to spring as one to ten.
He says the early petal-fall is past,
When pear and cherry bloom went down in showers
On sunny days a moment overcast;
And comes that other fall we name the fall.
He says the highway dust is over all.
The bird would cease and be as other birds

But that he knows in singing not to sing.
The question that he frames in all but words
Is what to make of a diminished thing.[6]

Stali w milczeniu, opierając się o barierkę nad ledwo dosłyszalnie płynącą rzeczką. To, że ekspedientka z nowo otwartego centrum handlowego zna angielski, nie zdziwiło go. Skąd jednak zna wiersz… Roberta Frosta?

– Tak, ubywa nie tylko tej nocy, ale i dni – odezwał się. – Kto potrafi to zrozumieć? – Ty, Weroniko, jesteś jeszcze taka młoda, taka młoda. – Wiesz, ci dwaj piwosze z kawiarni nad rzeką, ci, co przypatrywali się tobie przez cały wieczór, byli ciekawi, kim dla mnie jesteś.

– I co im odpowiedziałeś?

– Że… wnuczką. A potem poprawiłem, że córką.

– Kogo to może obchodzić kim dla mnie jesteś. Ważne, że dobrze się nam rozmawia, że spędziliśmy z sobą kilka godzin.

– Ty zaprosiłaś mnie na kawę, przepraszam, na coca-colę, a ja chciałbym zaprosić cię na świeże bułki. Za chwilę otwierają na naszym osiedlu piekarenkę.

Tego świtu byli pierwszym klientami w osiedlowej piekarni. Pachniało chlebem i gorącymi jeszcze jagodziankami.

– Dzisiaj pan profesor jest wyjątkowo wcześnie – odezwała się ekspedientka. – Może do tych jagodzianek zrobić herbaty? – dopytywała się, przypatrując z zaciekawieniem Weronice. Już chciał jej coś odpowiedzieć, że to kuzynka, która przyjechała nocnym pociągiem, ale zreflektował się, że przecież nie musi się przed nią tłumaczyć.

Niech myśli sobie, co chce – pomyślał.

Poprosił, by zapakować jeszcze dwie jagodzianki „na wynos" dla ciotki Weroniki, po czym wyszli z piekarenki.

6 *The Owen Bird*, wiersz z 1916 r. Roberta Frosta (1874-1963). Stanisław Barańczak (1946-2014) tłumaczy tytuł jako… *Lasówka*: „Tego śpiewaka każdy słyszał swego czasu: / Odzywa się w połowie lata, w głębi lasu./ Tak głośno, że od twardych pni echo się niesie. / Mówi o tym, że liście schną, że w oczach kwiatów / Lato ma się do wiosny jak jeden do dziesięć. / Mówi, że nie ma śladu po tym, co się wcześniej / Zdarzyło: po ulewie spadających płatków, / Którą chmurzyły słońce grusze i czereśnie; / Że pod dnem tych strat dawnych jest i drugie dno strat: / Bliska jesień. Że wszystko pokrył pył z autostrad. / Gdy ptak to powie – milknie, jest jak inne ptaki, / Tyle, że wie: w swym śpiewie nie sam śpiew ukrywa. / Choćby przed chwilą – niemal w słowa ujął taki / Problem: jak to zrozumieć, że czegoś ubywa".

V

Przyszedł do domu, kiedy już prawie świtało. Wziął prysznic, włączył komputer i wystukał na klawiaturze: „Weronika Wrońska Robert Frost". Od razu otworzyła się strona uniwersytetu w NY, instytut anglistyki, zakład literatury amerykańskiej, dr Weronika Wrońska, na stażu podoktorskim Columbia University, od września… profesor katedry polskiej… – A więc to tak – patrzył na uśmiechniętą, w okularach oraz gładkiej fryzurze nieznajomą z autobusu, ekspedientkę butiku w nowo otwartym centrum handlowym.

Obudził się jak zawsze o tej samej porze. Po śniadaniu i porannej toalecie zatelefonował do żony. Była niepocieszona, że odmówił wyjazdu na konferencję do Aten.

– Boleś, leć, przewietrz się, to tylko kilka dni – namawiała go, a on nie zmieniał zdania.

– Ani mi się śni. Tylko mi tego brakowało, abym tłukł się samolotem do Aten, gdzie teraz będzie pewno z pięćdziesiąt stopni Celsjusza.

Nie śpiesząc się, szedł do muzeum swoją, tą samą od lat trasą. Po lewej miał górkę z rozległym parkiem, porośniętą wysokimi drzewami. Po prawej rzeczkę, która prowadziła przez śródmieście i aż do zatoki.

Wtem przystanął, usłyszawszy melodyjne pogwizdywanie. – Czyżby wilga? – zastanawiał się, a kiedy pogwizdywanie zaczęło się powtarzać, stwierdził: – Naprawdę wilga. A zatem skończy się upalna pogoda i nadejdą deszcze.

W ferworze prac i obowiązków zapomniał, że miał odebrać zamówioną koszulkę polo w butiku. Cały zresztą wczorajszy dzień wydawał mu się jakby ze snu. Czyżby naprawdę przydarzył się jemu? Przeżył niemal prawie wszystko i przed nim już tylko – jak w tym wierszu Frosta – bliska jesień? A może oglądał dobry film o uczuciach, naprawdę dobry film, o który – podobnie jak o dobrą literaturę – teraz tak bardzo trudno?

Minęły kolejne dwa dni, podczas których zmieniła się pogoda. Zaczął wiać przeraźliwie zimny wiatr z północy, a potem przyszedł deszczowy niż ze wschodu.

Siedział właśnie w piątkowe przedpołudnie, sprawdzając pracę znajomej magistrantki Wiesława, gdy rozległo się ledwo dosłyszalne pukanie do drzwi. – Ki diabeł… – zaczął po swojemu. Drzwi lekko uchyliły się, lecz nikt nie wchodził. – Znowu pewnie ktoś mi coś smaruje na drzwiach. Wyjrzał i zobaczył Weronikę jak powoli odczytuje napis: „dr hab. Bolesław Ambroży Adamski...".

– Dzień dobry, panie profesorze – patrzyła na niego pytająco. – „Pracuję w muzeum" – wyciągnęła ku niemu wskazujący palec i pogroziła.

– Dzień dobry pani doktor, przepraszam, pani profesor – Weronika uśmiechnęła się i przywitała. – No tak, zdradziłam się tym Robertem Frostem. Gdyby nie to, byłabym tylko dziewczyną z butiku.

W kilka chwil potem wszedł Wiesław. Ujrzawszy Weronikę, nie mógł oderwać od niej oczu. Stał chwilę zauroczony jej widokiem, po czym wyszeptał:

– To ja nie będę przeszkadzał. – Stał zmieszany, oczarowany urodą Weroniki.

– Nie przeszkadzasz. Weroniko, pozwól, że ci przedstawię: mój szef, dyrektor tutejszego muzeum, doktor Wiesław Kajetanowicz.

– Pani doktor, przepraszam, profesor Weronika Wrońska.

– Profesor, taka młoda – nie mógł wyjść ze zdumienia Wiesław.

– Właściwie jestem na stażu podoktoranckim w Columbia University. Profesorem katedry polskiej będę dopiero od września.

Zaczęli rozmawiać o zagranicznych stażach, o konferencjach… – W pewnej chwili Wiesław spojrzał wymownie na Ambrosa. – Profesorze, dzisiaj jest ostatni termin, abym cię zgłosił do Aten, proszę, to dla nas bardzo ważne…

– Nie ma mowy. Wiesławie, znasz moje stanowisko.

Wiesław, nie ukrywając złego humoru i zapomniawszy o rozmowie, której tematem były zagraniczne staże, pożegnał się i wyszedł.

Weronika sięgnęła do swojej torby i wyciągnęła dwie koszulki polo, w jego rozmiarze.

– Ciotka była zła, że najpierw zamawiasz, a potem nie przychodzisz ich odebrać. Pomyślałam, że pewnie zapomniałeś, a ponieważ muzeum mam po drodze, więc ci je przyniosłam.

VI

Weronika i Ambros spotykali się teraz codziennie. Weronika tak wieczorami była zmęczona pracą w butiku, że marzyła jedynie, aby pójść do kina, posiedzieć na jakimkolwiek filmie lub poprzebywać w ich ulubionej kawiarni nad brzegiem rzeki. Było to chyba jedno z nielicznych miejsc, gdzie czuło się świeży powiew otwartej przestrzeni znad nieodległej zatoki.

– Jarzębina od wielu tygodni jest już czerwona, zaczynają opadać liście z drzew, czyżby w tym roku miała nadejść wczesna jesień? – zauważył Ambros. – Jedynie wilgi przypominają, że to jeszcze lato. A wiesz, kiedy cię

pierwszy raz ujrzałem, pomyślałem, że w tej szarozielono-żółtawej bluzeczce i oliwkowozielonych szortach wyglądasz zupełnie jak młoda… wilga. No i jeszcze te niebieskoszare sandałki i różowa pomadka…

– Łukasz nie dostrzegał nawet tego. Po co rozmawiać, jeśli od razu można iść do łóżka, ciągle mi powtarzał. – Kiedyś mi nawet powiedział, że dla niego poezją są te „wszystkie kombinacje zerojedynkowe, a nie jakiś tam Frost. Wszystko jest matematyką" – powtarzał. Powiedziała to i zasmuciła się, zupełnie jakby nie mogła zapomnieć o niedawnej znajomości.

– A powiedz mi, co z Atenami?

– Nie mówmy lepiej o tym – szybko chciał zakończyć ten temat Ambros.

– Dlaczego? Przyszedł mi głowy pewien pomysł. Za kilka dni ja także wyjeżdżam do Grecji. Moja ciotka odkupiła jakiś domek na Agistri. To taka mała wysepka na zachód od Eginy.

– Powiedz mi, Wilgo… przepraszam, przejęzyczyłem się… powiedz mi, Weroniko, na Agistri miałaś jechać z Łukaszem?

– No i co z tego? – nagle stała się nieprzyjemna. – No i co z tego! To już przeszłość. Rozdział zamknięty. Teraz jesteś ty. Mógłbyś mnie przy okazji tej konferencji w Atenach na Agistri odwiedzić. To tylko półtorej godziny stateczkiem z Pireusu. Odwiedzisz mnie? – I nie czekając na jego odpowiedź, roześmiała się – jak do mnie powiedziałeś? Wilgo? Podoba mi się. Naprawdę bardzo mi się podoba.

– Odwiedzę cię, Wilgo, na tej Agistri – powiedział Ambros i dopiero w domu uświadomił sobie, że zapatrzony w promieniującą urodą i młodością Weronikę chyba nie do końca zdawał sobie sprawę z następstw swojej decyzji.

Jan P. Grabowski

Rafał Lasota

Prawda

Rozdział I

Siwy mężczyzna w lnianej tunice zerwał się z drewnianej ławy. Chwiał się na wątłych nogach. Z wysiłkiem podszedł do stołu. Złapał cynowy kubek i jednym tchem wypił zawartość. Zioła zmieszane z wodą paliły wnętrzności. Naczynie wypadło z siniejącej dłoni. Człowiek zaczął nerwowo dygotać. Osunął się bezwładnie na ziemię. Jego głowa rytmicznie uderzała o kamienną ścianę. Strużki krwi z rozbitego czoła spłynęły na twarz. Kolejny atak padaczki zawładnął ciałem starca. Pustynny wiatr wdzierał się do wnętrza przez zasłonę rozciągniętą przy wejściu. Unosił gorącymi podmuchami poszarpane płótno, jakby chciał przyjrzeć się dręczonemu chorobą. Wpadające do izby drobiny piachu wskakiwały do oczu, gardła, nosa siwobrodego…

Nagle zasłona odskoczyła w górę. W progu domostwa stanął młody mężczyzna. Jego twarz nie nosiła nawet śladów zarostu. Przybysz podbiegł do nieszczęśnika. Złapał w dłonie rozbitą głowę epileptyka. Czekał. Po kilku minutach atak ustał. Starzec wolno wracał do świadomości. Z trudem otworzył oczy. Spierzchnięte usta zaczęły wymawiać niezrozumiałe słowa.

– Pić! – wyszeptał wreszcie starzec.

Młodzieniec chwycił ze stołu drewniany kubek. Zaczerpnął wody z dzbana stojącego w kącie izby i podał przyjacielowi. Siwobrody przełykał zachłannie każdą kroplę. Dwie cienkie strużki napoju ciekły mu po brodzie. Dyszał ciężko. Wreszcie zebrał siły i usiadł na ziemi.

– Jeszcze dziś zbierz uczniów. Spotkamy się nad Jordanem. Kiedy wzejdzie księżyc, czekajcie na mnie. Muszą przyjść wszyscy!

– Co się stało, bracie?

– Zaczęło się, Józefie… – ciągnął mężczyzna głośno przełykając ślinę. – Nadchodzą czasy, których ludzki rozum nie pojmie. Wspomnisz moje słowa. Dziś przed świtem ludzie Heroda pojmali Chrzciciela.

Józef drgnął, podniósł z ziemi towarzysza i ostrożnie posadził na zydlu.

– Umrzemy wszyscy, Sebastianie… – stwierdził przerażony młodzieniec.

– Nie tak prędko, przyjacielu – starzec poklepał Józefa po ręku. – O wszystkim dowiecie się wieczorem. Czekajcie na mnie. Jeszcze dziś muszę się spotkać z naszymi ludźmi w Sanhedrynie i Judą z Kariotu. On wie, dużo wie. Podobno Jana uwięzili z powodu jakiegoś człowieka z Nazaretu. Zwą go Jehoszua. No, teraz już idź. Prędko. Zostaw mnie…

– Zbiorę braci. Będziemy czekali nad rzeką. Tam gdzie zwykle.

Rozdział II

Metaliczny blask księżyca oświetlał wąską, kamienistą drogę. Zza parawanu winorośli dobiegał cichy szmer wody. Czarna tafla Jordanu skrzyła się tysiącami gwiazd. Rzeka płynęła spokojnie, leniwie, zmęczona upalnym dniem, który niedawno się skończył. Samotny wędrowiec, przemykający między kępami tataraku, przystanął na chwilę. Starał się wyłapać najmniejszy szmer, dobiegający z nocnej ciszy. Tylko jednostajny szept niewidocznych fal dobiegał jego uszu. Przymknął oczy i wciągnął powietrze w płuca. Zapach trawy, rumianu, koziego łajna, unosił się dokoła. Nagle zza niewielkiego wzniesienia wystrzeliła w górę kaskada iskier. Ostry zapach dymu rozniósł się po okolicy. Wędrowiec ruszył w tamtą stronę. Po chwili spostrzegł kilka ludzkich sylwetek oświetlonych przez tańczące ogniki. Słyszał pojedyncze głosy. Kobiety i mężczyźni siedzieli wokół ogniska. Przybysz wszedł w krąg światła tak, aby wszyscy mogli go widzieć.

– Pokój z wami – rzekł donośnym głosem.

– Pokój z tobą. Dobrze, że wreszcie jesteś, Józefie. Długo musieliśmy na ciebie czekać – mruknął z niezadowoleniem brodaty starzec.

– Wybaczcie – odparł przybysz – mam ważne nowiny.

– Mów, co wiesz. W mieście już wrze. Za kilka dni Rzymianie wyrżną nas wszystkich – wtrącił szczupły mężczyzna z poprzeczną blizną na czole. Jego długie, czarne włosy, splecione w warkocz – spoczywały na ramieniu. Odziany był w prostą lnianą koszulę i sandały. W ręku trzymał trzcinową witkę, którą rysował coś nieustannie na piachu.

– Cierpliwości, Janie – odparł przybysz – pozwól odpocząć. Muszę odetchnąć.

Przybysz przysiadł się na ziemi. Ciepło bijące z ogniska rozgrzało twarz i dłonie wędrowca Ktoś podał mu skórzany bukłak z wodą. Pił łapczywie. Kiedy ugasił pragnienie, odezwał się ponownie.

– Chociaż tego nie pojmuję, ale na razie jesteśmy bezpieczni.

– To znaczy, że nie wtrącą nas do lochów? – zapytała z niedowierzaniem ciemnooka kobieta, przesłaniająca usta bawełnianą chustą.

– Nic o tym nie słyszałem. Nikt o nas nie wspomina! Nikt nas nie szuka. Zupełnie tak, jak gdyby uczniów Chrzciciela wcale nie było. Zniknęli. Zapadli się pod ziemię. Ale przecież jesteśmy tu i teraz. Widzę wszystkich, jak tu siedzicie, ciebie Miriam i ciebie Saro, brata Enocha, Nikodema, Jakuba, widzę was, a ludzie Heroda jakby o nas zapomnieli. Tego nie pojmuję.

– Skąd to wiedziesz, że nie kazali nas śledzić, skąd wiesz, że zaraz tu nie przyjadą, aby nas wszystkich zabić? – zapytała kobieta z rozpaczą w głosie.

Przybysz zignorował jej pytanie i mówił dalej.

– Wczorajszej nocy na dwór Heroda do twierdzy Macheront przybyli posłańcy Piłata. Byli w przebraniu kupców, jednak mój człowiek na zamku rozpoznał ich. Setnicy Druzus i Kasjusz zjawili się z tajną misją. Herod przyjął ich w swojej komnacie. Mówili o Chrzcicielu i Jezusie z Nazaretu. Nie wiem, kim jest Nazarejczyk. Nie znam go. Jan kiedyś wspominał o swoim powinowatym imieniem Jezus. Może to ten sam człowiek. Wiele lat temu razem pobierali nauki u mędrców świątyni. Nazarejczyk to światły człowiek. Wiem też, że Janowi nic nie grozi. Herod objął go swoją opieką. Chrzciciel jest więźniem samego króla. Pozostanie w lochu, dopóki Jezus z Nazaretu zacznie nauczać. Tak setnicy ustalili z Herodem. Później wypuszczą Jana z więzienia.

– To kłamstwo! Pojmali Jana, żeby go stracić. Później przyjdzie czas na pozostałych – syknął człowiek siedzący pod figowcem.

Józef zaskoczony odwrócił się w stronę nieznajomego. Wpatrywał się w niewyraźny zarys twarzy. Mężczyzna na pewno nie był uczniem zboru Chrzciciela. Józef nigdy przedtem go nie widział. Zebrani poruszyli się nerwowo.

– Nie znam cię, człowieku, lecz czemu zarzucasz mi kłamstwo?

– Uspokój się, Józefie, to przyjaciel. Zwie się Judasz z Kariotu. Syn garbarza. To człowiek bywały w świecie. Kilka dni temu powrócił z Cypru. Trudni się handlem. Zaprosił go Sebastian – rzekł Eneasz, dorzucając drew do ogniska.

Płomień na jedną chwilę skoczył wysoko w górę. Teraz dopiero Józef spostrzegł bystre, zimne oczy, rudą brodę i młodzieńczą twarz Iskarioty. Strój Judasza zdradzał człowieka obeznanego z zamorskimi krainami. Nosił lnianą koszulę i spodnie sięgające kolan.

– Powtarzam, co słyszałem – rzekł Józef, spoglądając nieufnie na syna garbarza – Herod uwięził Jana, lecz obchodzi się z nim łagodnie.

– Mówię wam, to kłamstwo! – przerwał młodzieniec. Zerwał się z ziemi. Stanął w blasku ognia, aby zebrani mogli go zobaczyć i słyszeć. – Herod to podstępna bestia. Stary lis. Jest taki sam jak jego ojciec. Chce zabić was – wyznawców Chrzciciela. Musicie uchodzić. Inaczej podzielicie los waszego mistrza.

– Dużo jest racji w słowach Judy – powiedział z namysłem Jan. – Antypas to człowiek zły i podstępny. Nie cofnie się przed niczym. Ale zaczekajmy z osądem na Sebastiana. Jest spośród nas najstarszy. Niech on rozstrzyga. Zastępuje mistrza Chrzciciela. On będzie wiedział co robić.

Józef drgnął. Dopiero teraz przypomniał sobie o Sebastianie, którego odwiedził o poranku.

Rozejrzał się dokoła i rzekł:

– Sebastian dawno powinien do nas dołączyć. Miał się spotkać z kimś w Sanhedrynie i…

Józef zamilkł chwilę. Spoglądał z uwagą na Judasza. Było coś dziwnego w tym człowieku. Coś, co nie pozwalało mu ufać ani darzyć go sympatią. Setki myśli biegły przez głowę Józefa. Dlaczego Sebastian zaprosił syna grabarza z Kariotu?

Dlaczego Judasz tak bardzo nienawidził Heroda? Dlaczego każe im uciekać? Skąd syn rolnika miał pieniądze, aby podróżować na Cypr? Czego tam szukał? Kim naprawdę jest ten człowiek? Z zamyślenia wyrwał Józefa spokojny głos Eneasza.

– Zaczekajmy – zdecydował Eneasz.

Nagle pobliskie zarośla rozchyliły się raptownie. Przed zebranymi stanął niski, krępy mężczyzna. Pojawił się szybko i niespodziewanie. Oczy błyszczały mu gorączką. Płomienie oświetlały migotliwym blaskiem okrągłą brzydką twarz. Oblicze przybysza podobne było do kamiennej maski, na której artysta wyrzeźbił jedno uczucie. Przerażenie.

– Bracia – wyszeptał mężczyzna – Sebastian... nie żyje. Został zamordowany!

– Skąd wiesz? – zapytał Eneasz.

– Byłem w jego domu. Pełno tam strażników świątynnych. Badają miejsce. Podobno ktoś udusił Sebastiana rzemiennym sznurem.

Ludzie zerwali się z ziemi. Zaczęli krzyczeć. Jakaś kobieta zaniosła się płaczem.

Inni stali w milczeniu bezradni, niczym dzieci pozbawione ojca.

– Co robić, Eneaszu? – zapytał Jan.

– Rozejdźmy się do domów. Szybko. Idźcie w górę rzeki. Małymi grupami – krzyknął Eneasz. – Szymonie, czy nikt za tobą nie szedł?

– Kluczyłem między wzgórzami – odparł przybysz.

– Słuchajcie, bracia – krzyknął Eneasz do przerażonego tłumu – powiadomię was, kiedy znowu się spotkamy.

– Antypas to podstępny pies – wrzasnął Judasz. – Chce waszej krwi. Sebastian nie żyje. Uciekajcie.

Zebranych ogarniała panika. Biegli na oślep między zarośla i trzciny byle dalej od przeklętego miejsca. Po chwili brzeg Jordanu prawie zupełnie opustoszał. Przy resztkach dogasającego ognia pozostało jedynie dwóch mężczyzn. Józef podszedł wolno do Iskarioty. Spojrzał w mroczne oczy Judy. Ten uśmiechnął się z pogardą.

– Kiedy ostatni raz widziałeś Sebastiana – zapytał lodowatym głosem.

– Dziś rano – odparł Juda.

– Kłamiesz. Dziś rano ja u niego byłem – Józef chwycił gardło Judy.

Ten się nie bronił.

– Puszczaj – syknął. – Powtarzam ci, byłem u niego dziś rano. Miał iść do ludzi z Sanhedrynu. Był słaby. Nie miał sił wstać. Widać choroba go dopadła. Czy to ci wystarczy? A teraz mnie puść i szukaj prawdziwego mordercy.

Judasz odepchnął napastnika i ruszył w stronę pobliskich zarośli. Po chwili zniknął w ciemności. Józef pozostał sam nad brzegiem rzeki. Spoglądał bezradnie w ostatnie płomienie gasnącego ogniska. Ten ogień zgaśnie, jak wiara w Chrzciciela, który miał być mesjaszem – pomyślał. Nagle dobiegł go niewyraźny szmer. Rozejrzał się wkoło. Zdawało mu się, że od strony rzeki ktoś nadchodził. Nieproszeni goście nie mogli go widzieć, gdyż stał w cieniu figowego drzewa, pod którym wcześniej siedział Iskariota. Padł na ziemię i zaczął sunąć w stronę pobliskiej kępy tataraku. Wpełzł w niewielką jamę wygrzebaną przez zwierzęta w mokrym piachu. Po chwili przy ognisku zjawiło się kilkunastu mężczyzn. Odziani byli w skórzane kaftany i sandały. W rękach trzymali, krótkie rzymskie miecze. Józef przywarł do ziemi. Nagle tuż obok niego przemknęło kilka postaci. Skórzane sandały niemal otarły się o jego twarz. Na szczęście żaden z nich nie zauważył skulonego w zaroślach wyznawcy Chrzciciela. Dołączyli do stojących przy ogniu.

– Wymknęli się. Ktoś musiał ich ostrzec – rzekł krótko łysy barczysty mężczyzna. – Druzus nie będzie zadowolony.

– Dopadniemy ich. Nie mogą być daleko. Możemy ruszyć w pościg – stwierdził szczupły, wysoki młodzieniec z włosami strzyżonymi na jeża. Jego twarz, ręce i piersi pokrywały sine tatuaże i szkaradne blizny.

– Nie! Na dziś wystarczy. I tak nam nie ujdą. Wiemy, gdzie się zbierają. Od dzisiaj będziemy wiedzieli o każdym kroku wyznawców Chrzciciela. Nie wszyscy oni muszą zginąć, niektórzy będą nam potrzebni. Zaufaj mi Traku, tak będzie lepiej. Zbierz ludzi. Wracamy do obozu.

Rozdział III

W drzwiach prowadzących do obszernej pałacowej komnaty, pojawił się nomadyjski niewolnik. Czarnoskóry eunuch skłonił się nisko na widok siedzącej na obszywanym aksamitem stolcu patrycjuszki. Niewiasta miała długie kręcone włosy, przybrane na rzymską modę. Herodiada żona króla Heroda Antypasa odziana była w szatę z niebieskiego jedwabiu, która delikatnie otulała jej ciało. Sługa obrzucił pośpiesznym spojrzeniem doskonałą figurę kobiety. Niewolnik – chociaż okaleczony – umiał docenić prawdziwe piękno niewiasty, od której kaprysów zależało jego życie i śmierć. Patrzył zachłannie na odsłonięte ramiona i szyję swej pani. Na jej gładkie stopy i dłonie. Kiedy ich oczy się spotkały, kastrat drgnął. Ostre jak grot włóczni spojrzenie królowej, w jednej chwili przypomniało mu, że jest tylko ludzkim śmieciem, któremu ona – wielka władczyni – łaskawie, w chwili nieokreślonej słabości, pozwala żyć. Eunuch przycisnął dłonie do odsłoniętej piersi i rzekł.

– Pani, przybyła Maria z Magdali – oznajmił.

– Wprowadź ją i dopilnuj, aby nikt nam nie przeszkadzał – odrzekła.

Po chwili do komnaty weszła wysoka trzydziestoletnia kobieta. Jej ciemne oczy, ostre wyraźne rysy, zdradzały szlachetne pochodzenie. Kobieta nosiła na głowie cienki złoty diadem, który podtrzymywał wysoko upięte czarne włosy. Maria zatrzymała się, oddając delikatny ukłon, jaki należny był władczyni. Królowa wstała z miejsca i pocałowała Marię w policzek.

– Witaj, droga przyjaciółko – rzekła – jak dobrze cię widzieć. Przynajmniej ty ulżysz mi w samotności. Odkąd mąż mój, Antypas, wypełnił naszą wolę, prawie wcale mnie nie odwiedza. Ciągle siedzi w ciemnicy i rozprawia ze skazańcem.

– Herodiado, nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Gdyby nie ty, Chrzciciel nadal krzewiłby swoją naukę. A przecież nie taki był nasz zamiar.

– Usiądź przy mnie i opowiadaj – rzekła królowa, wskazując Marii miejsce na wygodnym łożu, obitym skórą.

Herodiada klasnęła w dłonie. Do komnaty wbiegły dwie półnagie niewolnice. Jedna trzymała w dłoniach dzban z winem, druga tacę, na której lśniły dojrzałe winogrona i daktyle. Kobiety ustawiły owoce na stole. Rozlały wino do złoconych pucharów i zniknęły za aksamitną kotarą równie szybko, jak się pojawiły. Herodiada wręczyła Marii kielich.

– Za nasz sukces – rzekła Maria.

– Za sukces – powtórzyła Herodiada z uśmiechem.

Kiedy wysączyły zawartość pucharów, królowa odezwała się pierwsza.

– Wyjaśnij mi, droga przyjaciółko, dlaczego tak bardzo zależy ci na tym śmiesznym Nazarejczyku. Jest taki… – nie obraź się – jest taki prymitywny, taki zwykły. Tak, to dobre słowo. Zwykły. A przy okazji, ile on cię już kosztował? On i ta jego banda wyznawców, przecież oni muszą z czegoś żyć.

Maria milczała zamyślona. Po chwili jej usta rozchyliły się w uśmiechu. Spojrzała na zdziwioną twarz królowej.

– Nie jest on zwykłym człowiekiem. To mesjasz. Boży syn! Kiedyś i ty w niego uwierzysz…

– Wybacz, ale ja wierzę we władzę i pieniądze. A jeśli ten Jezus jest mesjaszem, to po co go utrzymujesz? Boży syn sam znajdzie drogę i pieniądze. Może aniołowie przyniosą mu je z nieba. Albo Bóg sypnie manną, jak pradziadowi Mojżeszowi. A tak, darmozjadów trzeba karmić.

– Nawet Bogu trzeba czasami pomóc. Wszystko co mam, dostałam od rodziców. Moje pola, winnice, gaje oliwne, to dar Boży. Dlaczego mam teraz odmawiać Bogu majętności, która do niego należy?

– Skoro ci się tak podoba, możesz w niego wierzyć, możesz nie wierzyć. Rób zresztą, co tam chcesz. Sekty w tym kraju rodzą się na kamieniu. Mnie jednak nie zwiedziesz. Przyznaj, że cię pociąga. Że chciałabyś, aby którejś nocy wreszcie zagościł w twym łożu. Przyznaj, droga Mario, że są takie rzeczy, takie sprawy, tacy mężczyźni, których sam widok prowadzi do rozkoszy. I chociaż żadna inna nie zobaczy w nim ogiera, ty jednak to czujesz każdym otworem swego grzesznego ciała. Zapytam wprost Mario z Magdali: czy ty kochasz tego Nazarejczyka?

Maria zawstydzona skryła wzrok pod zasłoną długich czarnych rzęs. Jej pierś zaczęła szybciej falować, dłonie drżały. Chwyciła puchar z winem i wypiła odrobinę słodkiego napoju.

– A jednak – powiedziała ze śmiechem Herodiada – miałam rację. Judzka księżniczka i cieśla. Pięknie, moja droga. To na niego tak długo czekałaś? Tyle lat mój mąż Antypas musiał cię bronić przed zalotnikami z książęcych dworów, abyś poszła za cieślę? Nie rób mi takiego zawodu! Ukryj go

pod stołem albo w łożnicy. Niech zadowala cię każdej nocy, każdego dnia, ale nie wychodź z nim między ludzi. Niech będzie mesjaszem skoro tak chcesz. Kochaj go jak Boga, ale wyjdź za człowieka. No, ale dość już o tym. Powiedz mi wszystko od początku. Kiedy naprawdę go poznałaś?

– To dawne czasy. Joszua – tak go nazywano – mieszkał u Zachariasza i Elżbiety, rodziców Chrzciciela. Ich matki łączyły więzy krwi. Przez lata chłopcy wychowywali się razem. Pobierali nauki u mędrców. Ojciec Jana był kapłanem świątyni. Matka pochodziła ze szlachetnego rodu. Jezusa zobaczyłam wiele lat temu. Pewnego dnia jechałam z ciotką i sługami drogą na północ od Jeruzalem. Jezus i Jan oraz kilkunastu innych chłopców siedzieli przy trakcie. Spojrzałam na niego. On popatrzył na mnie. Do dziś pamiętam to uczucie. Jego błyszczące oczy i radosny uśmiech… Wiedziałam, że jeśli powóz go minie, nigdy już się nie spotkamy. On chyba też to czuł. Wskoczył na przydrożny głaz, odgarnął włosy i wyciągnął dłoń w moją stronę. Jego usta wyszeptały moje imię, czułam jak mówi: Mario, Mario, zatrzymaj się dla mnie! Kiedy to uczynił, koło od wozu odskoczyło z trzaskiem. Nikomu nic się nie stało, ale musieliśmy zrobić przerwę w podróży. Nie minęłam go! Wtedy zastąpił mi drogę na całe życie. Potem widywaliśmy się od czasu do czasu. Wiele ryzykował, przekradając się do pałacowych ogrodów mojego ojca. Po raz ostatni odwiedził mnie kilka lat temu. Kiedy się obudziłam, siedział na brzegu mojego łoża i patrzył. Chciałam coś powiedzieć, lecz on położył mi dłoń na ustach. Tamtej nocy przyrzekł, że powróci i poprowadzi mnie za sobą. Teraz wreszcie nadszedł. Jest. To mi wystarczy.

Herodiada zaniosła się donośnym śmiechem. Maria spojrzała na nią z wyrzutem.

– Czy powiedziałam coś śmiesznego? – zapytała, topiąc żal i zdenerwowanie w pucharze z napojem.

– Co to za człowiek, ten Nazarejczyk. Czy on wie o Chrzcicielu. Więzienie to jego pomysł?

Maria przecząco pokręciła głową.

Herodiada patrzyła na nią uważnie i ciągnęła dalej.

– Jeśli to nie on kazał ci przyjść do mnie z prośbą o areszt dla Chrzciciela, to muszę przyznać, że zadziwiasz mnie moja droga. Zresztą, między nami, temu dzikusowi Janowi znad rzeki już dawno się należało. Ile razy zwał mnie publicznie kurwą. A ja zawsze mu wybaczałam. Muszę przyznać, że twoja prośba o ciemnicę dla niego, sprawiła mi przyjemność. Ale wracając do twojego Jeszui, mam wrażenie, że niczym złodziej przekrada się

do twoich komnat. Czy z nim jest wszystko w porządku? Mam nadzieję, że to chwilowe zauroczenie wreszcie ci minie. Mesjasz czy nie – w końcu to mężczyzna. Nawet mój eunuch pożera mnie wzrokiem, a co dopiero zdrowy silny cieśla! Wreszcie mu ulegniesz, poślubisz i co noc będziecie na siebie spoglądać, a on będzie cię nauczał i nauczał. Jakie to śmieszne – Herodiada zachichotała ponownie.

– Co zrobisz z Chrzcicielem? – zapytała Maria, zmieniając temat.

– Mój małżonek Antypas chce go wypuścić za jakieś dwa, trzy księżyce. Ale ja mam inne plany. Postaram się, żeby nigdy już nie zaznał wolności. Zniknie on, znikną jego wyznawcy. Tyle lat bezkarnie nazywał mnie ladacznicą. Teraz zapamięta, że podziemia Macheront to bardzo gościnne miejsce. – Herodiada roześmiała się szyderczo i cisnęła ze złością kielich o podłogę. Wypite wino zaczynało działać. Jej oczy przysłoniła mgła. W jednej chwili stała się niczym dziki kot. Piękny, zwinny i diabelsko niebezpieczny. Zerwała się z łoża. Zrzuciła suknię na ziemię. Zupełnie naga podbiegła do okna. Zerwała zasłony i niczym wilk zawyła.

– Ja, ladacznica, dziwka wszeteczna, królewska kurwa, niewierna suka. Przyrzekam, Chrzcicielu, kozi synu, zapłacisz za każdy dzień mojego upokorzenia. Przyrzekam ci, nie odejdziesz stąd żywy. Muzyka! Dajcie muzykę! – krzyknęła królowa.

Po chwili służące wprowadziły do komnaty arabskich muzykantów. Mężczyźni mieli zasłonięte oczy, aby wzrok niewiernych nie kalał oblicza monarchini. Zasiedli na marmurowej posadzce. Pierwsze dźwięki cytr, piszczałek i bębnów wstrząsnęły ciałem Herodiady. Wygięła się niczym napięty turecki łuk. Jej piersi zadrżały.

Włosy oplatające twarz i ramiona falowały łagodnie, niczym figowe liście, poruszane ciepłym wiatrem. Herodiada wspięła się na palce i ruszyła do szalonego tańca. Przeskakiwała między grającymi, padała na ziemię, aby za chwilę powstać. Prężyła ramiona, napinała uda.

Bezwstydnie wypinała pośladki w oczekiwaniu na mężczyznę, który za chwilę ją posiądzie. Nagle jednak zrywała się do ucieczki, jak przerażona dziewica. Podbiegła do muzyków.

Wyrwała z rąk grajka metalowe dzwonki i zaczęła nimi miarowo potrząsać. Przy każdym dźwięku jej łono unosiło się coraz mocniej. Coraz szybciej. Kapela ślepców, czując królewską wolę zabawy, zaczynała grać coraz skoczniej i głośniej. Twarz królowej ozdobił grymas spełnienia. Rozłożyła szeroko ramiona. Cichy jęk rozkoszy wydobył się z jej gardła.

Padła na ziemię. Przez chwilę wiła się, niczym wąż po zimnej posadzce. Wreszcie otworzyła oczy. Nieprzytomnym wzrokiem spojrzała dokoła. Wyciągnęła dłoń do Marii i rzekła:

– Zatańcz ze mną, przyjaciółko!

Delikatny uśmiech rozjaśnił oblicze Marii z Magdali. Jej plan zaczynał działać.

Chwyciła dzban z winem i napełniła puchar. Jednym tchem wychyliła kielich i wolno podeszła do Herodiady.

Rafał Lasota

Wiesława Oramus

Między

Jak zawsze – schodami w górę, schodami w dół. Takie ups and down skonstruowane przez architektów. Dla każdego, kto z tego punktu chce się przedostać na drugą stronę, omijając fragment miasta przewidziany jako teren rekreacyjny, a zajmowany przez tłumy nadciągające raz z prawej, raz z lewej strony, blokujące normalne przejście.

Padał deszcz.

To ups i down, teraz między schodkami w górę schodkami w dół, na kładce nie oznaczało jednak samotności. Ktoś ciągle wchodził, ktoś schodził, pojedynczo, parami, w grupkach.

Teraz, spod kopuły parasolki, w porę rozłożonej, widać ich było tylko od stóp do kolan, czasami rąbek spódnicy, czasami mankiety spodni albo fragmenty skarpet, pończoch, różne typy obuwia, poły płaszczy i peleryn.

Nad tym wszystkim wrony, gołębie, kosy, wróble, frunące w stronę drzew, krzewów, ich różnorodność stała się nagle widoczna! Ile ich było!

Zapełniały nie tylko przestrzeń nad kładką, ale i tę między konarami, dołączały do innych, już dobrze usadowionych. Przycupnięte, zwinięte, wyglądały jak czarne, popielate, szare kropki na zielonym tle. W pewnym punkcie kładki było widać ptaki i tylko ptaki.

Przypominało to zadrukowaną kartkę książki?

A może tak to widziała z powodu tego śniadania? Zwykłego niedzielnego śniadania? I zwykłego czytania w trakcie gryzienia, przeżuwania, połykania, popijania.

Każdy czytał, co chciał.

Jej książka była o dialektyce rozwoju człowieka. A nie wiadomo kiedy, w którym momencie lektury, na której stronie, z jakiego powodu, od którego słowa, każde następne zaczęło się zamieniać w coś… Ożywające czarne punkciki? Wyfruwające w przestrzeń kuchni, krążące nad nią, wnikające w nią? Razem z kęsami bułki z serem, łykami herbaty, zwykłej, czarnej?

Stawały się częścią ciała, tajemnicy fizjologii, zamieniania pokarmów z talerzy w możliwość życia, poruszania się, myślenia? Stawania sobą.

A tego dnia było tyle tych słów; kreacjonizm, homo creator, communitus creator, spiritus creator, struktura biopsychiczna post festum, holizm, aksjologia, duch absolutny, plan ducha, jednia duchowo-materialna, praxis, plan ducha, samostanowienie…

Krążyły, krążyły, osaczały, może… otulały? Oddzielały na pewno w jakiś sposób od następnego, stałego elementu niedzielnego poranka – odsuwania talerzy, czytanych książek i po chwili, po głębszym oddechu zabierania się do robienia tego co każdy chce robić, bo…

Bo tak chce… A dlaczego? Nikt się nad tym nie zastanawiał, przynajmniej w jej obecności… I nie wiedziała, dlaczego ojciec ciągle coś wykuwał – metalowe zwierzątka, ludziki, wieszaki, zajączki, kwiatuszki, chociaż wiedziała, że uczył innych metaloplastyki. A matka zasypywała stół żywymi, przyniesionymi z działki kwiatkami, robiła z nich bukieciki wianuszki na ołtarze i groby, co oznaczało jej wyjście w określone, ciągle te same miejsca. I kultu i pamięci.

Matka zapatrzona w wytwory metaliczne, ojciec w jej bukiety, a szelest płatków, mieszał się z odgłosami wydawanymi przez obrabiany metal, zapach róż mieszał się z zapachem opiłków.

Zawsze zdumiewała ją ta dziwna koegzystencja. A jeszcze bardziej ich cicha, sprowadzona do gestów, min, uśmiechów wojna o nią. O miejsce między nimi, o to obok kogo usiądzie, do czyich zajęć dołączy, jakimi zapachami i dźwiękami będzie otoczona.

Nigdy nie powiedziała, że najciekawsze, chociaż nie wiedziała, dlaczego, były dla niej kartki zarysowane projektami przyszłych prac – może niemożliwych do zrealizowania. Były na nich fragmenty rąk, nóg, skrzydeł, głów jakichś istot nie z tego świata, wymagających jakiegoś innego materiału. A może innego stołu, innego pomieszczenia, widoku z okna?

Innego niż ojciec człowieka? Starała się siedzieć zawsze najbliżej tych kartek – stałego elementu niedzielnego – jak to nazywali – rodzinnego niedzielnego stołu.

I od tego uciekła tamtego dnia.

Omijała ludzi i była omijana, zapatrzona w czarne, nieruchome kropki na zielonym tle – dopóki nie zeszła po schodkach i nie dotknęła jak zawsze gałązek krzewów, posadzonych po obu stronach chodnika prowadzącego na schodki. Tego dni były mokre, pachnące, takie bardzo… żywe?

Aż żal było się z nimi rozstawać, z widokiem ptaków na drzewach też, z rozmyślaniami o ich materialnym bycie.

Weszła na ulicę. Szeroką, przecinającą miasto w inny sposób, zaprojektowaną tak, żeby przywoływała takie słowa jak: otwarta, wolna, na przestrzał, prosto do…

Za nią rozciągały się łąki, relikt poprzedniej, przedindustrialnej epoki w tych okolicach. I były pobocza i boczne uliczki, prowadzące w głąb osiedli.

Deszcz zmył ślady człowieka, zmiażdżył kępki traw wyrastających w przestrzeni między nierównymi chodnikami – chociaż może tak miało być, tak to było pomyślane?

Zachłysnęła się przestrzenią, wolnością, samotnością, wydostaniem się z wszystkich „między".

Ożyły znowu słowa, które stały się już częścią niej w trakcie czytania i jedzenia. Znowu coś w niej zmieniły, coś nowego się tworzyło ze słów z tamtej kartki.

Zaczęła odmienianie we wszystkich czasach, w pierwszej osobie; jestem, będę, stanę się… I zmierzam do, a pędzę, będę…

Nie dostrzegła tłumu, który pojawił się nagle w jednej z bocznych uliczek, rozlał na całą szerokość chodnika. Wchłonął ją… I nie rozpoznawała, czy przyjaźnie przywitał, czy jak wroga, ale w czasie tej kotłowaniny straciła równowagę… To było takie down na prostej drodze. Bolesne – między butami, stopami w butach, łydkami w spodniach i spódnicach. Twardymi, jak skała, miażdżącymi jej ciało, odczuwające ból.

Nieoczekiwanie między tymi butami a brukiem i błękitem nieba rozlał się błękit – jak jeden, dwa punkciki, obok, jakby na tle innych różnokolorowych, o różnych kształtach punkcików – i tak zapisały się w niej jego oczy, ten ich kolor.

Wtedy nie wiedziała jeszcze, że i one, i on cały – z tymi swoimi kartkami wypełnionymi czarnymi punkcikami nut, skrzypcami, staną się elementem niedzielnego stołu, usadowionym między nią a matką i ojcem, ich książkami, ich pracami.

KONIEC

Małgorzata Karolina Piekarska

Licencja na dorosłość

(*fragmenty*)

Wszystkim moim cioteczno-ciotecznym i stryjeczno-stryjecznym oraz licznym przyszywanym siostrzenicom i siostrzeńcom.
Bez waszych opowieści nie byłoby tej książki.
Jak w uczniowskim zeszycie jakieś trudne zadania, takie dziwne jest życie, wielki znak zapytania.

autor anonimowy

Fala

„Każdy człowiek jest jak taka fala. Wdziera się w drugiego człowieka jak woda w ląd i zawsze coś z niego zabiera ze sobą. Zabiera to coś na zawsze. Jednocześnie człowiek jest i falą, i sobą, czyli człowiekiem. Jest więc czasem tym, któremu coś się wydziera, i czasem tym, który sam coś komuś wydrze. To dlatego zetknięcie się z drugą osobą zawsze nas zmienia". Te słowa Maćka wryły jej się w pamięć. Choć przecież wtedy, gdy słyszała je po raz pierwszy, nie myślała, że będą miały dla niej aż takie znaczenie. Jak się okazało, nie tylko dla niej. Paradoksalnie on to przewidział. I chyba to ją tak rozbiło. Co to za znajomość? Dlaczego tak zaprząta jej głowę?

* * *

– Ja mam tylko jeden namiot dwuosobowy – powiedział Biały Michał do Aleksa i to takim tonem, jakby w pytaniu kumpla, czy nie ma drugiego namiotu do pożyczenia, było coś niestosownego. Aleks po prostu pytał, bo nie wiedział: kupować czy nie? A dość sporą paczką umówili się nad morze. Znów do Świnoujścia. W jakich będą konfiguracjach? Biały Michał zapowiedział, że on ma dwójkę i zamierza w tej dwójce być tylko z Ewką.

– Zresztą nikt więcej się tam nie zmieści – burknął, ucinając wszelkie spekulacje, jak rozlokować towarzystwo.

Tylko on jeden wiedział, ile go kosztował ten wyjazd. A wszystko przez Spytka. Też jechał. Wprawdzie na szczęście ze swoją dziewczyną, ale fakt

pozostawał faktem. Jechali w miejsce, w którym się poznali. W miejsce, w którym on ze zdumieniem odkrył, że Ewa nie jest dla niego tylko koleżanką z klasy, ale kimś więcej. W miejsce, w którym Spytek wygrywał z nim rywalizację o nią. I choć w końcu to on ostatecznie zwyciężył, a Spytek w życiu Ewy został tylko kolegą, to nadal Michała denerwował. Czy muszą tam jechać ze Spytkiem? Nawet jeśli towarzyszy mu jego dziewczyna? Ewa przekonywała, że muszą. Ich kabaret Kawalarka ma mieć występ na scenie Miejskiego Domu Kultury. Tak czy inaczej będą jechać do Świnoujścia. No a skoro trafia się taka okazja, to mogą pojechać wszyscy i dobrze się bawić, dopingując ich na scenie.

Biały Michał skapitulował. W końcu już wtedy, gdy kabaret Ewy i Spytka zajął trzecie miejsce na warszawskim przeglądzie, przysiągł samemu sobie, że przestanie być zazdrosny i pozwoli Ewce się rozwijać. Zwłaszcza że zrezygnowała na razie ze studiów aktorskich, wybierając psychologię. Ale tylko on wiedział, jak trudno mu było dochować takiej przysięgi. No i teraz zgrzytał zębami, gdy Ewka na całe dnie przed nieuchronnie zbliżającym się występem znikała ze Spytkiem i Anią na próbach.

Koniec końców na świnoujskim kempingu Relax wylądowali z czterema dwuosobowymi namiotami. I to w konfiguracji takiej, że w jednym zamieszkał on z Ewą, w drugim Spytek z Anią, w trzecim Aleks z Maćkiem i tylko czwarty zajmowała samotna Asia. To był namiot Aleksa, który ostatecznie kupił dwójkę w Decathlonie, ale oddał ją Asi, a sam zamieszkał z Maćkiem. Miał nadzieję na wieczorne Polaków rozmowy, ale gdy lądowali w namiocie, Maciek zakopywał się w śpiwór i ciężko wzdychając, milczał, a potem zasypiał kamiennym snem. Aleks czasem wsłuchiwał się w jego oddech i zastanawiał się, czy warto tak cierpieć. Z drugiej strony sam też cierpiał. Ale mimo wszystko jednak inaczej.

* * *

– Jak jest w takim stanie, to go lepiej nie zaczepiaj – powiedział Aleks, wskazując ruchem głowy Maćka, który siedział w kąpielówkach w wodzie na brzegu morza i patrzył gdzieś daleko w przestrzeń niemal poza horyzont.

– Czemu? – spytała Marta.

Aleks wzruszył ramionami i odwrócił się plecami do dziewczyny. Nie chciało mu się z nią gadać. Ważna była Aśka. Kolejne miesiące zabiegał o jej względy i właściwie nie wiedział, jak ją zdobyć. Czy coś się mówi w takiej sytuacji? Czy coś robi? Nawet nie miał kogo spytać. Wiecznie zazdrosny

o Ewkę Biały Michał nie był dla niego autorytetem. Spytka, który zjechał tu ze swoją Anią, znał zbyt słabo, by móc z nim o tym swobodnie gadać. A Maćka, który nieudolnie próbował ukrywać swój ból po stracie Małgosi, nie zamierzał męczyć żadnymi pytaniami. A już zwłaszcza takimi dotyczącymi damsko-męskich spraw. Z kolei Marcin, który Aśkę znał najdłużej z nich wszystkich, nie pojechał jednak pod namiot. Jak zwykle sprawy rodzinne nie pozwoliły mu na uszczknięcie choćby dwóch tygodni tylko dla siebie. Dlatego on – Aleks – był ze wszystkimi swoimi myślami zupełnie sam. Codziennie analizował wszystkie spojrzenia Asi, jej gesty, a przede wszystkim słowa.

Na dodatek sen z powiek spędzała Aleksowi sprawa studiów. Wybrał anglistykę. Aplikował na studia w kilku miastach, ale niestety nie dostał się w Warszawie i już wiedział, że będzie musiał studiować w Łodzi. Od października będzie z nim i Aśką, która chyba nawet się nie domyśla, że jest dla niego ważna? To dlatego nie chciało mu się rozmawiać z jakąś obcą dziewczyną. Wprawdzie nie kwestionował tego, że Marta jest sympatyczna, miła, wesoła i inteligentna, ale wiele by dał za to, by teraz milczała.

Poznali ją już pierwszego dnia na kempingu. Mieszkała sama w namiocie tuż obok ich obozowiska.

– Miało nas być kilkoro, ale najwyraźniej mnie wystawili do wiatru – powiedziała z rozbrajającą szczerością, odgarniając z policzka ciemne włosy, które uparcie zdawały się z powrotem opadać jej na twarz.

Ewka natychmiast zaproponowała, by z nimi jadła śniadania i jeśli chce, łaziła na plażę. Opowiedziała też o tym, że ona oraz Spytek z Anią wystąpią na festiwalu ze swoim kabaretem. I po to przyjechali tu całą bandą, by ich kabaret miał ze sobą swoją publiczność.

– To będziecie mieli jeszcze mnie – powiedziała Marta i zaproponowała, że wniesie do ich śniadań płatki i mleko, bo przywiozła ze sobą na kemping kilka paczek płatków, a tu na miejscu zgodnie z umową, którą miała ze znajomymi, kupiła zgrzewkę mleka. – Miało nas być kilkoro – powtórzyła, ale jakoś tak…

Urwała raptem, ale nikt taktownie nie spytał, co kryło się za słowami „jakoś tak" i co dokładnie oznaczało wcześniej wspomniane wystawienie jej do wiatru. Marta była im za to wdzięczna. Nie chciało jej się opowiadać o odkryciu dokonanym w domu, kłótni z rodzicami. Czy to w ogóle są rodzice? Albo o nagłej zmianie kierunku studiów, która sprawiła, że dawna paczka najwyraźniej ją opuściła. W końcu oni zostali przy wyborze architektury, a ona zmieniła zdanie.

Teraz siedzieli na plaży właściwie całą paczką. Biały Michał trochę naburmuszony czytał komiks. Jednak nikt się już z niego z tego powodu nie podśmiewał. Dostał się przecież na polonistykę. Poza tym poinformował towarzystwo, że będzie zajmował się komiksem zawodowo. Musi więc czytać i być z gatunkiem na bieżąco. Tak więc czytał i tylko czasem odrywał wzrok od kolorowych kartek, spoglądając w dal na to, jak Ewka ze Spytkiem i Anią w odległości kilku metrów od nich odgrywali jakieś sceny. Niewiele jednak było widać, bo skryli się za plażowym parawanem i prosili o nieprzeszkadzanie w próbach.

Aśka szydełkowała. Aleks w milczeniu patrzył na kolejny kwiatek wychodzący spod jej zręcznych palców. Po co to robiła? Nie mógł zrozumieć. Ale chciał w milczeniu patrzeć na nią, a nie gadać z Martą o tym, czemu ma zostawić w spokoju Maćka.

* * *

– Twój przyjaciel powiedział, żebym zostawiła cię w spokoju – powiedziała Marta, sadowiąc się obok Maćka w płytkiej wodzie bałtyckiego morza.

Maciek spojrzał na dziewczynę i pokiwał głową, choć sam nie wiedział, czy kiwa na znak, że Aleks ma rację i nie chce, by Marta siadała obok, czy kiwa, bo zgadza się, by usiadła. Właściwie nie wiedział, czego chce. Za tydzień miał jechać z Kamilą i Olkiem do Lublina szukać Małgosi i myślał tylko o tym. Na pewno jednak nie chciał z nikim o tym gadać. Marta przeszkadzała w tym rozmyślaniu, ale może to i lepiej? Może powinien odpocząć od tematu?

– Jak nie chcesz gadać, to nic nie mów – powiedziała Marta i przez chwilę grzebała pod wodą w piasku. – Ja mogę gadać za nas dwoje. Albo jak chcesz, mogę nic nie mówić, tylko milczeć. Po prostu nie wiem, co mam robić. Najzwyczajniej nudzę się. Aleksowi i Aśce chyba przeszkadzam…

Maciek pokiwał smętnie głową, ale nic nie odpowiedział, tylko zamachał dłonią, jakby chciał dać znak, by siedziała tak, jak siedzi. Milczeli więc i dobre pół godziny w ciszy oboje patrzyli gdzieś daleko ponad horyzont. Maciek odezwał się pierwszy.

– W życiu nic nie jest stałe. Nic nie jest dane raz na zawsze. Ta zmienność jest i fascynująca, i czasem przerażająca. Nie uważasz?

– Co masz na myśli? – spytała Marta.

– Popatrz choćby na tę falę. Ona przypływa do nas i wraca z powrotem do morza, ale nie wraca ta sama. Zawsze coś ze sobą z brzegu zabiera.

– Przeraża cię to, że zabiera?

– Czasem tak. W końcu nigdy nie wiadomo, co taka woda zabierze. Myślę, że każdy człowiek jest jak taka fala. Wdziera się w drugiego człowieka jak woda w ląd i zawsze coś z niego zabiera ze sobą. Zabiera to coś na zawsze. Jednocześnie człowiek jest i falą, i sobą, czyli człowiekiem. Jest więc czasem tym, któremu coś się wydziera, i czasem tym, który sam coś komuś wydrze. To dlatego zetknięcie się z drugą osobą zawsze nas zmienia.

– Myślisz, że to, że tu we dwójkę siedzimy, zmienia nas? Że jesteśmy w stosunku do siebie jak fala i ląd? Chociaż nie łączą nas żadne więzy oprócz przelotnej znajomości? – Ostatnie pytanie Marta zadała niezwykle ostrożnie.

– Na pewno. Przecież ja wypowiedziałem na głos swoje myśli, których nigdy wcześniej przed nikim nie wyjawiłem. Teraz to zrobiłem, bo tu nad morzem one się we mnie jakoś ułożyły i potrafiłem je zwerbalizować. To jest jakaś zmiana we mnie. Powiedziałem je tobie, więc nastąpi zmiana w tobie, bo ty będziesz teraz analizować sens tych słów. Albo się z nimi zgodzisz, albo nie. Ale zaczniesz analizować, czy mam rację. To, że to zrobisz, już będzie jakąś zmianą w tobie.

– Filozof z ciebie.

Maciek wzruszył ramionami i znów zapadło milczenie.

– Mogę o coś spytać? – odezwała się w końcu nieśmiało Marta.

– No?

Maciek spiął się lekko. A jeśli spyta, czemu tak sam siedzi? Czemu się izoluje? O czym myśli? Zacznie dociekać, dlaczego Aleks kazał jej go zostawić w spokoju? Co odpowie? Na szczęście pytanie Marty było z gatunku banalnych.

– Co ty studiujesz? Bo właściwie zapomniałam…

– Kulturoznawstwo. Ale to od października. Jest jeszcze czas.

– A reszta? Bo zapamiętałam tylko, że Michał filologię polską, a Ewa chyba psychologię.

– Tak. Aleks z Asią zdawali na anglistykę. Co do Spytka i Ani to przyznam, że sam nie zapamiętałem. Oni tak nie bardzo są z naszej paczki.

– Jak to nie z waszej paczki? Przecież przyjechaliście tu razem.

– Tak, ale oni są tu z kabaretem i...

I Maciek opowiedział jej o poznaniu ze Spytkiem. O tym, jak rok temu właśnie tu Michał doszedł do wniosku, że Ewa nie jest mu obojętna,

bo pojawił się Spytek. Wreszcie o kabarecie, nagrodzie na przeglądzie i aferze, jaka w związku z tym wynikła między Ewą a Białym Michałem. I tylko sprawę obecności Małgosi pominął. Nie chciał o niej mówić. Z nikim. A już na pewno nie z obcą dziewczyną. Nawet tak sympatyczną jak Marta.

– A czemu mówicie na niego Biały? – spytała Marta. – To brzmi trochę jak przydomek tego księcia mazowieckiego.

– To jeszcze z gimnazjum ta ksywka – odparł Maciek. – W klasie było dwóch Michałów. Jeden czarnowłosy, a drugi to ten. I tak już zostało. Czasem nawet zamiast używać imienia, to do jednego mówimy „Czarny", a do drugiego „Biały".

– A czemu wybrałeś kulturoznawstwo? – Marta wróciła do sprawy studiów.

– Zawsze interesowały mnie takie ogólnokulturowe sprawy. Literatura, film, muzyka. A moja wychowawczyni powiedziała, że to kierunek jakby stworzony dla mnie. Jesienią się przekonam, czy miała rację. A ty?

– Ja? Ja wybrałam coś właściwie podobnego…

– To znaczy?

– Historię sztuki.

– Na Warszawskim czy na UKSW? – spytał, choć właściwie nie wiedział, po co pyta.

Odpowiedź na to pytanie zupełnie go nie interesowała. Ale jakoś instynktownie czuł, że lepiej będzie spytać o cokolwiek, niż ryzykować pytania z jej strony. Przypadkowa znajomość może przecież potrwać dłużej niż dwa tygodnie spędzone na kempingu w Świnoujściu.

– Na UKSW – odparła.

Chciała dodać, że to zamiast architektury i chyba o to poszło jej przyjaciołom, którzy mieli z nią tu przyjechać, a do dziś nie dojechali. Ale ugryzła się w język. On się nie zwierza. Ona też nie powinna. Trzeba wykorzystać, że tu tak naprawdę nikt o nic jej nie pyta. Że może zaczynać swoje życie od nowa. Już naprawdę od nowa.

* * *

– Asia, śpisz? – Marta zapukała delikatnie w maszt namiotu.

– Nie. Jak chcesz pogadać, to wchodź.

Po chwili obie siedziały w namiocie. Aśka w śpiworze, Marta w nogach, na brzeżku jej karimaty, owinięta kocem, który wzięła ze sobą.

– Chciałam cię spytać o Maćka…

– Podoba ci się?

– Nie to – odparła Marta, choć nie wiedziała, czy mówi prawdę. Tego, czy Maciek jej się podoba, jeszcze nie analizowała. – Po prostu powiedział dzisiaj coś takiego.

– Co?

– Takie słowa, których nie umiem powtórzyć, ale zaczęłam się zastanawiać, co się w jego życiu stało takiego, że jest małomówny i unika towarzystwa. Mam wrażenie, że nie zawsze był taki.

– Wiesz. Jeżeli sam ci nie powiedział.

– No ja go nie pytałam. Jakoś nie miałam śmiałości, odwagi, jak zwał, tak zwał. Powinnam spytać?

– Ech – westchnęła Aśka i przez chwilę milczały. – Myślę, że jeśli sam ci nie powiedział, a ty nie miałaś śmiałości go pytać, to najlepszy dowód, że to nie pora na takie rozmowy.

– No tak. Za krótko się znamy.

– A co powiedział?

– Coś takiego, że każdy człowiek jest jak fala, która wgryza się w ląd. Jest też jednocześnie jak ten ląd. Gdy jest falą, wgryza się w drugiego człowieka i przez kontakt z nim coś mu zabiera. Gdy jest lądem, pozwala sobie coś zabrać.

– Cały Maciek.

– Myślisz, że gdy to mówił, to myślał o sobie jako o lądzie czy jako o fali?

– Jak go znam, to jako o jednym i drugim.

Zajęte rozmową dziewczyny nie przypuszczały, że ich szepty usłyszeli Ewka z Białym Michałem, którzy wracali właśnie spod prysznica. Po chwili sami w namiocie zaczęli dyskusję. Które z nich jest falą? Które lądem? Kto w kogo się wgryza? Kto komu coś zabiera? Kto czym przesiąka?

– Boże! Te filozoficzne dywagacje Maćka doprowadzą mnie kiedyś do szału – stwierdził Biały Michał, który właśnie przyznał, że bardziej czuje się lądem niż falą. – Wgryzłaś się we mnie. Zabrałaś mi duszę… – powiedział z wyrzutem do Ewy, która odpowiedziała w podobnym tonie:

– Raczej to ty wgryzasz się we mnie codziennie. Pilnujesz. Kontrolujesz. Zabierasz oddech i wolność. I nie wiem, czemu to robisz. Przecież on tu jest ze swoją dziewczyną.

– Masz na myśli Spytka?

– Tak. Nawet nie wiesz, jak zazdroszczę jemu i Ani, że mogą coś tworzyć razem. Że jedno jest wsparciem dla drugiego. Że u nich to wgryzanie się w siebie jest takie twórcze i pełne.

– U nas jest nietwórcze? – rzucił z rosnącym zniecierpliwieniem Michał.

– A jest? Pomogłeś nam cokolwiek przy kabarecie? Myślisz, że nie widzę, jak codziennie, gdy robimy na plaży próby, śledzisz nas znad komiksu i patrzysz z niechęcią, a nawet nienawiścią.

– Nie przesadzaj – odparł Michał tak spokojnie, jak nie on. Ten spokój najwyraźniej ośmielił Ewę. Postanowiła powiedzieć wszystko, co od kilku dni leżało jej na sercu.

– Nie przesadzam. Ja to widzę! I Spytek to widzi. Ania też to widzi. Ale oboje nic nie mówią. Tylko ja czuję, że mi współczują. Dziwią się też, że nie poświęcisz tego czasu, który przeznaczasz na pilnowanie mnie, na rozmowy z Maćkiem. Jemu chyba potrzebne jest jakieś wsparcie. Sam widzisz, że zamknął się w sobie, a rozmowa Aśki z tą Martą najlepiej to pokazuje.

Gdy następnego dnia Michał z Maćkiem poszli do sklepu po bułki do śniadania, padło pytanie o falę.

– O co chodzi? – spytał Michał.

– Marta ci mówiła?

– Nie mnie. Aśce opowiadała, a my z Ewką słyszeliśmy. W końcu wiesz, że ściany namiotu to nie ściany. Na kempingu nigdy nie możesz mieć tajemnic. Powiesz, o co chodzi?

– Domyśl się.

– O Małgosię?

– Yhm.

– No ale skoro zniknęła i nie chce mieć z tobą kontaktu, to…

– To nie narzucaj się? To chciałeś powiedzieć?

– No.

– A ty sam? Na siebie spójrz! Łazisz za Ewką wszędzie, choć sto razy mówiła ci, że to ciebie kocha.

– To co innego. Ja po prostu pilnuję.

– Ale po cholerę? Przecież to ją męczy! Wszyscy to widzą!

– Gdyby męczyło, toby powiedziała – stwierdził Biały Michał, jakby zapominając wieczorną rozmowę z Ewką, która otwartym tekstem powiedziała, że właśnie ją męczy.

Maciek jednak o tym nie wiedział. Nie interesowało go też tak naprawdę, jak wyglądają relacje między przyjaciółmi. Był od wielu tygodni skupiony tylko na tym jednym. Na zniknięciu Małgosi.

– Ja chcę po prostu zrozumieć – wybuchnął. – Może mnie nie chcieć. Ale niech powie, dlaczego zniknęła. Czemu nie chce się kontaktować. Czy nie uważasz, że należą mi się wyjaśnienia?

– Po co?

– Chociażby po to, bym się tak strasznie nie męczył!

Maciek przyspieszył kroku. Właściwie podjął decyzję. Wyjeżdża stąd. Natychmiast.

* * *

– Pakujesz się? Wyjeżdżasz?

Pytania zadane przez Martę nie wymagały jego zdaniem żadnej odpowiedzi. Rolował właśnie śpiwór i upychał rzeczy do plecaka.

– Coś się stało?

– Tak i nie – odparł.

– Wszyscy jedziecie?

– Tylko ja.

– Pociągiem… – zaczęła Marta i po chwili zaproponowała: – Mam samochód. Mogę cię podrzucić do Szczecina. Stamtąd będziesz miał więcej połączeń.

– Po co – burknął.

– I tak nie mam co robić. Sama waham się, czy nie wracać, ale głupio mi przed starymi. Spokojnie. Do niczego cię to nie zobowiązuje. Do niczego! – Położyła nacisk na ostatnie słowa i po chwili dodała: – Nawet nie myśl o zwracaniu mi za benzynę. Ja się chętnie przejadę. Właściwie już dawno powinnam pojechać tam do Muzeum Narodowego. W końcu jest okazja.

* * *

„Każdy człowiek jest jak taka fala. Wdziera się w drugiego człowieka jak woda w ląd i zawsze coś z niego zabiera ze sobą. Zabiera to coś na zawsze. Jednocześnie człowiek jest i falą, i człowiekiem. Jest więc czasem tym, któremu coś się wydziera, i czasem tym, który sam coś komuś wydrze. To dlatego zetknięcie się z drugą osobą zawsze nas zmienia" – myślała Marta, siedząc sama w ciemności na plaży. W tym samym miejscu, w którym jeszcze poprzedniego dnia siedziała z Maćkiem. Myślała teraz o nim. Drogę do Szczecina przebyli właściwie w milczeniu. Maciek odezwał się tylko raz.

– Na pewno zwiedzisz muzeum? – spytał, bo wciąż nie był pewien, czy nie jedzie do Szczecina tylko z jego powodu.

– Na pewno – odparła i jakby dla potwierdzenia swoich słów pokazała mu wystający z kieszeni samochodowych drzwi wydrukowany z internetu

artykuł o szczecińskich zbiorach. – Miałam wcześniej takie plany, ale ta sytuacja, że nikt do mnie nie dojechał, mnie rozbiła.

– Właściwie czemu nikt nie dojechał? – spytał Maciek, a po chwili jeszcze szybciej dodał: – Nie. Nie odpowiadaj. Nie moja rzecz. Ty mnie nie wypytujesz o moje sprawy. Ja o twoje. Niech tak zostanie.

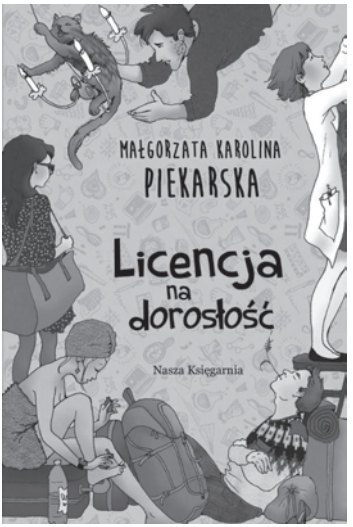
Pożegnali się przed dworcem nawet bez podawania ręki. Po prostu ona zatrzymała samochód, a on wysiadł. I tyle. Na odchodne powiedział tylko krótkie:

– Dzięki.

Nie odwrócił się. Gdyby to zrobił, zobaczyłby, że grafitowy opel astra stał jeszcze długo, a jego kierowca patrzył, jak odchodzi w kierunku kas dworcowych.

Nie wymienili ani telefonów, ani maili. Nie chciała się narzucać. Będzie miał taką potrzebę, to ją znajdzie. Zresztą… zostają jego przyjaciele. Ma jeszcze czas na wymianę adresów z nimi. I przemyślenie. Właściwie tylko dlatego, że chciała przetrawić, czemu znajomi ją wystawili, nie wyjechała pierwszego dnia. I teraz zastanawia się, czy ta fala, którą nowo poznany chłopak wdarł się w nią, mówiąc to, co powiedział, była przypadkiem. Czy też może nie ma przypadków? Tylko los celowo postawił na jej drodze tych ludzi, by obserwując ich związki, przeanalizowała też swoje życie, swoje postępowanie i swoje relacje z dotychczasowymi znajomymi? No i z rodzicami. Z rodzicami? Czy to w ogóle są rodzice?

Małgorzata Karolina Piekarska



Małgorzata Karolina Piekarska
Licencja na dorosłość
Stron 480
Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”
Warszawa 2019
ISBN 978-83-10-13351-9

Antoni Pieńkowski

Połówka

– Chłopak, wstawaj!

Janusz otworzył oczy, sennym wzrokiem spojrzał na sufit, przekręcił się na bok, zerknął w okno.

Ojciec stał blisko łóżka, przeczesywał palcami zwichrzone włosy, pogłaskał się po obfitym zaroście.

– Wstawaj! – powtórzył. – Zabijemy świniaka! – nieco podniósł głos.

Janusz przetarł pięściami oczy, podciągnął pierzynę, przeciągnął się na łóżku. – Tak rano? – zapytał nieśmiało.

– Rano. Nikt nie będzie słyszał. Sąsiedzi już poszli do kościoła.

Janusz przymrużył oczy, sen pod ciepłą pierzyną nie odchodził.

Wieczorem z ochotą poszedł spać. Matka starannie pościeliła na wygodnym szerokim łóżku, w gościnnym, największym pokoju. Późnym wieczorem zniosła ze strychu olbrzymią pierzynę, położyła ją obok kaflowego pieca. W jego wnętrzu trzaskało drewno, iskry pryskały na podłogę, gasły na blasze. Ojciec dokładał długie smolne szczapy, podrzucał małą szufelką węgla.

– Syp po trochu, węgla mamy tylko na miesiąc – upomniała go matka.

Przyjemne ciepło rozchodziło się po całym domu. Matka przysunęła pierzynę bliżej kafli, pomacała ręką. – Niech jeszcze chwilę poleży, aż dobrze się nagrzeje – powiedziała.

Podeszła do kuchni, uniosła pokrywki, zapach dogotowujących się ziemniaków rozszedł się po całym domu. Po kilku minutach talerze z parującym jedzeniem rozstawiała na stole. Mocno przypieczone, brązowe skwarki czerniły się na kopiastych talerzach kartofli. Zupa szczawiowa z dużymi, pływającymi oczkami tłuszczu wydzielała aromatyczny zapach.

Ojciec usiadł za stołem, przeżegnał się, szerokim łukiem sięgnął po łyżkę. Matka i Janusz usiedli obok niego, uczynili znak krzyża, jedli w milczeniu.

Zaraz po kolacji matka rozłożyła pierzynę na łóżku, wygładziła ją, równo roztrząsnęła pióra, poprawiła poduszkę, położyła wzorzysty dywan.

– Kolorowych snów – szepnęła cicho, wyszła z pokoju.

Nad ranem Janusz przebudził się, leżał nieruchomo, sen nie przychodził. O świcie zdrzemnął się. Przyśniła się fabryka, coś rzucili do sklepiku,

ludzie stali w długim ogonku, patrzyli na siebie wilkiem, złorzeczyli. Sprzedawczyni, pulchna niewiasta z długim jasnym warkoczem, uniosła ręce do góry, rozłożyła je w bezradnym geście, stanowczym głosem powiedziała:

– Więcej towaru już nie ma!

– Jak to nie ma? – zasyczała kolejka.

Starsze niewiasty bezczelnie, bez skrupułów podbiegły do przodu, zbiły się w gromadkę, spojrzały złowrogo, niektóre zaglądały za bufet.

– Nie ma, nie ma? – wrzeszczeli zdesperowani ludzie.

– Ukradli! – krzyczała babcia w szarym kapeluszu.

– Wzięli dla siebie! – pewnym głosem powiedział młody mężczyzna w szaroburym palcie.

– Złodzieje! – pienił się starszy człowiek o zniszczonej, pełnej zatroskania, twarzy.

Tłum ludzi stał wzdłuż lady, cisnął się, sypał obelgami. Ktoś krzyczał głośnym, histerycznym krzykiem:

– Chcemy jeść! Święta za dwa tygodnie!

Janusz ocknął się, otworzył oczy, z radością skonstatował fakt, że jest na wsi, że śpi w rodzinnym domu. Zakasłał, ojciec pojawił się w drzwiach, zerknął w stronę łóżka.

– Wstawaj, wstawaj, uwiniemy się raz dwa, połówkę świniaczka weźmiesz ze sobą, do Warszawy.

Wyskoczył z łóżka, przetarł zaspane oczy, ubrał się, wyszedł do kuchni. Gęsta para unosiła się w powietrzu, woda już bulgotała w garnkach, matka stała pośrodku, przesuwała pokrywki.

– Woda już dobra, do parzenia! – spojrzała na Janusza.

Ojciec szedł pierwszy w stronę chlewika. Trzymał w prawym ręku siekierę z długim styliskiem, w lewej dwa długie noże z ostrymi czubkami. Lód skrzypiał pod nogami, obłoczki pary z ust unosiły się w powietrzu. Biały, puszysty śnieg leżał na parapetach, cisza dzwoniła w powietrzu, dymy unosiły się prosto w górę,

Janusz ostrożnie stawiał nogi, kołysał się na cienkiej warstwie lodu, patrzył na plecy ojca.

Olbrzymi spasiony świniak odskoczył w kąt, zakwiczał, skoczył na płot. Ojciec rzucił na ryj kawał starego koca, rąbnął kilka razy prosto w łeb siekierą, jednym sprawnym ruchem wbił nóż w serce.

– Trzymaj miskę! – krzyknął.

Fontanna krwi wzbiła się w górę, wieprz zacharczał, rzucił się kilka razy, wyprostował nogi.

Janusz odwrócił oczy w drugą stronę. Miska przechyliła się, krew pociekła na obornik, poplamiła ręce.

– Uważaj, krew leci – upomniał ojciec.

Wieprz wierzgał nogami w powietrzu, podrzucał ryjem, coś w jego wnętrzu charczało, bulgotało w brzuchu.

– Krew nieś do domu! Niech matka gotuje czarninę!

Janusz rozprostował nogi, uderzył się głową o belkę, ale niósł przed sobą miskę z czerwonym, parującym płynem.

– O, już po wszystkim – ucieszyła się matka.

– Ojciec to stary rzeźnik – dodała tonem obiektywnej uwagi. – O tak, synu, w okupację za Niemca to nawet sąsiadom zabijał.

Przelała krew do garnka, wymyła miskę czystą wodą, schyliła się, podgarnęła popiół z popieliska.

– Powiedz, Janusz, co w domu.

– Dobrze, dobrze, mamo… – odpowiedział zdawkowo, enigmatycznie.

– To całe szczęście.

– A Jola z pracy zadowolona?

– Tak, tak.

– Zapisała się do partii?

– Na razie nie. Chcieli, żeby wstąpiła. Powiedziano, że jeśli się nie zapisze, to nie będzie brygadzistką.

– Ojej, i co wtedy? – zaniepokoiła się matka, poprawiła węzeł chustki pod brodą.

– Nie martw się, mamo, pójdzie do innej pracy.

– Znajdzie coś?

– Znajdzie. Dużo ludzi tak robi. Można na tym nawet zyskać. Niektórzy dostają od razu wyższe pensje – uspokajał.

Matka przelała wodę z dwóch garnków do wiadra, nakryła je grubą, wilgotną szmatą.

– Nieś szybko, bo wystygnie!

Janusz wybiegł na dwór, owionęło go mroźne powietrze, zerknął na drogę. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Cisza dzwoniła w powietrzu. Na drzewach iskrzyły się drobiny zamarzniętego śniegu.

– Idą już ludzie z kościoła?

– Nie, pusto na drodze.

– Pusto? – z niedowierzaniem pytał ojciec.

Gdzieś blisko zaszczekał pies.

Ojciec otarł spocone czoło, odłożył nóż na deskę, założył kurtkę, wyjrzał na dwór.

– Pusto, ludzie są zmęczeni. Kłopotów coraz więcej. Nawet do kościoła nikomu się nie chce – mruczał pod nosem.

Janusz powoli polewał świniaka wodą, biała skóra marszczyła się, strumyki wody ściekały na obornik. Ojciec poostrzył nóż na pasie, szybkimi ruchami golił łeb, uszy skakały, coś zacharczało w gardle. Spojrzał w nieruchome, szeroko otwarte oczy świniaka, przeszył go lęk.

Podał puste wiadro.

– Powiedz matce, żeby teraz ugotowała ukrop. Łeb i nogi są najtrudniejsze do obrobienia.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie, mroźne powietrze ostro uderzyło w twarz, delikatne płatki śniegu unosiły się w powietrzu.

W kuchni unosił się zapach gotowanych kartofli, matka przelewała wodę do naczyń, mieszała w garnkach, stała w kłębach pary.

Zerknęła na zegarek. Stary zegar z kukułką wskazywał dziesiątą.

– O, to jeszcze wszyscy pójdziemy na sumę. Czarnina będzie gotowa za pół godziny.

– Mamo, ja nie pójdę. Pojadę wcześniej. Jest mróz, oblodzone drogi, do Warszawy prawie sto pięćdziesiąt kilometrów – nieśmiało powiedział Janusz.

– Dziecko, zdążysz. To będzie dla nas zaszczyt iść z tobą do kościoła – próbowała przekonywać.

– Pójdziemy w święta – zapewnił syn.

Matka przystała z ochotą. Ale coś piknęło w jej sercu, jeszcze raz przenikliwym wzrokiem spojrzała na syna. Dostrzegła na jego twarzy odrobinę zniecierpliwienia. – Cóż, pewnie się spieszy – przemknęło jej przez myśl. Janusz zawsze się spieszył. Taki był od wczesnego dzieciństwa. Już w pierwszej klasie, kiedy przychodził do domu po lekcjach, siadał na swoim małym stołeczku do odrabiania lekcji. Wyjmował z piórnika pióro, atrament, ołówki i gumkę. Odrabiał lekcje. Kiedy już wszystko popisał, obliczył, narysował, zerkał na matkę. – Teraz już mogę coś zjeść! – mówił. – Taki był, taki pozostał – pomyślała.

Po chwili znów spojrzała na twarz syna. Coś zaniepokoiło ją w jego rysach. Zauważyła, że ostatnio stał się bardziej milczący. I coraz rzadziej przyjeżdżał. Pisał w listach, że ma dużo problemów w pracy. Nigdy nie

próbowała dociec, co to za problemy. Wiedziała, że syn pracuje w biurze. Nigdy go nie pytała na jakim stanowisku. Wiedziała, że urzęduje za biurkiem. I to jej wystarczało. Nie znała zresztą specyfiki pracy biurowej. Tutaj na wsi wszystko było takie proste. Od zawsze, od pokoleń. Sianokosy, żniwa, wykopki. Zimą można było trochę odetchnąć od codziennego kieratu. Pójść do sąsiadów, pogadać, powspominać. O sobie, o dzieciach żyjących gdzieś w dalekim mieście. Każdy z sąsiadów miał dzieci w mieście, w blokach. Słowo bloki wymawiano na wsi z szacunkiem. Każdy, kto zamieszkał w blokach, był tutaj, na dalekiej wsi, uważany za szczęśliwca.

Janusz zerknął na twarz matki, dostrzegł w jej twarzy zmęczenie.

– Mamo, a czy Krystyna Orszaków wyszła za mąż? – zaciekawił się.

Poczuł na czole nieco zdziwiony wzrok matki. Odniósł wrażenie, że otwiera usta, aby zapytać go, dlaczego o to pyta.

– Krystyna… Krystyna… Wiesz, wyjechała do miasta…

– O, to ciekawe… – wykrztusił.

Ojciec stanął w drzwiach, dyszał, ukradkiem zasłaniał usta dłonią, ocierał pot z czoła.

– Janusz, chodź, pomożesz powiesić świniaka, z matką pogadasz później, do wieczora jeszcze daleko – ponaglał.

– Tato, pojadę wcześniej, pewnie drogi są oblodzone.

– Zostać, zostań, pojedziesz jutro… – proszący ton zabrzmiał w głosie ojca.

Matka mimowolnie zerknęła na kalendarz wiszący na ścianie. Wisiała na nim karta z napisem 12 grudnia, sobota.

– Stary, zapomniałeś rano zedrzeć wczorajszą kartkę – spojrzała karcącym wzrokiem.

– A, rzeczywiście.

Ojciec jednym, energicznym ruchem zdarł kartkę.

– O, teraz wszystko w porządku, jest niedziela, trzynastego grudnia – ucieszył się.

Pół godziny później Janusz nacisnął starter. Polonez zacharczał, krztusił się, prychał, po chwili silnik zahuczał monotonnym tonem. Ruszył do przodu, samochód ślizgał się po oblodzonym podwórku. Powoli toczył się w kierunku bramy. Wysiadł, zerknął na połówkę świniaka leżącą w bagażniku. Mocno uściskał matkę, ojca, prosił o przekazanie pozdrowień siostrze.

Pod Warszawą prószył drobny śnieg. Tężał mróz, chociaż dopiero co minęła godzina dwunasta. Szosa była pusta. Coś dzwoniło w drutach, wiszących blisko jezdni. Za zakrętem stały dwa potężne transportery

opancerzone. Zza jednego z nich wyszedł żołnierz z karabinem, stanowczym ruchem dłoni dał znak do zatrzymania. Sprężystym krokiem podszedł do samochodu. Janusz uchylił szybę. Żołnierz zasalutował.

– A pan dokąd? – spytał.

– Do stolicy – Janusz uśmiechnął się.

Twarz żołnierza stężała. Jego kolega stał obok.

– Jak to, to pan jeszcze nie wie? – pytał ten drugi żołnierz.

– Dokumenty! Szybko! Dokumenty! – krzyczał pierwszy.

Ten z marsową miną na twarzy, przenikliwym wzrokiem zerknął na twarz Janusza, nachylił się, zajrzał do wnętrza samochodu, starannie spenetrował je wzrokiem.

– Łamie pan przepisy o stanie wojennym! – Janusz poczuł na twarzy surowy wzrok żołnierza w zielonym hełmie na głowie.

– Stanie? Jakim stanie? Stanie wojny? Jakiej wojny? Z kim ta wojna? – Januszowi plątały się słowa, był kompletnie zszokowany tym, co usłyszał.

– Jest stan wojenny – głos żołnierza przybrał surowy pouczający ton.

– Ja nic nie wiem… pierwszy raz słyszę… – usprawiedliwiał się Janusz, dobrodusznym wzrokiem patrząc prosto w oczy żołnierzowi.

– Telewizja podała… Radio mówiło…. – w głosie stojącego nieopodal żołnierza pobrzmiewała łagodność.

– Czasu nie było…

– Pewnie pan ze wsi wraca. Na wsi czasu jest teraz dużo – sentencjonalnym tonem zauważył drugi żołnierz zręcznym, zdecydowanym ruchem przekładając kolbę karabinu z lewej do prawej dłoni.

Przez jego twarz przebiegły przebłyski uśmiechu, poprawił karabin, podbiegł do samochodu, stanął blisko bagażnika.

– Proszę otworzyć bagażnik! – rozkazał.

Janusz poczuł, że przez jego plecy przechodzi fala dreszczy, narasta z każdą sekundą, olbrzymieje, zamienia się w jedno wielkie ognisko tężejącego strachu. Chwiejnym ruchem palców nacisnął dźwignię otwierającą bagażnik.

– O jaki fajny świniaczek! I jaki tłuściutki! – nieoczekiwanie komentował żołnierz skrupulatnie sprawdzający dokumenty.

– O, pewnie mamuśka mlekiem prosto od krowy go tuczyła – komentował drugi żołnierz.

Odszedł kilka kroków do tyłu, majstrował przy krótkofalówce, trzaski i szumy unosiły się w tężejącym od mrozu powietrzu. Coraz bliżej przykładał aparaturę, krzyczał, wykrzykiwał „Tu Osa – odbiór".

– Proszę jechać przed nami – rozkazał żołnierz, oddając dokumenty.

Weszli do komisariatu.

– Pan tutaj siada! I proszę czekać! – głos żołnierza o dobrodusznej twarzy stał się stanowczy, nie znoszący jakiegokolwiek sprzeciwu, oczy płonęły gniewem.

– A ta połówka?

– Połówkę zabieramy. Pojedzie do rzeźni. Naród czeka na mięso. Przecież Boże Narodzenie za dwa tygodnie…

Przy ostatnich kilku słowach w głosie wydającego polecenia dało się zauważyć moment wahania.

Po kilku minutach Janusz siedział na starym, mocno poskrzypującym krześle tuż za drzwiami wejściowymi do komisariatu milicji, w małym pomieszczeniu przypominającym przedsionek. W sąsiednich pomieszczeniach słychać było tupot nóg po podłodze, poskrzypywania drzwi, ktoś głośno krzyczał:

– Kur… mać, kur… mać!

Zza pokoju po prawej stronie dobiegały odgłosy gwałtownej szamotaniny, ktoś błagalnym głosem prosił:

– Nie bijcie, nie bijcie…

Trzasnęły drzwi, szczęknął zamek, krzyk bitego człowieka zamienił się w przeraźliwy charczący jęk, co kilka chwil zamieniał się w cichy szloch.

Nagle wszystko ucichło, rozległo się zgrzytanie klucza nerwowo przekręcanego w zamku, zadudniły sprężyste kroki na korytarzu, ktoś szarpnął za klamkę. Janusz ostrożnie przesunął krzesło bliżej ściany, przyłożył ucho, nasłuchiwał. Ktoś krzyczał:

– Radio!

– Włącz radio!

Za drzwiami rozległy się trzaski, pojedyncze słowa niosły się w powietrzu, chaotyczne, nieukładające się w logiczny ciąg. Nierytmiczne dźwięki urwały się w pół słowa, z radia niósł się jednostajny szum, przypominał odgłosy płynącej rzeki. Do uszu Janusza dobiegły rwące się słowa:

– Wojskowa ra…rada oca… ocalenia na…. narodowego ogł… ogłosiła stan… woj… wojenny na obszarze całego kraju.

Antoni Pieńkowski

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Światło

Droga jest wąska. Samochody jadące z naprzeciwka nie są w stanie się wyminąć. Jeden musi się cofnąć. Tylko który? Nie ma tu żadnej reguły. Zależy to od mniejszej lub większej uległości kierujących. Po obu stronach drogi stoją domy, różnego kształtu i koloru niczym grzyby w lesie. Małe, długie, wąskie, przegubowe i zakrzywione. Gdzieniegdzie strzelają jednym piętrem w niebo. Otoczone dychawicznymi podwórkami, tworzą ciąg tanich, obskurnych budynków gospodarczych, w których życie umieściło ludzi.

Na pewno są tu szczury. Szambo obok śmietnika, śmietnik obok szamba. Psy, koty, gołębie… Peryferie.

Tutaj mieszka pan Stefan. A właściwie – tutaj stoi. W czasach, które zapisały się w zbiorowej pamięci towarami spod lady i pustymi półkami, zajmował się staniem w kolejkach. Teraz tkwi w furtce niczym relikt tamtej przeszłości i patrzy w przestrzeń łączącą przelotową ulicę wielkiego miasta z błotnistą drogą peryferii.

– Łap skurczybyka! – krzyczy rozpędzony sześciolatek, usiłując schwytać wystraszonego kundla.

Pan Stefan ma pocerowane i wytarte spodnie, marynarkę świecącą na rękawach, pomarszczoną twarz. Opiera się o furtkę. W prawej ręce trzyma laskę. Ręka drży.

– Tak krzyczą, aż wyszedłem zobaczyć – zaczepia kobietę z wózkiem.

– Nie mają się gdzie bawić, to latają po drodze.

– Zapewne – przyznaje starzec.

Ręce trzęsą się nieustannie. Język mlaszcze. Nie może tego powstrzymać. Właściwie dawno już przestał próbować. Lewa powieka drży. Też bezwiednie. Kiedy czuje jej drżenie, wie, że nocą przyjdzie zmęczenie. Wielkie i ciężkie. Nie przyniesie bólu tylko pustkę – brak myśli, wspomnień, obrazów. A gdy odejdzie, zabierze ze sobą nawet pojedyncze słowa, okaleczy pamięć, zmieni ją w atrapę. „Dziwaczeję" – usprawiedliwia się. Nie chce przyznać, że czuje lęk: „Co będzie, kiedy przestanę myśleć? Co będzie, gdy zapomnę, jak się to robi?".

– Pan się położy, po co tak stać całymi dniami – mówi kobieta z wózkiem. Lawiruje między kałużami, tam i z powrotem, aż dziecko uśnie.

– Leżałem już dziś. Ale jakoś nie mogę.

Poranne zmęczenie zostawiło po sobie nieporządek myśli i obawę. Tę co zwykle. Że już nic się nie zdarzy. Od tak dawna – trudno powiedzieć od kiedy – życie przestało go dotyczyć. Tylko błotnista droga wąska jak szalik wisielca jest wciąż namacalną rzeczywistością i chcąc nie chcąc, łączy go ze światem. Wprawdzie nie dotrze do jej krańca na obolałych nogach, ale widzi go: punkt, w którym zaczyna się życie świata. Pan Stefan nie chciałby utracić łączności ze światem. Dlatego stoi w furtce i patrzy. Niekiedy wydaje mu się, że dopóki stoi, czas go nie dosięgnie. Jakby śmierć przychodziła tylko tych, którzy się położyli. „Dziwaczeję" – myśli, ale stoi, bo jeśli, da Bóg, coś się wydarzy, to nie przeoczy.

– W piłkę sobie pograjcie, dzieciaki – mówi do szarpiących się chłopców.

Dzieci plują na siebie i uciekają.

Starzec przywiera wzrokiem do wylotu drogi. „Auta… Zachodnie… Ładne… Szybkie… Ale trabantów już nie uświadczysz… tak jak koni".

Oczy widzą nieostro. U wylotu drogi pojawia się coś ciemnego. Samochód. Duży. Ciężarowy. Przypomina wieloryba wciśniętego w rurę kanalizacyjną. Ledwie mieści się między ogrodzeniami.

„Śmieciarka? Nieśmieciarka?" – wargi poruszają się z szelestem. Krótka myśl: „Może by tak po okulary?". Jednak nie. Pan Stefan wychyla się tylko bardziej. Opiera obie dłonie na lasce. „Nieśmieciarka. Ciężarowy, ale nie śmieciarka".

Samochód staje przy słupie oświetleniowym. Zza szoferki wynurza się stalowe ramię i wędruje w górę. Ktoś stojący na podnośniku sięga do lampy. Odkręca żarówkę.

Pan Stefan robi parę kroków ku wylotowi drogi.

– Nie może być? – szepcze.

Samochód się zbliża. Hamuje przy kolejnym słupie. Następnym. Kolejnym. Aż dociera do miejsca, w którym stoi starzec.

– Z drogi, dziadku! – woła mężczyzna. Ma roześmiane oczy i niemodne sumiaste wąsy.

Pan Stefan wraca do furtki.

– A wy co? – pyta w przestrzeń. Trudno mu zebrać myśli. – Żarówki wymieniacie? – pyta przytomniej.

– Na oszczędne. Jaśniejsze – mówi mężczyzna.

– Nie może być. Święto jakieś?

Na wprost domu pana Stefana stoi lampa uliczna, ciemna chyba od zawsze. Być może kiedyś świeciła, ale kiedy? Nie pamięta. Wstrzymuje oddech. Samochód zatrzymuje się przy jego lampie. Pan Stefan uświadamia sobie, co zaraz nastąpi. Ale nie wierzy. Śledzi ruchy mężczyzny. „To dzieje się teraz? – myśli – TERAZ". Od tak dawna w jego życiu nic nie działo się teraz. Wszystko, co warte uwagi, wydarzyło się przedtem.

– Wybory będą. – Mężczyzna zapala papierosa. Siada na przyczepie. Nie musi się śpieszyć. Ma rozmówcę.

– Jakie? – pyta starzec.

– Demokratyczne. Jak zawsze.

– Zapewne. Nieraz już były. Ale żarówek nie wkręcali… nie przypominam sobie. Tylko w osiemdziesiątym dziewiątym, to tak.

Mężczyzna zaciąga się papierosem.

– Musieli wymieniać i potem.

Pan Stefan szuka w pamięci. Czuje narastające podniecenie podszyte niepokojem równie ożywczym jak rzeczywistość, w której właśnie bierze udział.

– Dużo macie tych żarówek? Oszczędnych? – upewnia się. Od kiedy sam pogrążył się w mroku, każde światło jest cenne, nawet sztuczne.

– Starczy.

– Zapewne. Ale ta tutaj lampa to felerna jakaś. Popali parę dni, błysk! i gaśnie. Tak już parę razy… Po córki, Krystyny, wyjeździe do Stanów… i jak Adam, syn, świętej pamięci miał dwadzieścia lat.

– A mówiliście, że nie wymieniali.

– Pamięć dziurawa. Teraz jakoś wszystko się przypomniało. Zawsze gasła. A te inne też ledwie się ćmią. Taka droga…

Mężczyzna bawi się nową żarówką. Przerzuca ją z ręki do ręki.

– Na wybory pójdziecie, dziadku? – pyta.

Teraz pewnie by poszedł. Czuje w sobie tyle chęci. Teraz zjadłby nawet kapuśniak, choć nie wolno, bo wątroba chora.

– Może pójdę. Sąsiad podwiezie… Może. Tak. Ta nasza droga. Zimą niewiele sobie człowiek popatrzy. Ciemno stać, jak w katakumbach.

– No to teraz będzie widno jak na Marszałkowskiej.

– A choć dobre te żarówki?

– Dobre, dobre.

– Będą paliły?
– Będą!
– Gwarantować nie można?
– Nie można.
– Pewno chińskie?
– Jak nie zgasną, to się będą palić, dziadku.
– Zapewne. Jak nie zgasną… to zapewne… tak. Sprawdzić by nie można?
– Sprawdzane.
– Bo ta moja jakaś felerna. Zaraz gasła. Markotnie stać…
– Włączą linię, jak zrobimy całą dzielnicę. Jeszcze godzina, dwie i zapalą. Cierpliwości.
– Tak. Kiedy dla mnie parę godzin to już i życie.
– E, nie trzeba tak. Bóg wie, ile go jeszcze przed wami. Może i mnie przeżyjecie.
– Zapewne. – Pan Stefan stara się wykrzywić twarz w uśmiechu. – Tak… – Kreśli coś laską na piasku. Bezkształtne coś. – Każdy ma swój czas, kiedy żyje naprawdę. A ten mój już minął. Potem to tylko trwanie. Jakby ktoś człowieka na sznurku zawiesił. Wiś, pajacu. Nic nie zdziałasz… Człowiek, jak wczorajszy dzień. Pan sprawdzi tę żarówkę. Żeby na pewno paliła.
– Będzie palić. Jak jupiter!
– Żeby na pewno. Drzwi będę miał oświetlone. Podwórko. Furtkę.
Czuje radość. Nie stara się jej ukryć. To nie drżenie rąk skrywane bezskutecznie. To radość. A radość to czas pożądany. Nie niszczy, przywraca życiu.
Mężczyzna wchodzi na podnośnik.
– Już nie myślałem, że coś mnie jeszcze ucieszy. Choć wczoraj coś mnie tknęło. Ale na deszcz czy na burzę? Bóg jeden wie. A tu patrzcie, państwo, takie wydarzenie. Żarówki. Na naszym zadupiu… A co w tych wyborach takiego, żeby radość ludziom sprawiać?
– Wolne!
– Chyba zawsze były wolne, bo nigdy nie chodziłem.
– To na te trzeba iść. Choć raz porządzić.
Mężczyzna wykręca starą żarówkę
– Jak trzeba, to już nie takie one wolne. A może ja swoją dam? Żarówkę?
– Spokojnie. Jak nie zgaśnie, to będzie się palić.
– … jak nie zgaśnie… tak.
Zgrzyt. Wkręcona. Samochód drży. Zaraz podjedzie pod następny słup. Pan Stefan wpatruje się w lampę.

– Pilnujcie jej! – woła mężczyzna z życzliwą kpiną.

– Zapewne – mówi starzec, nie odrywając wzroku od żarówki. Słyszy drwinę w głosie mężczyzny. A niech tam… Przecież lepiej stać i pilnować, niż tylko stać.

„Dziwaczeję – wraca dawna myśl. – Nie szkodzi. Najważniejsze, że będzie widno stać".

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Z przekładów Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Anastáz Opasek OSB (1913-1999)

Włosy

Szczupłymi palcami
dotykasz strun
swoich włosów
a cichy ich śpiew
w wielobarwnej skali
rozkołysze powietrze
aż lecą iskry
dolecą aż
do mego serca

Maria Magdalena
u nóg Jezusa
włosami zasłonięta
na wieczny czas
jest utkany
ten płaszcz

Usta

Piszą w powietrzu
albo na innych ustach
twój wizerunek
poznanie życia
zbawionego,
utraconego,
rozkoszy,
świętości

piszą przesłanie
do drugiego człowieka
i do świata
nawet kiedy milczą
mówią
swoim kształtem

Oczy

Radość i ból
szczęście i śmierć
oczy mówią
każdym językiem
rozumiesz?

Kto umie czytać
odczyta mowę
pisaną kolorami
w tonacjach miłości,
żalu, nienawiści,

wszystko, co wiesz,
wszystko, czego chcesz,
wszystko, czego nie chcesz
tak mówią

Mowa

Mowa jest powabna
gra w chowanego
z ciszą,
może pieścić i głaskać
jeśli nasycona miłością

wystarczy kilka słów
żebyś się ucieszył,
a zaledwie zwykły dźwięk,
kiedy nie rozumiesz,
może być muzyką aniołów,
uważajcie, aby taka była.

Twarz

To Rafael malował ciebie,
o, słodka twarzy,
oto Bóg ciebie pogłaskał,

a ślad jego ręki
świeci nam
w ciemności

winem spojrzenia
jest światło twych oczu
złączone z pogodą
dziecięcego czoła

Twarz mojej matki

Twarz matki mojej
w niej wyryte lata
mojego więzienia,
jedenaście pręg
niepokoju, wspominania,
modlitw, kontemplacji,
bezsennych nocy,
samotności tylko z Bogiem

Twarz martwa dziś
a jednak żywa,
twarz moja
cień twarzy jej

Z czeskiego przełożyła Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Jan Anastáz Opasek OSB (1913 Wiedeń – 1999 Rohr), ksiądz katolicki, pisarz, działacz i duszpasterz opozycji, organizator spotkań intelektualistów i młodzieży. Arcyopat klasztoru benedyktynów na Brzewnowie w Pradze. Za czasów komunizmu robotnik i więzień polityczny zwany „opatem-chuliganem". Groziła mu kara śmierci, został skazany na dożywocie pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Watykanu. Emigrant w klasztorze benedyktynów w Rohr (Bawaria). [kbj]

Josef Škvorecký

Dusza jazzu

(*oda do Evy Pilarovej*)

Przypominam sobie
już wtedy
za protektoratu w nocy
nad hakenkreuzem trzepotał
swingbluesjazz
Marihuana synkop
miała nas
całkiem w swojej mocy
Blues saksofonu na nas padał i chwiejąc się nacierał
Nie było z nami jednak żadnej
która miałaby to
co wielka
czarna
Ella;
JAZZ! JAZZ! JAZZ!
A dziś mamy tu
Cud
swing i scat
Ptaki dżezując
Piszczą jej na palcach
kansaskie riffy płyną
Wiatrem synkop –
Łagodnie i szaleńczo
Leon gra na jej strunach głosowych
(w swym harlemskim grobie słucha tego Jeżek)
Bessie
Bluesem
Budzi
Synkopowane raje
W chrapliwych
świętych
omdleniach
JAZZ! JAZZ! JAZZ!
Już wtedy

dawno
za czasów hakenkreuza
gdy doktor Swing leczył nas po nocach
Louis Satchmo
półbóg
w szelaku głosił z nami
Nadejście tej córy jazzowych bogów –
A teraz jest z nami!
Nad hukiem świata
Ku gwiazdom
Na które
Buddy Bolden dmuchnął
W rydwanie saksofonu
lekkim rockiem
wzlatuje

Na skrzydłach
synkop
altowych
Dzika niepokalana
słodka i szalona
Dusza
Jazzu

Wiersz zamieszczony na wkładce do płyty LP Evy Pilarovej

Z czeskiego przełożyła Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Josef Škvorecký (ur. 27 września 1924 w Náchodzie, zm. 3 stycznia 2012 w Toronto) – czeski pisarz, tłumacz literatury i wydawca. Studiował medycynę i filozofię, ale został zawodowym pisarzem. Od 1969 w USA, pod koniec życia na stałe w Kanadzie. Zasłynął zwłaszcza pięcioma powieściami, których bohaterem jest Danny Smiřický, literackie alter ego autora: *Tchórze* (uważaną za jedną z najlepszych powieści XX w.), *Siódmy batalion czołgów, Cud, Fajny sezon, Przypadki niefortunnego saksofonisty tenorowego*. Autor esejów, reportaży oraz powieści przygodowych i kryminałów, tłumacz literatury amerykańskiej na czeski. Miłośnik jazzu, w młodości saksofonista w amatorskim zespole muzycznym. [pmn]

Przekłady Danuty Cirlić-Straszyńskiej

Svetislav Basara

Rozmyślania w historycznym jarze[1]

Pewnego razu, jadąc niesamowicie zniszczoną drogą Mladenovac-Rudnik, skręciłem zwabiony drogowskazem, aby pierwszy raz w życiu odwiedzić kultowe miejsce serbskiej historii – Jar Maricevicia. Takich kultowych miejsc nie brak na świecie, teraz jest to bardzo modne – i wszędzie miejsca te są zadbane, niekiedy nawet monumentalne, przywozi się tam grupy uczniów, przyjeżdżają całe rodziny i nie ma w tym nic złego, przeciwnie: uczucia narodowe, niewykoślawione, są korzystne dla historii i życia, a miejsca kultu narodowego podsuwają takie właśnie uczucia, społecznie pożyteczne.

Do czego było podobne nasze miejsce kultu, Jar Maricevicia? Co zobaczyłem? Ano wąwóz, kocią jebalnię, ogrodzoną drewnianym płotkiem, wyłożoną jakimiś płytkami, bieda z nędzą. Gotów bym się założyć, że ten jar pod każdym względem wyglądał sto razy lepiej w czasach, gdy Karadjordje spotykał się tu z powstańcami, a kiedy ja odwiedziłem to miejsce – wiosną 2013 roku – usiane było puszkami po piwie, niedopałkami, tłustymi papierami, plastikowymi torbami, nie mówiąc o zużytych prezerwatywach, znakomicie wtapiających się w ten krajobraz.

Maricevicia Jar nie wzbudził we mnie – jako w Serbie, który przybył tu dobrowolnie – wrażenia o wielkości i znaczeniu serbskiej historii. Przeciwnie. Przywodził na myśl improwizację i zaniedbanie. A przecież od kilku lat odbywały się tu obchody serbskiego święta narodowego – przy akompaniamencie gwizdów i wyzwisk gawiedzi zgromadzonej „dla uczczenia Dnia Państwowości". Czego zresztą można oczekiwać w państwie, które od ponad siedemdziesięciu lat nie było samodzielne? A jednak w jakiś sposób radziło sobie i jakoś, pod różnym nazwami, przetrwało.

Czułem się w Maricevicevym Jarze jak nieproszony gość, przyznaję: zmysłem wrodzonym tylko Serbom wyczuwałem, że ta właściwie półżywa instytucja wie, iż nie oddaję należnego jej historycznego szacunku, dlatego nie okazuje mi gościnności. Zastanawiałem się tu, w Maricevicevym Jarze, jak by wyglądała historia Serbii, gdyby pojedynek Karadjordja

1 Tytuł pochodzi od tłumaczki, proza zaś z najnowszej książki Basary *Atlas pseudomitologii*, Belgrad 2018.

z ówczesnym właścicielem Jaru, Todosijem Marićeviciem – o prawdziwym imieniu Teodosije, zmienionym na zasadzie wiadomej skłonności Serbów, aby wszystko, co „obce", przekręcić i dostosować do ich fonetyki – gdyby ten pojedynek skończył się inaczej. Todosije, jak na kowbojskim filmie, był szybszy i bliższy zwycięstwa, a historia potoczyłaby się wówczas innym, (zapewne niewiele lepszym) torem – ale pistolet mu się zaciął i nasz wódz zastrzelił go z zimną krwią.

Zaledwie kilka lat później topór, którym został zabity Karadjordje, nie zawiódł, a to znowu skłoniło mnie do rozmyślań, w jakim kierunku potoczyłaby się historia Serbii, gdyby to Karadjordje zabił kuma Miłosza, co łatwo mogło się zdarzyć, jako że wódz był szybki w strzelaniu, a jeszcze szybszy w jataganie. I wreszcie chciałem się zastanowić, jak wyglądałaby historia Serbii, gdyby bratobójstwa – pozostawionego nam w spadku przez powstańców – w ogóle nie było. Zrezygnowałem jednak, pomyślawszy, że historia serbska bez bratobójstwa, sama w sobie, byłaby absurdalna i niesmaczna.

Jeżeli myśląc o historii serbskiej, człowiek nie padnie na kolana i nie zapłacze, czuje, że jego myślenie – w rzeczywistości myślenie w ogóle – nie jest w tym wypadku pożądane. Historia serbska należy do ludzi kierujących się uczuciami i do obiektów ich emocji – postaci historycznych skłonnych do bratobójstwa, które zazwyczaj budzi najsilniejsze emocje i skłania do budowy cerkwi – przybytków pokajania. Serbska historia nie jest dla każdego. Nie ma tu miejsca dla ludzi przeciętnych, ona należy do historycznych gigantów albo statystów. Gdyby historię serbską wyobrazić sobie jako mapę, byłaby to mapa niebywale wielkich rozmiarów, 1:15 250 000 powiedzmy, mapa, na której nie ma detali, pejzaży, łąk, strumieni, zagajników, wsi, miast ani naturalnie – ludzi. Może jest to, pomyślałem, (metafizyczna) przyczyna tego, iż rzeczywiste serbskie pejzaże, wsie, miasta i ludzie są tak zaniedbani, szczerbaci, kaprawi, beznadziejnie zarośnięci chwastami, ostem, i toną w śmieciach.

Serbia i jej historia, pomyślałem w Marićevićevym Jarze, działają *en gros*; najpierw planują swoją historię: odnowimy cesarstwo Duszana od Budapesztu do Salonik, z wyjściem na morze, a potem – potem będziemy się uczyć, pracować, leczyć, budować drogi, zagospodarujemy wsie i miasta.

Bez wątpienia tak właśnie by zrobiono, gdyby w tym czasie wsie, miasta, a także większość ich mieszkańców omal nie zniknęła z powierzchni ziemi. W serbskiej historii, pomyślałem bluźnierczo, tylko umarli czują się jak w domu, i to nie wszyscy umarli. Również ci w duchu synodalnym, który

nie czyni różnicy między żywymi a umarłymi (wszystko to są Serbowie!), poddanymi kaprysom serbskiej historii. Niejeden serbski zmarły – a przyszedł mi do głowy może najlepiej wykształcony i uzdolniony Slobodan Jovanović[2], który spędził dziesiątki lat jako w opinii serbskiej *persona non grata*, aby w jego życiu pozagrobowym nagle się to odmieniło: po śmierci został zrehabilitowany – on i pamięć o nim. Podobnie stało się z królem Piotrem II, któremu Serbowie, zniesmaczeni jago zdradą, zabronili w plebiscycie powrotu do kraju. A gdy zmieniły się okoliczności, zrehabilitowano go i wrócił (głęboko) do ziemi rodzinnej, nie wiadomo który już raz pochowany w cerkwi na wzgórzu Oplenac, gdzie za nim łzy wylewano.

Prawdę mówiąc, niespecjalnie żal mi króla Piotra II i jego losów, nie był to jakiś nadzwyczajny król, a ponieważ, jak wiadomo, nikogo nie zabił, nie był też godnym następcą założyciela dynastii, wielkiego Karadjordja. Wydało mi się jednak, że zwłoki króla zostały wykorzystane w obrzydliwym, pogańskim obrzędzie, mieszance wołoskiej magii i wiejskiej polityki.

Tak to jest z serbskimi dynastiami. Gdy sprzeniewierzyli się tradycji, przestali zabijać politycznych (i wszelkich innych) przeciwników, Karadjordjeviciowie stracili władzę (niekiedy także i głowy), a znów Obrenoviciów – gdy przestali poniżać i szykanować korpus oficerski – oficerowie zaskoczyli we śnie, zaszlachtowali i wyrzucili za okno.

O ile bardziej, pomyślałem nieco później, historia mojej długowiecznej ciotki jest stabilna od historii Serbii! W ciągu 98 lat swego życia moja ciotka przez cały ten czas była sobą, natomiast Serbia, ledwo dwukrotnie od niej starsza, była wasalnym księstwem, suwerennym księstwem, królestwem, następnie socjalistyczną, i w końcu demokratyczną republiką. A jednak – pomyślałem – przez cały czas była tą samą Serbią, w której wszystko zmieniało się błyskawicznie – tylko po to, aby nigdy nic się nie zmieniło.

Svetislav Basara (ur. 1953), prozaik serbski, eseista, dramatopisarz, publicysta. Swoją prozę, utrzymaną najczęściej w konwencji groteski i satyry, przedstawił w wielu tomach opowiadań i powieści. U nas znany dotychczas z fragmentów zamieszczonych w prasie literackiej. W przygotowaniu jest tom wybranych jego opowiadań *Letnie przesilenie* (*Książkowe Klimaty*).

2 Slobodan Jovanović (1869-1958) – prawnik i historyk z wielkim dorobkiem, profesor Uniwersytetu Belgradzkiego. Podczas II wojny światowej w rządzie londyńskim był prezydentem (1942-1943) i przedstawicielem ministra wojska, generała Draży Mihailovicia. Skazany zaocznie w procesie D. Mihailovicia, po latach doceniony jako patriota, uczony i mąż stanu.

Stevan Tontić

Relacja z ogrodu zoologicznego

Pewnego dnia rozniosła się po mieście, z tamtej, nieprzyjacielskiej strony straszliwa wieść: o Serbiętach w paszczach lwów! Podobno Muzułmanie rzucali serbskie dzieci głodnym, krwiożerczym zwierzętom w ogrodzie zoologicznym.

– Co też wymyślili, Allachu wszechmocny! – oburza się nauczyciel Alispahić. Lwy głodują tak samo jak my, to czemu im nie rzucić młodego serbskiego mięsa, co? … A ludzie będą mówić: ci Muzułmanie gorsi są od Serbów!

Nie ma sprawy – wzruszają ramionami niektórzy sarajewscy Serbowie. Głupie reżymowe kłamstwo!

Do nas dociera to, co mówi strona muzułmańska: bośniacko-chorwacki związek antyserbski. Tak czy inaczej, ja w to nie wierzę.

Jest późne popołudnie, dzień ciepły i pogodny, nasze towarzystwo zebrało się pod ścianą od strony podwórza. Miszo, Sulejman-Sule i ja z tablicą do szachów, a przy sąsiednim stoliku Hasan z kumplami i – remisem. Boimy się kuli, ale kule i tak nadlatują jak chcą. Milka z moją Jeleną i małą Azrą przy ogieńku, który raz po raz gaśnie, zamierzają jednak usmażyć racuszki. Co pewien czas przedefiluje jakiś żołnierz, zajrzy policjant, któremu wcale nie chodzi o nasze gry i spekulacje szachowe. Jest też najżywsze znane mi stworzenie ludzkie: trzyletni chłopczyk Ilja; woła dużego czarnego psa i biega za nim po niekoszonym trawniku między wysokimi domami.

– Ja też o tym słyszałem – mówi wujek Džemo. – Bóg jeden wie, co nas jeszcze czeka…

– Najlepiej niczego nie słuchać, prawda, Mito? – zwraca się do mnie Sule, stawiając e4.

– Tak jest – odpowiadam mu bez namysłu, stawiając e5. – Tyle że wszystko to dociera do naszych uszu: eksplozje, wiadomości, oświadczenia, wszelkie zło i głupota.

– Każdy wie, że to obrzydliwe kłamstwa – uzupełnia Hasan. – Niesłychane!

Alispahić z kolei wyciąga Njegosza, genialnego wieszcza Czarnogórców i Serbów, który powiedział: „Niech będzie, co być nie może!”. I prowokuje

mnie, chciałby usłyszeć, co myślę na ten temat. Postanawiam jednak milczeć.

– Bujda o dzieciach i lwach to ohydna propaganda – wypowiada się Miszo.

– Ten wieprzek z telewizji za kilka marek gotów by sprzedać rodzoną matkę! – krzyczy Milka.

– Tacy by dzieci rzucali lwom, tacy! – przytakuje Alispahić. – Ale nasze, muzułmańskie. Ciekawe, co jedzą serbskie lwy, tyle ich mają w Belgradzie. Kotlety cielęce? … A gospodarcze embargo?

– I niedźwiedzie, i wilki – dorzuca mała Azra. A Milka głaszcze ją po głowie.

Sule zdążył już przegrać. Siada Miszo.

– Gdybyśmy byli tacy jak oni – ciągnie Alispahić – czy taki mały mógłby biegać po łące, bawić się i zaśmiewać? A tutaj nikomu nie przeszkadza, że to Serbiątko, a może nawet ruski malec, z tym imieniem… Bo my jesteśmy demokratami…

– Niech sobie biega ten malutki! – przerywa mu wujek Džemo. – Widzisz, jaki jest żywy, niczego się nie boi, można powiedzieć, pełen optymizmu. Chodź no tu, Iljo, chodź do swojego Džema!

– A to kłamstwo o dzieciach i lwach osobiście zdementuję – zapowiada Alispahić. – Jako Boszniak, człowiek i pedagog. Jutro pójdę do ogrodu zoologicznego, wszystkiego się dowiem: co teraz jedzą zwierzęta, skąd się bierze mięso dla lwów, i tak dalej. Napiszę o tym do gazet!

– Odbierasz pracę literatowi! – żartuje sobie Hasan.

– „Literata" pisanie o takich rzeczach za bardzo chyba nie pociąga. Pozwól człowiekowi grać w szachy! – znam ten głos, ptaszku, twój przymilny świergot.

– Ale wasz reportaż, Mito…. taki *stylistyczny*… To by podziałało.

– My już wiemy, jak się żyje w skórze zwierzęcia – wtrąca Hasan. – Nie musisz nas opisywać! Jesteśmy, niestety, największymi zwierzętami na tym świecie!

– Tu chodzi o dzieci, o serbskie dzieci i o Boszniaków – włącza się Milka. – Napisz, bracie, że to nieprawda, że ci z Pali kłamią. Jeżeli trzeba, ja, Boszniaczka pochodzenia serbskiego, też to podpiszę.

– Kobiety, co z tymi racuszkami? – upomina się Sule. – Głodny jestem jak wilk, nie mogę się skupić. I znów przegrywam!

A oto i racuszki – gąbczaste, pachnące… Z pachnących rąk naszych pań, cudotwórczyń.

Minął prawie tydzień – Alispahicia i jego śledztwa ani śladu. Ogród zoologiczny daleko, komunikacja żadna, każdy ruch niebezpieczny.

Siedzimy znowu w podobnym składzie, gdzieś o zachodzie słońca. Ilja ugania się za czarnym psem: tym dwóm, i tylko im, jakby nie groziła utrata życia.

Nagle zza rogu wyłania się Hasan, a za nim Milka, oboje zagadkowo uśmiechnięci. Coś nam chcą powiedzieć, coś specjalnego.

– Oj, ludzie, historia z dzieckiem rzuconym lwu to prawda – zaczyna Hasan, który *nareszcie* wie. – Prawda!

Zdumieni, nie wierzą mu, niewiernemu, który w Belgradzie zanadto zadawał się z Serbami, aby teraz powiedzieć jedyną prawdę: że to monstrualne serbskie kłamstwo!

– To prawda! – mówi nasz dzielny mechanik samochodowy. – Pierwszy raz czetnicy powiedzieli prawdę.

Tu nadbiegł Ilja, a za nim pies. Pies zakręcił ogonem koło spódnicy Milki, powąchał i cofnął się do męskiego towarzystwa.

– Efekt zaskoczenia już osiągnąłeś, teraz możesz powiedzieć, o co chodzi – mówię do Hasana, który znacząco wpatruje się w niebo.

– Dziękuję panu, dziękuję – odpowiada. – A chcecie to usłyszeć?

– Nie zgrywaj się, mów!

– Otóż kiedy czetnicy rozpuścili, czyli „oswobodzili", dom wariatów w Jagomirze, pewien wariat wybrał się do zoo i pomyślcie, rzucił lwu lalkę-dziecko. Zniszczoną, obdartą już lalkę, którą pieszczotliwie nazywał „Serbiątko". Stąd się wzięła ta koszmarna opowieść. Oto cała prawda!

– I nic poza tym? – dopytują sąsiedzi.

– Nic – mówi Miho. – Telewizja już to sprostowała. Wszyscy wiedzą.

Domagamy się szczegółów. Jak w ogóle wygląda teraz zoo? Co na przykład jedzą lwy i tygrysy? A co z niedźwiedziami?

– Lew do niczego, kość i skóra – powiada Hasan. – Zęby mu wypadają…

– Uuuch!

– Lwica snuje się jak zbita, bardzo smutna – wtrąca Milka. – Na twarzy ma głębokie bruzdy od łez… A lwiątko słabiutkie, leży w pyle. Płakać się chce.

– Hm… A wilki?

– Wilczyca zdechła z głodu w zeszły czwartek – mówi Milka – tydzień temu.

– A wilk kompletnie zgnębiony, gorzej jak czasem Mito – ciągnie Hasan. – Wybacz, Mito, ale tak to wygląda. Jakby całkiem nieobecny, tylko dyszy

i nie wiadomo czemu szczęka zębami. Widać, że strasznie tęskni do lasu… Trzymanie go za kratkami to grzech. Jego i tych wszystkich zwierząt.

– A tygrys żyje?

– Wychudł, ale oczy jeszcze mu błyszczą. A tygrysica jak smoczyca. Ostry wyraz twarzy, blondynka, metalik… Meho mówi na nią Lady Thatcher, a czasem Lady Plavšić. W jego ogrodzie są rozmaici więźniowie polityczni.

– *Maszalah!*[*] – woła Ibraga.

Wszyscy się śmieją. Mała Azra interesuje się pytonem: czy nie zdechł, czy nie uciekł?

– Całymi dniami śpi. Zużywa rezerwy tłuszczu. A raz uciekł, dotarł prawie do byłego KC – Hasan w uśmiechu pokazuje zęby. – Tam go jakoś ujarzmiła drużyna socjalistów.

W gazetach napisano, że ciężko zranionego słonia UNPROFOR przewiezie na wolne terytorium. Z jeszcze innymi ważnymi zwierzętami, które trzeba leczyć i odpowiednio żywić.

– Zwierzęta na wolność, a my w klatce! – skarży się Miszo.

Słoń taki wielki, że nawet ślepy by go trafił. Na leczenie pojedzie z innymi zwierzętami do Splitu, może do Zagrzebia, do Turcji albo do Włoch. Zasłużył na to!

– Gdyby je wypuścić, nic by się nie stało – powiada Sule. – Wilk jest u Serbów uświęcony, jak zwierzę domowe. Zresztą to ich „mityczny przodek". Mito wie o tym więcej. Oni się nawet chwalą wilczym rodowodem i jak wilki kochają dziką wolność.

– A wilk nie je jagnięciny – wtrąca Hasan. – Czasem tylko przegryzie coś zdechłego z UNPROFOR-u. Ale on ani lew nie jadają byle czego. Lew to pan! Dumny jak król.

– A jak tam czarna sarna? – rymuje wzruszony Miszo.

– Sarna ma się dobrze, Meho coś tam dla niej pitrasi, pieści ją i mówi: „Ślicznotko nasza!" – uspokaja go Milka. – „Nic się nie bój, dopóki tylko Meho żyje, nic…".

Nasz śmiech ściągnął Idę, z ostrym jęzorem, która takich jak na przykład Hasan zalicza do próżniaków i zdrajców.

– Ty, Hasan, jakbyś był krewniakiem tamtych z gór! – mówi zaczepnie.

A Hasan na to:

– Chyba wiesz, że dawniej byliśmy rodziną, my, tak zwani Południowi Słowianie. Tyle że teraz każdy boi się do tego przyznać.

– *Gens una sumus!* – wspomaga go Miszo przysięgą szachistów.

– Słuchaj no, jęzoro! Widziałem dziś małpę w Pionierskiej Dolinie, w zoo, i doszedłem do wniosku, że od niej nie pochodzę… Ale o tobie nie mógłbym tego powiedzieć. Idź sobie, już!

Ibraga i Dżemo starają się ich uspokoić. Na próżno.

– Tak jak ty nie odzywa się ani czetnik, ani najczarniejszy ustasza! – Ida wychodzi z siebie i kieruje się marszowym krokiem w stronę posterunku policji.

A Hasan wzdycha i przeprasza wszystkich za swoje „szczekanie".

Na trawnik, po murach i po kątach padają pierwsze smugi mroku.

Z któregoś zbocza, może z walczącej Žuči, przybliża się seria wybuchów. Pies zawył. Z domu wybiega mama Ilii, zabiera małego.

Powoli wstajemy. Wydaje mi się, że dość się już nażyłem: dość na tej ziemi i dość z ludźmi.

Jelena jest innego zdania.

I wita mnie:

„Lwica, twoja lwica"…

Przełożyła Danuta Cirlić-Straszyńska

Stevan Tontić, ur. 30.12.1946 w Grdanovcach k. Sanskiego Mostu w północnej Serbii. Filozofię i socjologię ukończył na uniwersytecie w Sarajewie, gdzie następnie mieszkał ćwierć wieku i skąd w 1993 r. wyemigrował do Niemiec. Obecnie mieszka w Nowym Sadzie.

Opublikował tomy wierszy, m.in.: *Nauka o duši i druge vesele priče* (Sarajewo 1970, *Nauka o duszy i inne wesołe opowieści*); *Tajna prepiska* (1976, *Tajna korespondencja*); *Crna je mati nedjelja* (Belgrad 1983, *Czarna jest matka niedziela*); *Ring* (Belgrad 1987); *Sarajevski rukopis* (Belgrad 1993); *Lirika*, wybór (Nowy Sad 1995); *Moj psalm* (Berlin 1997, *Mój psalm*); *Christova luda* (Belgrad 2017, *Błazen Chrystusowy*). Wydał antologie: *Nowej poezji Bośni i Hercegowiny* (1990) oraz *Nowej poezji serbskiej* (1991). Laureat licznych nagród literackich, tłumaczony na języki obce. „Relacja z ogrodu zoologicznego" to „rozdział 8. pociętej na kawałki powieści" *Twoje serce, zajączku*, jego pierwszej prozy. Krytyk Mihajlo Pantić w swoim studiu napisał m.in.: „Poetycka wyobraźnia Stevana Tonticia, serbskiego poety z Sarajewa, starła się wskutek złych okoliczności z surową prozą codzienności wojennej… Można powiedzieć, że ten tom prozy podyktowała mu tragiczna rzeczywistość, która radykalnie zmieniła optykę ludzką i rozumienie świata. Powieść Tonticia pokazuje, jak historia i polityka minionych lat przeobraziły literaturę serbską. Stevan Tontić dzieli się z nami własnym sarajewskim, piwnicznym doświadczeniem, a następnie doświadczeniem emigracji".

Grzegorz Łatuszyński

Rzeźbienie wiersza w innym języku

Antologia *100 współczesnych polskich poetów*, nad którą intensywnie pracowałem przez ostatnich kilka lat, wprowadza do serbskiego obiegu czytelniczego, jak zapowiada tytuł, sporą reprezentację twórców dzisiejszej polskiej poezji. Otwiera ją Zbigniew Bieńkowski (1913-1994), najwybitniejszy twórca obok Czesława Miłosza, Tadeusza Różewicza, Zbigniewa Herberta i Wisławy Szymborskiej, autor wyjątkowej we współczesnej poezji książki *Trzy poematy*, a zamyka Tadeusz Dąbrowski (1979), poeta całkowicie już uformowany, który ukończył 40 lat, a którego osiągnięcia poetyckie w pełni pozwalają zamknąć Antologię jego liryką.

Te dwa nazwiska, istotne dziś w polskiej poezji, a myślę, że pozostaną ważne również w następnych dziesięcioleciach, w Antologii ułożonej w porządku chronologicznym wg lat urodzenia pisarzy, dzieli 100 poetów, bez których ta poezja nie byłaby tak barwna i różnorodna, tak żywa i dynamiczna, tak bogata pod względem formalnym i tematycznym, tak niespokojna i wymagająca, tak subtelna i wrażliwa. Zebrała ona doświadczenia ciężkich lat, w jakich przypadło nam żyć jako wspólnocie, a także szczęśliwych chwil, zawsze i wszędzie towarzyszących człowiekowi, bez względu na to, co się dzieje dookoła. Znajdujemy więc tutaj emocje dobre i złe, które ogarniają każdego z nas, a niektórych zmuszają do sięgnięcia po pióro, by uciszyć je wierszem, by uwiecznić w wierszu, podzielić się z innymi. Gdyż poezja tak się rodzi, ona musi być doznana i doświadczona. I dlatego jest ona esencją życia zaczarowaną w słowie. Wszystko inne może być tylko ćwiczeniem poetyckim, zabawą ze słowami, również potrzebną dla rozwoju poezji.

Tworząc antologię, w pierwszym rzędzie należy określić ramy, w jakich ma się ona dziać, i czytelnika, do którego ma być adresowana. Jeśli będzie to odbiorca, który nie wyrósł w naszej polskiej kulturze, warto wziąć pod uwagę krąg doświadczeń historycznych, kulturowych i społecznych jemu bliski, by wiersz mógł dotknąć strun jego wrażliwości, by korespondował z tamtym pojmowaniem świata i człowieka. Bez tego poezja trafi w pustkę. Tym się kierowałem, dobierając poetów i wiersze.

Oczywiście, jeśli jest to antologia ograniczona ramami czasowymi, a nie tematycznymi, pewne nazwiska muszą w niej się znaleźć, gdyż ich nieobecność byłaby błędem, czy nawet błędem niewybaczalnym. Pozostałe

mogą być dobierane alternatywnie, gdyż dobrych poetów na szczęście mamy tylu, że żadna antologia nie mogłaby zmieścić wszystkich. Dlatego tak trudna jest i odpowiedzialna selekcja, którą przeprowadzić musi każdy antologista. I dlatego nikomu jeszcze nie udało się ułożyć antologii, z której wszyscy byliby zadowoleni, a nie tylko ci, którzy w niej się znaleźli.

Zdarza się, że nie wszyscy poeci są usatysfakcjonowani z zestawem prezentowanych w antologiach wierszy. Żeby tego uniknąć, niektórzy antologiści proponują poetom, żeby sami wybrali wiersze, ale takie antologie spotykają się z krytyczną oceną czytelników i recenzentów jako niespójne, nieobiektywne i nieprzemyślane, pozbawione całościowej idei. Istnieją również próby tworzenia antologii na zasadzie wnoszenia przez poetę określonej kwoty pieniężnej jako wpisowego, która umożliwia wejście z pewną ilością wierszy do antologii. Takie wybory nie są jednak godne zaufania. Gdyż znaną jest rzeczą, że ze wszystkich kryteriów kryterium pieniężne jest najbardziej zawodne.

Na rozwój nurtów polskiej poezji od II wojny światowej do dnia dzisiejszego bez wątpienia znaczny wpływ miała grupa młodych poetów powstania warszawskiego 1944 oraz poeci przełomu październikowego 1956 (przejęcia władzy przez Gomułkę). Wprowadzili oni świeży powiew do literatury, która dusiła się w ciężkiej politycznej atmosferze socrealizmu. Natomiast wydarzenia grudniowe w Gdańsku 1970 wyłoniły silną grupę poetów Nowej Fali, nastawionych krytycznie do komunistycznej rzeczywistości. Spontaniczny ruch Solidarności 1980-1981 wprowadził do poezji swobodę twórczą, a transformacja systemu 1989-1990 przywróciła tę swobodę po zniesieniu stanu wojennego i rozszerzyła ją po wyjściu kraju z komunizmu. I wreszcie katastrofa samolotu w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 roku, którym leciała do Katynia polska delegacja państwowa z Prezydentem Rzeczypospolitej Lechem Kaczyńskim na czele, by oddać hołd straconym tam przed siedemdziesięciu laty polskim oficerom, ofiarom stalinowskiej zbrodni. Ta największa tragedia od II wojny światowej, która spotkała Polskę, wstrząsnęła całym krajem, podzieliła naród i środowisko pisarzy. Znalazła również oddźwięk w najnowszej poezji.

W okresie ostatnich dwudziestu pięciu, trzydziestu lat pojawiła się plejada młodych poetów, utalentowanych i sprawnych warsztatowo, ale jakby oderwanych od życia, których procesy dziejowe w widoczny sposób pozbawiły własnej tożsamości, wyrazistości i buntu, co uważny czytelnik może dostrzec w ich wierszach. Ale pojawiła się również w tej generacji pewna grupa poetów, którzy wiedzą, czego chcieć od życia i poezji.

Tłumacząc wiersze do tej Antologii, starałem się nic nie stracić w procesie przenoszenia ich w nowe środowisko leksykalne i semantyczne. Język serbski jest innym tworzywem, różniącym się od polskiego (ma inną elastyczność, zawartość znaczeniową i ekspresję słowa, inne zasady i możliwości syntaktyczne budowania fraz i konstrukcji frazeologicznych, inną melodię mowy). A więc mówiąc poetycko, rzeźbiąc te wiersze ponownie w tym innym tworzywie, starałem się nic nie stracić z ich kunsztu, przekazu i ekspresji. Na ile to mi się powiodło, z pewnością się dowiem, kiedy wiersze *100 współczesnych polskich poetów* trafią do rąk ich nowych Czytelników.

To wszystko, co przedstawiłem w tym tekście, nie jest dla mnie sprawą nową. To są problemy, z jakimi żyję już kilka dziesiątków lat i napotykam je przy okazji przygotowywania każdej nowej książki, czy jest to wybór wierszy indywidualnego poety, czy antologia poezji któregoś narodu. Zawsze musiałem pokonywać te problemy, gdyż mimo iż są podobne, to w szczegółach zawsze odmienne. A właśnie te szczegóły, drobne niuanse w pracy twórczej decydują o wszystkim.

Pierwszy indywidualny wybór wierszy, który sporządziłem w języku polskim, liczył blisko 200 stron. Była to poezja Andjelka Vuleticia. Książka bardzo dobrze przyjęta została przez czytelników i krytykę. Julia Hartwig, której tomik ofiarowałem, po przeczytaniu powiedziała, że jest to świetny, oryginalny i bardzo ciekawy poeta. A jak przekład, zapytałem skwapliwie. „Czyżbym mogła powiedzieć, co powiedziałam, gdyby nie był bardzo dobry?" – odpowiedziała pytaniem na pytanie. Ta właśnie i szereg innych przychylnych opinii ośmieliły mnie do dalszej pracy z poezją. Dzięki temu polscy czytelnicy z czasem mieli okazję poznać poezję nie tylko chorwackich, ale także wielu serbskich, bośniackich i czarnogórskich poetów, których 22 obszerne wybory opublikowałem w moich przekładach na język polski z moimi posłowiami krytycznoliterackimi. W roku 2008 opublikowałem w Polsce w pełni autorską, liczącą łącznie ponad 1100 stron, dwutomową antologię serbskiej poezji XX wieku pt. *Wszystkie chwile są tu i nic być nie przestaje*. W następnym antologię czarnogórskiej poezji, pt. *Słowa, które nie śpią*, która ma blisko 300 stron, i wreszcie na 990 stronach chorwacką *W skwarze słońca, w chłodzie nocy*. Wszystkie trzy wspomniane antologie wzbudziły spore zainteresowanie polskiej krytyki i Czytelników.

Przez całe moje twórcze życie poezję obcą tłumaczyłem na język polski, a także wiersze wielu polskich poetów z polskiego na inne języki słowiańskie. Tłumaczenia te ukazywały się w tamtejszych periodykach

poświęconych kulturze i były przyjmowane z rosnącym zainteresowaniem. W rezultacie w 2012 roku w Nowym Sadzie w wydawnictwie Związku Pisarzy Wojwodiny ukazała się dwustustronicowa antologia 12 polskich poetów związanych z tamtejszym międzynarodowym festiwalem poezji. Nosiła ona tytuł *Živimo na rečima*. Wprowadziła do obiegu z widocznym sukcesem kilku polskich poetów do tej pory tam nieznanych. I tak zrodziła się propozycja, żebym zrobił obszerną antologię współczesnej polskiej poezji w serbskim języku. Ponieważ uważam, że w drugiej połowie XX wieku na ziemiach polskich i na ziemiach byłej Jugosławii rodziła się najlepsza poezja Europy, z niekłamanym zapałem przystąpiłem do realizacji tego pomysłu.

Antologię *100 współczesnych polskich poetów* serbski wydawca opublikuje w dwóch tomach. Pierwszy w pierwszej połowie bieżącego roku, drugi na początku przyszłego, gdyż i ta antologia jest obszerna, liczy ponad 800 stron. Dlaczego? Bo uważam, że jest to dobra okazja dla polskich poetów, z której należy skorzystać, aby naszą współczesną poezję zaprezentować w całej jej krasie i bogactwie, w całej różnorodności w sposób możliwie najbardziej pogłębiony. Antologia powinna też obszernie przedstawić sylwetki poetów naszkicowane ich własnymi wierszami.

Myślę, że ten wybór pozwoli serbskiemu czytelnikowi poprzez poezję bliżej poznać polską kulturę i polską historię.

Grzegorz Łatuszyński

100 współczesnych polskich poetów

Grzegorza Łatuszyńskiego antologia przekładów na język serbski – alfabetyczny spis nazwisk

Tom pierwszy

Andrzejewski Bogumił
Baczyński Krzysztof Kamil
Białoszewski Miron
Bieńkowski Zbigniew
Bordowicz Maciej Zenon
Borowski Tadeusz
Bryll Ernest
Bursa Andrzej
Czachorowski Swen Stanisław
Czycz Stanisław
Długosz Leszek
Ferenc Teresa
Ficowski Jerzy
Gajcy Tadeusz
Górzański Jerzy
Grochowiak Stanisław
Grześczak Marian
Harasymowicz Jerzy
Hartwig Julia
Herbert Zbigniew
Jankowski Zbigniew
Jaworski Wit
Jerzyna Zbigniew
Kamieńska Anna
Karasek Krzysztof
Karpowicz Tymoteusz
Kozioł Urszula
Krahelska Krystyna
Kruk Erwin
Krynicki Ryszard
Łatuszyński Grzegorz
Marjańska Ludmiła
Markiewicz Jarosław
Matywiecki Piotr
Międzyrzecki Artur
Milczewski-Bruno Ryszard
Miłobędzka Krystyna
Nowak Tadeusz
Olędzka-Frybesowa Aleksandra
Pasierb Janusz Stanisław
Patey-Grabowska Alicja
Pollakówna Joanna
Poświatowska Halina
Rodowska Krystyna
Różewicz Tadeusz
Rymkiewicz Jarosław Marek
Skwarnicki Marek
Stachura Edward
Stroiński Zdzisław
Szczepański Józef
Szmidt Andrzej
Szymańska Adriana
Szymborska Wisława
Śliwiak Tadeusz
Śliwonik Roman
Trzebiński Andrzej
Twardowski Jan
Wirpsza Witold

Tom drugi

Marek Baczewski
Bierezin Jacek
Cisło Maciej
Dakowicz Przemysław
Dąbrowski Cezary Maciej
Dąbrowski Tadeusz
Dominiak Zbigniew
Drzewucki Janusz
Gleń Adrian
Janko Anna
Kasjanowicz Eugeniusz
Kass Wojciech
Kielar Marzanna Bogumiła
Kobierski Janusz Adam
Koehler Krzysztof
Kornhauser Julian
Kronhold Jerzy Antoni
Kuczkowski Krzysztof
Kudyba Wojciech
Lenkowska Krystyna
Lisowski Krzysztof
Maj Bronisław
Mikołajewski Jarosław
Müldner-Nieckowski Piotr
Napiórkowski Jacek
Nasiłowska Anna
Nowosielski Kazimierz
Piasecki Jan Krzysztof
Piwkowska Anna
Polkowski Jan
Ptak Bożena
Rudziński Krzysztof
Sochoń Jan
Sosnowski Andrzej
Stabro Stanisław
Strządała Jan
Szuber Janusz
Szurmak Krzysztof
Tkaczyszyn-Dycki Eugeniusz
Wencel Wojciech
Wojaczek Rafał
Zadura Bohdan
Zagajewski Adam

2 czerwca 2019 roku zmarł nasz Kolega



Maciej Parowski

powieściopisarz, autor scenariuszy komiksowych,
eseista, legenda polskiej fantastyki,
wieloletni członek zarządu
Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich,
redaktor Kwartalnika Literackiego "Podgląd"

Żegnamy Go z wielkim smutkiem

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich

7 czerwca 2019 roku zmarł nasz Kolega



Ryszard Bugajski

pisarz, scenarzysta

Żegnamy Go z wielkim żalem

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich

Menuet

Krysi Nepomuckiej

Podaj mi rączkę, trumienko. Konik
Wędzidło gryzie, chrapami świszcze.
Już stangret wciska czaszkę na piszczel,
Dziurawą trąbkę bierze do dłoni.

A więc ruszymy na jednym kole,
Pod poszarpanym w nic baldachimem,
Ale wesoło! Mam mandolinę,
Z której wygnamy oślepłe mole.

He, he, trumienko, gdzieś jest cmentarzyk,
Gdzie przykucniemy z wielką ochotą,
Żeby przykryci spierzchłą kapotą
Bardzo intymnie sobie pogwarzyć.

Mysz nas nawiedzi, przyfrunie sowa,
Szakal przyczłapie z obwisłą szczęką,
Kornik zacyka do drzwi tak cienko,
Jakby żałował czegoś, trumienko,
Jakby żałował...

Stanisław Grochowiak. Klasyk turpizmu – wiersz ze zbiorku *Menuet z pogrzebaczem*. Skan z druku w tomie *Wiersze wybrane*, Czytelnik, Warszawa 1978